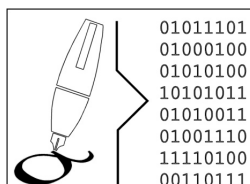


IAN WATSON

ŁOWCA ŚMIERCI

Przełożył Michał Wroczyński



*Michaelowi Bishopowi,
współtwórcy mostu na niebie
i ponad Atlantykiem.*

I

Gdy wagon jednoszynowej kolei z Gracchus zostawił za sobą mrok ostatniego tunelu, pogrążając się w skąpanej w miodowym blasku słońca dolinie, Jim Todhunter po raz pierwszy ujrzał Egremont i serce się w nim rozradowało.

Dolina i leżące w niej miasteczko faktycznie sprawiały — jak głosiła fama — sielankowe wrażenie; jeśli więc Jim żałował początkowo nagłego wyjazdu z Gracchus i przerwanych studiów nad śmiercią, to widok uroczego Egremont wynagrodził mu to w zupełności.

Gdy pociąg wjeżdżał już na przedmieścia, Jim rozwinął mapę, którą przysłał mu Noel Resnick, Mistrz Domu Śmierci w Egremont, i próbował na jej podstawie ustalić to, co widzi za oknami pociągu.

Otoczające dolinę wzgórza stały w ogniu jesiennych barw: pomarańczowych, czerwonych, złotych. W jaskrawą tęczę liściastych drzew wrzynała się grubymi jęzorami brudna zieleń sosnowo-świerkowych lasów. Po północnej stronie białął potężny mur zapory wodnej, a ponad nim skrzyło się błękitem zwierciadło jeziora Tulane z żółtymi i czerwonymi cętkami żagli ślizgających się po jego toni jachtów.

Zachęcający był to obraz: sady, farmy, aleje wysadzone drzewami, srebrzyste rozbłyśki fontann między ogromnymi blokami mieszkalnymi i rojące się wokół niewielkie pojazdy elektryczne. Barwne wagoniki Beadway, miejscowej kolejki linowej, sunęły niczym korale nanizane na nitkę, wysoko ponad kopułami zakładów mikroelektronicznych.

Wreszcie samo Śródmieście. Która budowla jest która? Czy to Centrum Telewizyjne, czy Biuro Spisowe? A Dom Śmierci?... Gdy pociąg zaczął zwalniać, Jim złożył starannie mapę i schował do kieszeni.

Był jedynym pasażerem pociągu. Na szyi miał czerwoną, zawiązaną w luźny węzeł muszkę, nieco dandysowski szczegół jego stroju — zwyczajnego, ciemnobrązowego garnituru, stosowanego dla przewodnika śmierci. Garnitur ów, jakkolwiek surowy w kroju i ciemny w barwie, nie miał nic z posępnej czerni sutanny. Sugerować miał zapew-

ne bezkresne piaskowe wydmy, sypiące tumanami piachu w podmuchach porywistego wiatru — nietrwale, zmienne, zawsze w ruchu, ciągle inne, wciąż nowe i nowe. Ta „wydma” wszakże buchała u szyi ogniem.

Rozprostował zdrętwiałe nieco po dwugodzinnej podróży nogi i wstał. Sięgnął do góry i zdjął walizkę. Był wysokim, kruczowłosym mężczyzną zbliżającym się do czterdziestki. Miał zwyczaj lekkiego garbienia się, jakby nie dowierzał futrynom drzwi, że są dostatecznie wysokie.

Na peronie czekała już kobieta, zapewne Marta Bettijohn; Resnick obiecał, że ją właśnie wyśle na dworzec po Jima. Była to pogodna, pulchna i niezwykle ponętna niewiasta o różowych policzkach i jasnobłękitnych oczach. Miała na sobie żółtą welwetową spódnicę i brązową tweedową marynarkę z wpiętą w klapę srebrną odznaką Domu Śmierci.

Widząc ów znaczek, Jim dotknął kciukiem swojej srebrnej rozetki i uśmiechnął się szeroko. Postawił na ziemi walizkę i wyciągnął dłoń w stronę oczekującej kobiety.

— Cudowny dzień, Jim! A dla Egremont wyjątkowo cudowny!

— To brzmi nazbyt pochlebnie — zachnął się lekko.

— Och, nie miałam wcale zamiaru...! Oczywiście, wszyscy cieszymy się z twego przybycia! Ale mówiąc o cudownym dniu, miałam na myśli nie ciebie, a Normana Harpera, który święci dziś dzień swego odejścia. Nasza D. i R. Nasza Duma i Radość. Nie wiedziałeś o tym, Jim? Przebieg tej ceremonii będzie transmitowany w ogólnokrajowej sieci telewizyjnej. — Spojrzała na zegarek. W żadnym wypadku nie możemy się spóźnić.

— Tak, niewątpliwie...! Musiałem jakoś przegapić tę wiadomość. Ostatnimi dniami byłem tak zapracowany...

— Rozumiem — pokiwała głową.

— A swoją drogą nie sądzisz, że przybyłem w szczególnie pomyślnym momencie? No proszę, Norman Harper. Kto by pomyślał! Wiedziałem, że tutaj mieszka... Komu Dom powierzył przewodnictwo jego śmierci?

Pożałował natychmiast swego pytania, które mogło sugerować, że to on właśnie powinien być przewodnikiem poety z tego tylko względu, że przybył z miasta. A za żadną cenę nie chciał wyjść na zżeranego ambicją zarozumialca. Jednak Marta Bettijohn, jak się zdawało, nie zwróciła uwagi na niezbyt fortunne pytanie Jima.

— Tak prawdę mówiąc, nie ma wśród nas nikogo, kto byłby odpowiednim dla niego przewodnikiem śmierci. Tym szczęśliwcem jest Alice Huron, lecz sądzę, że to on raczej będzie jej nauczycielem. Nie, nie dlatego, by Alice była złym przewodnikiem — wcale tak nie uważam. Ale to jest Norman Harper, sam rozumiesz... To on ją powiezie.

Ruszyli w stronę wyjścia do oczekującego przed dworcem maleńkiego, elektrycznego ranboutu. Jim niezdarnie ulokował swe długie nogi we wnętrzu pojazdu. A ponad ich

głowami, na jednym z peronów Beadway, mieszkańcy Egremont wsiadali do kolejnych, pojawiających się dokładnie co pół minuty, wagoników.

— Ulica Harpera — oświadczyła z dumą Marta, gdy ich niewielki pojazd sunął środkiem jezdni wyłożonej pastelową mozaiką z gumowych płytek. Potem wskazała palcem Spółdzielnię Rolniczą i Bibliotekę, dwa potężne budynki w stylu neoklasycystycznym. Biblioteka znajdowała się bliżej kompleksu szkolnego, strzelistej konstrukcji ze szkła i stali, na którą składało się kilkanaście zachodzących na siebie ziguratów. Z dalszych wyjaśnień Marty wynikało, iż mimo że zasoby Biblioteki można było zamawiać sobie bezpośrednio na domowe ekrany, to w Egremont zalecano wypożyczanie tradycyjnych książek. Miał to być kolejny dowód znaczenia i autorytetu, jakim cieszył się tutaj Norman Harper. Poezja bowiem, by można było ją w pełni ocenić, wymaga osobistego kontaktu z książką.

Gdy mijali szkołę, wysypała się z niej ze śmiechem i krzykiem gromada dzieci w różnym wieku — najwyraźniej zbieranina z różnych klas. Młodsze przystawały na skraju jezdni, machając rękami w stronę przejeżdżającego ranbouta; Marta odmachowała im. Starsze natomiast, ścigając się, wbiegały po schodach na peron Beadway.

— Jestem przewodnikiem w szkole — wyjaśniała Jimowi Marta. — Większość dzieciaków obejrzy odejście Normana Harpera na ekranach. Pewna jednak liczba uczniów będzie w niej uczestniczyć osobiście: młodość żegna starość. Lecz raczej nie będzie tam wiele młodzieży. W końcu to nie cyrk.

— Fakt!

— O tym, kto będzie uczestniczył w ceremonii, zdecydowała loteria w klasach. Tej uroczystości na pewno nigdy nie zapomną... Tam, w dole, jest Mall! — wykrzyknęła, zmieniając nieoczekiwanie temat. — Słyszałeś o naszym Mallu?

Był to długi pasaż wyznaczony kutymi w kryształach arkadami. Między poszczególnymi sklepami rosły paprocie, drzewa i wysmukłe kaktusy. Gdzieś tam w niebo mlecznobiałe strumienie wody z fontann. Tego popołudnia jednak na Mallu osób było niewiele.

— Musisz koniecznie wpaść do restauracji „Pod Trzema Iglicami”, o tam, poniżej! Najlepsza kuchnia w mieście. Specjalność: ryby, dania francuskie i potrawy wiejskie.

— A będziesz moim gościem?

Pogroziła mu palcem:

— Och, nie, ja wcale nie chciałam... Ale przy okazji... może nie powinnam ci tego mówić teraz, by nie odwracać twojej uwagi od uroczystości Normana — ale na dzisiejszy wieczór zorganizowaliśmy dla ciebie małe spotkanie zapoznawcze. Nad jeziorem. Ma być pieczony pstrąg i kilkanaście butelek miejscowego białego wina. Wprost z Vinehouse.

— Brzmi to wspaniale.

Minęli Urząd Spokoju, ośmiokątny gmach z surowego kamienia o potężnym portyku i dziedzińcu wysypanym żwirem. Obok popularnych drzew laurowych rosły tam również cyprysy posadzone w wielkich ceramicznych donicach. Pomiędzy nimi natomiast ustawiono kilkanaście marmurowych posągów, które z daleka wyglądały jak słupy soli. Lub raczej jak zamrożone trupy, jakkolwiek w Egremont nie mogło być mowy o żadnych zamarzłakach. Ta społeczność była radośnie przystosowana... Być może dlatego Jim został przeniesiony właśnie tutaj: aby trochę naruszyć takie przystosowanie.

— Może powinienem się zameldować?

— Nie ma pośpiechu, Jim. Nie dzisiaj! I tak większość urzędników bierze udział w ceremonii. Tysiąc zaproszonych gości — to wymaga pełnej gali i dostojności.

Pięć minut później byli już w samym Domu Śmierci, gdzie co pół minuty z napowietrznego peronu Beadway spływał szeroką falą potok ludzi. Wszyscy oni kierowali się ku szerokim, żwirowym deptakom między zielonymi trawnikami. W alei dojazdowej, między Domem i Szpitalem, zaparkowanych już było kilkadziesiąt ranboutów.

Zarówno Szpital, jak i Dom mieściły się w dwu piramidach ze szkła i kamienia, z pnącymi się w górę, kondygnacja za kondygnacją, ogrodami. Ponad szczytem Szpitala wznosił się lekarski kaduceusz, a z wierzchołka drugiej piramidy — bliski każdemu i przyjazny znak: srebrna rozeta symbolizująca zamknięte koło życia i w porę ścięty kwiat.

Dom Śmierci otaczała fosa z błękitną wodą, na której unosiły się liście nenufarów z kilkoma spóźnionymi o tej porze roku kwiatami. I tylko jeden most, przerzucony nad tą wodą zapomnienia, łączył Dom ze światem. Z trawiastego pagórka w odległym zakątku wyspy, niczym z kadzielnicy, biła w niebo smuga dymu. W powietrzu unosił się delikatny zapach drzewa sandałowego i Jimowi przyszło do głowy, że tam właśnie, pod tym wzgórkim, znajduje się krematorium. Kopulasty, marmurowy pawilon kontemplacji stał po przeciwległej stronie wyspy: na gromadzący się zwolna tłum spoglądało stamtąd kilka starszych osób i blade dziecko.

Na podium wzniesionym na głównym trawniku ustawiono pół tuzina krzeseł i mikrofon. Z ukrytych głośników dobiegały tony muzyki: złocisty Koncert Brandenburski. Około tysiąca widzów zostało uroczyście wprowadzonych przez wystrojonych w białe mundury Urzędników Spokoju i posadzonych po turecku wprost na trawie. Na podium tymczasem pojawiło się sześć osób, które zajęły krzesła i w skupieniu słuchały muzyki.

— Chodźmy.

Ciągnąc Jima za łokieć, Marta przepchnęła się przez rzędy widzów na sam front. Tam usiedli na miękkiej, przystrzyżonej krótko trawie.

— Ten po lewej to właśnie Norman Harper — szepnęła.

— Tak, wiem, poznałem jego twarz.

— Oczywiście.

Norman Harper był krępy, siwowłosym mężczyzną o twarzy pobrużdżonej głębokimi, jak wyżłobiony wodą wapień, zmarszczkami. Oczy płonęły mu chorobliwym blaskiem.

— A to sam Noel. Noel Resnick.

Mistrz Domu, choć był masywnym i tęgim mężczyzną, poruszał się i gestykulował z jakąś wystudiowaną gracją. Przypominał słonia tańczącego w balecie i hipnotyzującego widzów, tak że ci widzieli w nim wyłącznie lekkość i wdzięk. Resnick sprawiał wrażenie człowieka niesłuchanie z siebie zadowolonego, co podkreślało jeszcze nieco karykaturalne rysy jego postaci.

— Ta po prawej, to Alice Huron.

Jim spojrzał z uwagą na kobietę, która miała być przewodnikiem śmierci poety. Miała proste i długie, czarne włosy, ciemne oczy, szeroki nos i wydatny podbródek. Jej palce, ozdobione wieloma masywnymi pierścionkami, były smukłe i długie. Była chuda i niezwykle wysoka; mierzyła dobre sześć stóp wzrostu, a jej wyprostowane plecy były zupełnym przeciwieństwem wiecznie przygarbionego grzbietu Jima. Od pierwszego wejścia poczuł do niej niechęć; zarówno za zaszczyt, jaki jej przypadł dzisiejszego dnia, jak i za jej postawę. Taka to się nigdy nie uderzy o futrynę; belka sama ustąpi jej miejsca.

— Lama Ananda. — Mężczyzna o ogolonej głowie i w luźnej szafranowej szacie wyglądał na typowego człowieka Zachodu przebranego tylko na wschodnią modłę.

— Dr Claudio Menotti, nasz naczelny eutanazer — szeptała Jimowi w ucho Marta, wskazując grubasa o rumianej twarzy, emanującego z siebie pogodę i jowialność. Miał wygląd typowego operowego barytona.

— No i burmistrz Barnes. Mark Barnes.

Burmistrz Egremont był postawnym Murzynem w średnim wieku, o starannie utrzymanej, spiczastej bródce a la Van Dyck. Rozglądał się akurat z uwagą po niebie, obserwując kilka pierzastych, podejrzanie wyglądających chmur, zastanawiając się zapewne, czy nie są one aby zapowiedzią deszczu. Ale nie zanosił się na deszcz. Następnie skierował uwagę na sporą gromadkę reporterów, którzy z kamerami na ramionach celowali obiektywami w stronę podium.

Gdy wszyscy widzowie, łącznie z dziećmi, zajęli wyznaczone im miejsca, dźwięki muzyki umilkły.

Powstał burmistrz Barnes. Zapadła cisza.

— Przyjaciele — zaczął, a w jego głosie była duma i żarliwość.

II

— Minęły już czasy samosterujących rakiet, dymów bitewnych, wojennych machin, huku eksplodujących bomb i wystrzałów karabinowych. Minęły już dawno. Ale nigdy nie zapomnimy o długu zaciągniętym wobec ludzi takich, jak Norman Harper, którzy sprawili, że stało się to możliwe...

Poeta schylił skromnie głowę. Prawdopodobnie tylko w swoim odczuciu był artystą; w oczach innych był prawodawcą ludzkości. Herosem nowego świata.

— Dążyliśmy świadomie do unicestwienia naszego pięknego świata, dążyliśmy do samozagłady, gdyż nie potrafiliśmy godzić się ze śmiercią. Śmierć była w tamtych dniach czymś, co miało dotyczyć wyłącznie innych ludzi, nigdy nas samych. Wypychaliśmy zmarłych z naszego życia uznając ich za obcych, którzy z nami nie mieli nic wspólnego. Wygnaliśmy śmierć z naszych granic, niosąc ją na terytorium wroga. A kiedy już się z tym uporalismy, obcy — cudzoziemcy — przychodzili z kolei ze śmiercią do nas... Och, jakie snuto wówczas fantazje na temat życia pozagrobowego, reinkarnacji nawet, nie poświęcając przy tym jednej bodaj myśli, jednej chwili uwagi własnej śmierci, która kładła kres naszemu życiu...

Jim rozsiadł się wygodnie i słuchał z uwagą. Głos burmistrza niósł się w tej chwili przez cały kraj. Czy, zważywszy wypadek w Gracchus, przemowa ta oznacza początek kampanii wymierzonej przeciwko studiom nad życiem pozagrobowym? Skoro stale istnieją ludzie przekonani, że dusza ludzka może być nieśmiertelna, że dusza człowieka, który głęboko w to wierzy, może wygrać walkę ze śmiercią, to przemowa ta rzeczywiście może mieć głębsze znaczenie. Wszak skoro istnieje nadzieja na przeżycie śmierci, czyż nie jest to równoznaczne zaprzeczeniu śmierci w ogóle?

— Obrona — utożsamiona wówczas z ochroną przed śmiercią nieznaną — stała się jednym z najpotężniejszych motorów postępowania człowieka na Ziemi. Prosperowaliśmy wspaniale! Osiągnęliśmy niesłychane bogactwa: bomby, pociski, samoloty bojowe! A ileż zadowolenia czerpaliśmy z widoku śmierci innych ludzi!

Możliwe, że to był początek kampanii skierowanej przeciwko zamarzłakom. Żad-

ne ciało raz zamrożone nie powróciło już do życia, a osoby, które całe życie optowały na rzecz badań naukowych nad zamrażaniem, odchodziły z życia pogodzone i pełne wdzięczności. Mimo to ludzie tacy wciąż istnieją, stanowią rodzaj uprzywilejowanej opozycji w stosunku do Domów Śmierci i dobrodziejstw eutanazji w odpowiednim momencie. Możliwe, iż niektórzy z nich wyobrażają sobie, że „przetrwają” erę Dobrej Śmierci, by doczekać czasów zaprzeczenia śmierci. To faktycznie mogło być ich skrytą ambicją. Najwidoczniej jednak sami nie wierzą w nieśmiertelność duszy, skoro — gdy nadchodzi śmiertelna choroba lub po prostu w Biurze Spisowym wyciągnięta zostaje ich karta — nie zamrażają się. Lecz ich dusza była tu inną sprawą.

Dusza — czy koszmar?

— Przyjaciele, z wojny czerpaliśmy w tamtych dniach całą naszą moc i siłę, gdyż ludzie, którzy przeżyli działania wojenne, w magiczny sposób pokonywali śmierć. Nasi chłopcy, wracając do domu z frontu, stawali się naszymi nieśmiertelnymi. Niejako odraczali godzinę zła. Przeżyli tych z drugiej strony. Tak więc zrodził się plan wojny największej ze wszystkich — wojny totalnej. Gdybyśmy przeżyli piekło takiej wojny, ugodzilibyśmy śmierć w samo serce! W rezultacie, pragnąc zniszczyć śmierć, która jest przecież w nas wszystkich, byliśmy o krok od zadania samym sobie ostatecznego ciosu...

— Aż nazbyt prawdziwe — mruknęła Marta, a Jim machinalnie przytaknął.

Chciałby tak bez zastrzeżeń w to wszystko wierzyć. Popołudnie było takie złociste. Jednak fakt, że Norman Harper wybrał na swoje odejście właśnie ten dzień — dzień przyjazdu Jima — był co najmniej dwuznaczny.

Czy rzeczywiście decyzja odejścia należała do poety? A może został do niej nakłoniony ze względów politycznych?... Jim odrzucił tę myśl. Norman Harper wyglądał na zupełnie pogodzonego z samym sobą; cała „kampania” mogła być czczym wymysłem Jima. Wszystko, co powiedział Burmistrz, było oczywistą prawdą. Pewnego dnia — w przyszłości — gdy śmierć na dobre już stanie się drugą naturą człowieka, przemowy takie staną się zbędne.

Rozglądając się po twarzach otaczających go widzów, uświadomił sobie, jak bardzo już śmierć stała się drugą naturą ludzką, zwłaszcza w odczuciu młodszego pokolenia. Przyszła mu myśl, absurdalna refleksja, że wszystko to jest anachronizmem, czymś przestarzałym. Natychmiast wymazał tę myśl z pamięci. Był wszak przewodnikiem w Domu Śmierci; bardzo dobrym i cenionym przewodnikiem. Wierzył, głęboko wierzył w to, co robi — szedł pewnym krokiem po wytyczonej ścieżce, która uratowała trzecią część rasy ludzkiej od zagłady. Jakżeż może być anachronizmem? Wszak świat był taki przez większą część jego życia.

— Lecz nikła garstka ludzi pojęła: byli to ludzie tacy, jak nasz Norman Harper. Oni to wyciągnęli dłoń w stronę śmierci, sprawili, że śmierć stała się dla nas czymś naturalnym i bliskim. Z nimi to — im również należy się nasza wdzięczność — Norman Harper za-

początkował wielki ruch, który doprowadził do Domów Śmierci i przebudowy struktury naszego całego społeczeństwa. Jak zły sen przeminął Wielki Lęk. Dzięki temu, że zaakceptowaliśmy bez reszty śmierć jako naszą nieodłączną część, znów zaświtała przed nami jutrzienka przyszłości. I za to, Normanie, dziękujemy ci z całego serca.

Burmistrz Barnes skończył i usiadł na swoim miejscu.

— Ależ on mówi — szepnęła z podziwem Marta. — Sam mógłby zostać przewodnikiem.

Jim pokręcił przecząco głową.

— Nie, on jest tylko zdolnym politykiem i mówcą. A do umierającego nie wygłasza się przemówień.

— Oczywiście, że nie. Niemniej jednak...

Po burmistrzu wstał Noel Resnick, Mistrz Domu Śmierci. Przemawiając wykonywał przedziwny powolny, hipnotyczny taniec wokół mikrofonu wyciągając się to w lewo to w prawo na palcach stóp. Podobny taniec wykonuje zazwyczaj jąkała, który zaciąwszy się, w ten właśnie sposób stara się poradzić sobie z opornym słowem.

— ...trudno było dyskutować z własną śmiercią — ciągnął pewnym głosem Resnick. — W konsekwencji tak zwani „ludzie dobrej woli” głosili otwarcie swe idee, a przeciwników i oponentów piętnowali mianem zdrajców, czyniąc ich kozłami ofiarnymi i stawiając pod pręgierzem. A działo się tak właśnie dlatego, że owi ludzie „dobrej woli” wyparli się własnej śmierci. A szafowali śmiercią hojnie, wbijając ją, niczym oszczep, w piersi wrogów, których sami zresztą stworzyli. Hasłami w tamtych przerażających dniach były siła, konfrontacja, zwycięstwo. Dążyli do wojny — o wolność, o równość, o prawa człowieka czy jak to inaczej nazwać — nawet za cenę totalnej zagłady wszystkich i wszystkiego. Ale rzeczywistym imieniem ich nieprzyjaciela była zawsze Śmierć. Ostatecznie jednak historia potoczyła się tak, że nie istnieje już wróg zwany „Śmiercią”. Wojna się skończyła. Wojny nie ma. Zapanował pokój. Nie istnieje druga strona. Istnieje tylko „tutaj” i „my”.

Bez wątpienia Resnick również był zręcznym politykiem i doskonałym mówcą. Czyżby konkurował z burmistrzem Barnesem? Ta sprawa Jima w ogóle nie obchodziła; tylko myśl taka przeszła mu przez głowę. Pomyślał też, że Resnick jest nieustępliwy i uparty: potrafił przewyciężyć nawet wadę wymowy. Mistrz o wiele większego przecież Domu Śmierci w Gracchus był bardziej tolerancyjny i wykazywał większe zrozumienie, lecz i on w końcu stracił cierpliwość.

Ponad głowami zgromadzonych, z donośnym krzykiem i łopotem skrzydeł przeleciało stado dzikich gęsi uformowanych w kształt litery V. Co sprawia, że gęsi posiadają taki zmysł symetrii? Chyba ten sam instynkt, który każe dziecku uczyć się cyklu: po nocy dzień, po dniu noc. Jawa i sen, sen i jawa. Na swój infantylny sposób dzieciak zaczyna pojmować, że podobna relacja zachodzić musi również w zgodnym cyklu życia i

śmierci. Skoro śmierć idzie za życiem, kolejne życie musi postępować za śmiercią...

Dlaczegoż zatem ma być to fałszywy wniosek, że to ten sam odwieczny instynkt każe gęsiom formować klucz w kształcie V?

Jim potrząsnął głową, jakby chciał odgonić natrętne myśli — wytrząsnąć brudny i doskwierający osad pomysłów i złudzeń dawnych, bałamutnych czasów, których sam dobrze nie znał.

Przeniósł wzrok na ufną, pozbawioną rozterek i wątpliwości Martę, celebrującą wraz z całym tłumem radosne święto śmierci, nieodłącznej towarzyszkę życia. Skupił następnie uwagę na centralnej postaci festynu: siwowłosym poecie, któremu społeczeństwo składało ostatni hołd. Resnick, kołyszący się pod mikrofonem niczym wielkie wahadło, usiadł w końcu.

Powstał Norman Harper. Wyciągnął w stronę widowni swe wielkie, sękaty dłonie.

— Nadszedł dzień mego odejścia — odezwał się z emfazą. — Nie będę przemawiał. Jakże mógłbym zresztą iść w konkury z moimi poprzednikami! — zachichotał lekko. — W zamian pozwólcie mi, proszę, zacytować tylko ulubione ustępy z mej własnej Księgi Śmierci.

Poeta zamknął oczy i jak ślepy Homer, zaczął recytację:

*Embrion ptaka ginie, częściowo umiera
Skoro się w świat szeroki na skrzydłach wybiera.
Zanim barwny motyl ponad pola ruszy.
Zielona gąsienica również umrzeć musi.
I nikt już dziś po śmierci nie idzie do Nieba,
Choć człowiek tak jak dawniej umierał — umiera.
Bo śmierć i życie jak syjamscy bliźniacy
Konfliktu nie znając — są zawsze jednacy...*

— Straszliwe wierszydła — mimowolnie mruknął Jim.

— Cicho! — syknęła Marta. — Co powiedziałeś?

— Nic takiego, przepraszam.

*Każde życie zawiera kilka generacji
Narodzin i śmierci: tranzytowych stacji
Po to, by długi pociąg w końcu dotarł celu.
Wrócił w przeszłość — skąd ruszył — spoczął w weselu.
Własnej śmierci nikt z nas się wyprzeć nie zdoła
Bo ona jest w naszych ciałach i ciągle nas woła.
Jak włosy, co wychodzą, jak liście jesienne*

*Spadają — by nowe życie przyszło nieodmiennie.
Odszedł Wróg w niepamięć, Złodziej nie istnieje.
Fałszywa wiara, groza, lęk i przerażenie.
Bardzo dużo razy w życiu umieramy
Po to, by znów nam skrzydła wyrosły u ramion.
I kiedy wreszcie rozwijamy skrzydła
Dusza nasza śpiewa, a potem umiera.
A dalej już nic nie ma — nawet Niepokoju.
Powracamy zawsze tam, skąd nadeszliśmy.
Kiedy dzień skończony, kiedy dzień cudowny...*

Ktoś — mężczyzna — wepchnął się brutalnie pomiędzy Jima i Martę. Intruz, nie bacząc na czynione przez siebie zamieszanie, wskoczył na podium, gdzie Norman Harper recytował poemat.

Obcy wznosił w górę dłoń. Trzymał w niej coś, co z wyglądu przypominało cybuch fajki.

Rozległ się suchy trzask, potem drugi; niewiele głośniejsze niż trzask dwóch suchych gałęzi nadeptanych stopą.

Na szyi i piersi Normana Harpera wykwitły krwistoczerwone plamy. Poeta z głuchym jękiem zachwiał się, postąpił krok do tyłu i opadł całym ciężarem ciała na krzesło, które tak niedawno jeszcze zajmował. Krzesło z bezwładnym ciałem człowieka wywróciło się, staczając z estrady na trawnik.

Zapadła cisza. Zabójca opuścił rękę, rozluźnił palce i śmiercionośna broń, odbijając się z głuchym dźwiękiem o deski podium, spadła na trawę. Ktoś krzyknął głośno. Ktoś inny mu zawtórował.

Marta chwyciła Jima za łokieć zaciskając na nim palce z niespodziewaną mocą.

— On zamordował Normana! — krzyknęła ochryple prosto Jimowi w twarz. — On... zabójca!

Był jakiś okropny bezsens w tym, co się wydarzyło. Było to jak żywcem przeniesiony z ekranu telewizyjnego spektakl — z tym tylko, że podobne widowiska od lat już zniknęły z ekranów i nigdzie nie były emitowane. Dawno trafiły do archiwum prohibitów.

Jim siedział jak skamieniały, a główny aktor — morderca — po dokonaniu okrutnego czynu sam chyba nie wiedział, co mu wypada dalej czynić. Nikt zresztą nie wiedział.

Wystraszeni i zszokowani ludzie kłębili się na trawniku wokół estrady; wymachiwali rękami, krzyczeli, biegali bez sensu po trawie popychając się nawzajem, zderzając, przewracając. Burmistrz Barnes zerwał się na równe nogi i odrzucając kopniakiem krzesło zeskoczył z podium. Przyklęknął obok ciała poety i spoglądał na nie nieruchomym, peł-

nym grozy wzrokiem. Po chwili dołączył doń doktor Menotti. Resnick również był na nogach i sam dobrze nie wiedząc, co począć, biegał nerwowo po całym podium. Alice Huron, zgięta w pół, szlochając targała dłońmi włosy, jak starożytna płaczka. Poczuwszy na sobie baczny wzrok Jima uspokoiła się natychmiast, obrzucając go pełnym nienawiści wzrokiem — za to tylko, że był świadkiem jej łez.

Najdelikatniej jak potrafił, zdjął z ramienia zaciśniętą kurczowo dłoń Marty. Wstał. Postąpił parę kroków do przodu w stronę mordercy i zatrzymał się niepewnie. Co powinien teraz zrobić? Uderzyć zabójcę? Obezwładnić go? Obalić na ziemię? Morderca stał nieruchomo. Gdy stali tak — morderca czekając, a Jim wahając się — nadbiegło dwóch Urzędników Spokoju i jeszcze ktoś trzeci; ktoś z personelu Domu. Trójka mężczyzn otoczyła zabójcę, jak pionki otaczają króla na szachownicy, nie mogąc jednak jeszcze dać mu mata. Jim schylił się i podniósł porzuconą przez mordercę dłoń. Był to dziwny przedmiot, przeraźliwie obcy, jakby przed chwilą spadł z gwiazd. Bez słowa podał broń jednemu z Urzędników, który szybko schował ją do kieszeni.

Nadbiegł dziennikarz filmując twarz mordercy, na której malowała się desperacja i rozpacz zagonionego, zmęczonego zwierzęcia wpędzonego w potrzask. Wodził wokół rozbieganymi oczyma jakby szukał jeszcze drogi ucieczki. I nie chodziło mu o lukę w ludzkim świecie, w którą mógłby się nagle, niepostrzeżenie wślizgnąć; taka bowiem nie istniała. Szukał czegoś innego, jakiejś rysy w samym porządku rzeczy, jakby sam akt morderstwa był magicznym gestem, zaklęciem przyzywającym demona, który może przynieść ocalenie. Morderca liczył około pięćdziesięciu lat i był prawie łysy, a pozostała, skąpa ilość włosów miała barwę szarą. Ubrany był w żółtą kurtkę klienta Domu Śmierci.

Kiedy operator telewizyjny skierował nań swą kamerę, na twarzy mordercy wykwitł krzywy uśmiech:

*Odszedł tam,
Gdzie miałem iść sam -*

rzucił w stronę obiektywów i zaraz dodał:

— Jak widzicie, też potrafię pisać wiersze.

— Nie filmować! — ryknął z podium Resnick. — Nie nagrywać!

Reporter posłusznie wyłączył kamerę. Inny jednakże, znajdujący się po drugiej stronie podium, nie usłyszał polecenia i w dalszym ciągu, beznamiętnie jak robot, filmował rozciągnięte na ziemi nieruchome ciało poety. Zobaczywszy to Resnick, klnąc głośno i wymachując rękami, podbiegł w jego stronę.

Tymczasem urzędnicy nie dotykając zabójcy — jakby był radioaktywny lub rozgrzany do czerwoności — poprowadzili go w stronę Domu.

Jim powrócił do Marty. Dziewczyna była na czworakach. Widocznie ktoś popchnął ją w zamieszaniu i zbyt zszokowana, by powstać o własnych siłach, pozostawała w tej dziwacznej pozycji, jakby szukała czegoś w trawie — utraconej wiary?

Jim podał jej dłoń pomagając wstać.

— Myślę — szepnęła Marta — że nic z naszego wieczornego spotkania.

Zdawała się być bardziej tym przejęta niż groteskową sceną, w jaką przerodziła się ceremonia. Najwidoczniej w podświadomym odruchu, w ten właśnie sposób starała się przywrócić wszystkiemu realny wymiar, zburzony przed kilkoma minutami morderstwem.

Uśmiechnęła się do Jima prawie przymilnie:

— Chodź, już lepiej pokażę ci twoje pokoje w Domu — odezwała się, ściskając mu dłoń.

A niech to..., pomyślał Jim, zadając sobie pytanie, czy dziewczyna przypadkiem nie ma ochoty z nim się przespać, aby zatrzeć wrażenie tego strasznego przeżycia. Z własnego bowiem doświadczenia wiedział, że u niektórych kobiet proces umierania wyzwala szczególny instynkt seksualny. Lecz to, co się wydarzyło tego popołudnia, nie miało nic wspólnego z umieraniem. Był to po prostu akt gwałtu...

III

Po wyjęciu walizki z ranboutu Jim i Marta zawrócili w stronę kamiennego mostu przerzuconego przez fosę. Wejścia na most strzegły, niczym flanki, dwie półmetrowe rzeźby motyli o aluminiowych skrzydłach, siedzących na białych marmurowych klepsydrach. Każdy gwałtowniejszy podmuch wiatru poruszał metalowe skrzydła owadów, niczym skrzydełka pracującego wentylatora.

Zgodnie z obyczajem ceremonii poeta powinien tego popołudnia przejść ten most i w ten symboliczny sposób wycofać się z życia w Egremont, a następnie, po dniach czy tygodniach spędzonych w Domu Śmierci — w zależności od własnego życzenia i uznania przewodnika — umrzeć. Teraz więc, przechodząc między metalowymi motylami, Jim odniósł dojmujące wrażenie, że ich skrzydła — niczym dwa sztylety — kierują swe ostrza prosto w jego serce. Morderca splugawił wszystko.

Szklane drzwi otworzyły się z delikatnym szelestem i Jim wraz z towarzyszącą mu Martą znaleźli się w gwarnym, zatłoczonym foyer. Zgromadziło się tu chyba ze dwudziestu mieszkańców Domu Śmierci. W powietrzu krzyżowały się gorączkowe, głośne rozmowy, czasami wzbijał się w górę czyjś piskliwy, histeryczny śmiech. Ktoś skarżył się głośno, ktoś złorzeczył mordercy. Cały porządek śmierci tych ludzi, którzy znaleźć tu przecież mieli ucieczkę i wytchnienie, został zburzony i jeden z przewodników oraz człowiek z obsługi Domu robili wszystko, by jak najszybciej opanować sytuację i przywrócić ład.

Marta i Jim przepchnęli się spiesznie przez wzburzoną grupkę kierując swe kroki do windy. Wjechali na dwudzieste piętro.

Tutaj, na samym szczycie piramidy, znajdowały się jedynie cztery — jak strony świata — apartamenty służbowe. Okna mieszkania Jima wychodziły na zachód. Gdy Marta otworzyła drzwi, promienie zachodzącego słońca zalewały właśnie pokój potokami światła, zostawiając plamy cienia, rzucane na meble i podłogę przez rosnące na balkonie krzewy yukki, fuksji i ostrokrzewu. Balkon ograniczały po północno- i południowo-zachodniej stronie pleksyglasowe, nieprzezroczyste ściany, a poprzez napowietrzny

ogród, w jaki został przekształcony balkon, malował się przepyszny widok na rozległe przedmieścia i dalej, na ciągnące się pola uprawne.

Z dużego gościnnego pokoju wychodziło się do sypialni o dużych, a zakrytych białymi żaluzjami oknach. Jim cisnął swój bagaż na łóżko i wycofując się do dużego pokoju, włączył telewizor.

Ekran wypełniła twarz burmistrza Barnesa. Po szklanych dekoracjach i krzakach wielobarwnych róż Jim poznał, że program nadawany jest gdzieś z terenu Domu.

Barnes? Czyżby Resnick wyszedł na durnia krzycząc na sprawozdawców...? W telewizji, przy wszelkich programach transmitowanych na żywo, stosowany był trzydziesto sekundowy opóźniacz, celem staranniejszej kontroli materiału. Jim był jednak przekonany, że pierwsze, jakże żywe i okrutne sceny przedstawiające martwego poetę spadającego z podium, poszły w świat, gdyż wszyscy byli zbyt osłupiali i zaskoczeni, aby natychmiast przerwać audycję.

Barnes sprawiał jednak wrażenie zupełnie opanowanego.

— ...zatem nie wolno nam jedynie ubolewać nad tym, że Norman Harper pozbawiony został dobrej śmierci. Wierzę, że najgorętszym pragnieniem Normana było, aby wszyscy restytuowali w sobie ideały głoszone przez te Domy — szczególnie gdy wracamy myślą do czasów, kiedy w systemach społecznych nie egzystowała śmierć jednostkowa, gdy była ona czymś z zewnątrz, czymś obcym. Gdy podejrzewamy, że tkwi w nas skaza, że skażeni jesteśmy przez tamte, odległe w czasie dni — jeśli czujemy w sobie szaloną pychę i ambicję, by zamrażać samych siebie; jeśli wierzymy w reinkarnację, w nieśmiertelność duszy ludzkiej; jeśli wyganiamy ze swej świadomości fakt o przemijalności życia ludzkiego powołując się przy tym na jakiś wyższy, astralny plan — czemuż nie udajemy się do swego Domu Śmierci, by tam zaczerpnąć przekonanie o tym, jak może być wspaniała, jak cudowna jest śmierć w odpowiednim czasie? Czemu unikamy udziału w seminariach? Domy są miejscem odosobnienia, ale nie znaczy to bynajmniej, że znajdują się poza nawiasem społecznym. Domy Śmierci to serce, to puls współczesnego świata. Umierający często chętnie dzielą się doświadczeniami...

Działać, działać, więcej działać, pomyślał Jim krzywiąc się w duchu. Więcej otwartych seminariów i wykładów, więcej tej tematyki w szkołach i telewizji. Oględnej, delikatnej propagandy nie naruszającej spokoju i intymności czyjejkolwiek śmierci. Ale wciąż to samo: działać, działać, działać...

Klął siebie w duszy za pychę i egoizm.

— Alternatywą jest tolerancja i bezkarność morderstwa. A do czego to prowadzi, widzieliśmy dzisiaj sami. Osoba, która wypiera się śmierci, jest jednostką niszczącą psychicznie świat innych. Norman Harper pisał w swej Księdze Śmierci: „Musisz łagodnie odejść w objęcia dobrej nocy...”

— Mówiłam ci, że mógłby zostać przewodnikiem — odezwała się Marta.

— Raczej korzysta z okazji.

— Przeciwnie, łagodzi skutki tego, co się wydarzyło. Próbuje zapobiec efektowi lawinowemu. Czy nie widzisz niebezpieczeństwa, jakie pociągnąć może za sobą dzisiejsza zbrodnia? To był pierwszy od wielu lat akt przemocy pokazany na ekranie. Ilu dzieciakom pozostanie to w pamięci na całe życie? A co ze wszystkimi biednymi, wstrząśniętymi ludźmi, którzy mają problem z każdą najbliższą nawet rzeczą? To był frontalny atak na wszystko!

— Sądzisz, że było to zaplanowane?

— Rzecz jasna, że nie.

— W takim razie wyolbrzymiasz sprawę. Morderstwa zdarzają się stale. Dobrze o tym wiesz. Ich liczba jest rzeczywiście niezwykle niska i stale maleje, ale nie wynosi zero.

— Ale z całą pewnością nie wolno o tym mówić publicznie. Żadne zabójstwo nie może stać się tematem dnia.

— Zabójstwo Normana Harpera jest — wzruszył ramionami Jim.

Marta przysunęła się nieco bliżej, dotykając jego ramienia.

— Nie potrafię wykorzenić z ciebie takich poglądów, wiesz o tym — powiedział łagodnie Jim. Musiałbym zająć miejsce Śmierci, by tego próbować. Ale Śmierć nie jest kimś — ani uwodzicielem, ani oprawcą.

Szarpnęła się gwałtownie do tyłu:

— To już twoja własna interpretacja moich uczuć. Ale ona mnie obraża.

— Jeśli nawet, to moja interpretacja jest prawdziwa.

Spoglądała dłuższą chwilę na żółte i zielone płytki podłogowej wykładziny.

— Jesteś sprytnym przewodnikiem — odezwała się. — Spostrzegawczym. Niejednej klientce musiałeś udowodnić, że Uwodzicielem może być tylko człowiek... Ale, ale — mówiła nie czekając na odpowiedź. — Co miałeś na myśli mówiąc „wierszydła” podczas deklamacji Normana?

— Naprawdę nic.

— Nie, powiedz.

Jim uświadomił sobie w tej chwili, że Marta zaczyna zdobywać nad nim przewagę. Było to niefortunne w tak krótkiej znajomości, jakkolwiek w dużym stopniu zawinione przez niego. Zupełnie jakby kiedyś za sprawą jakiejś magicznej sztuczki stanęli naprzeciw siebie nago, a teraz oboje przypomnieli sobie tę nagość.

— Miałem na myśli, że w przeszłości wiele bezcennych wręcz rzeczy miało swoje źródło w strachu przed śmiercią. Zobacz sama: systemy filozoficzne, sztuka.

— Chcesz powiedzieć, że poezja Normana nie jest sztuką, gdyż on był pozbawiony tego lęku? Ależ ty masz ambiwalentny charakter!

— Miałaś na myśli „dwulicowy”? Zrozum, najpierw ty musisz utożsamić się ze swo-

im klientem, a dopiero potem on utożsamia się z tobą. To jest absolutnie konieczne, nawet w przypadku, gdy osoba prowadzona ma początkowo do ciebie nastawienie negatywne, podejrzliwe, zgoła wrogie. Nawet jeśli próbuje się przeciwstawiać... zupełnym brakiem przeciwstawiania się.

— Jim, jaki jest prawdziwy powód twego przyjazdu z Gracchus?

Od odpowiedzi uratował go dzwonek telefonu. Gdy wyłączył odbiornik telewizyjny, burmistrz Barnes znikł natychmiast z ekranu przemieniając się w świetlny punkt, który po chwili zgasł. Zupełnie tak, jak zgaśnie burmistrz Barnes, lub ktokolwiek inny, kiedy umrze.

Jim odłożył słuchawkę.

— Resnick — oświadczył krótko.

— Tak mi się zdawało.

— Mamy się spotkać dopiero za pół godziny. Chce, bym poprowadził zabójcę, gdyż jestem tutaj obcy. Nie jestem Egremontczykiem, więc nie będę zatem żywić żadnych osobistych urazów do mordercy. Sądzę, Marto, że to jest odpowiedź na twoje pytanie. Sprowadzono mnie z Gracchus, bym poprowadził mordercę Normana Harpera.

Spojrzała na zegarek. Jeśli Marta w dalszym ciągu ma ochotę z nim się przespać, to jej pożądanie z całą pewnością nie zostanie zaspokojone tego popołudnia...

— Potrafisz być ironiczny — odezwała się dziewczyna.

Ale jeszcze więcej ironii, pomyślał, tkwiło w jego przelotnym, wcześniejszym pragnieniu, by być przewodnikiem Normana Harpera; w marzeniu, które tak nagle i nieoczekiwanie spełniło się w... obrzydliwym pokrewieństwie.

Podszedł do drzwi wyjściowych, jakby chciał otworzyć je wychodzącej Marcie. Stał jednak w uchylonych drzwiach i oparł się ręką o framugę. Czuł się jakby opanował go demon przewrotności.

— Zastanawiam się nad jednym — rzekł, ponuro spoglądając na dziewczynę. — Gdy nadejdzie mój czas, czy wrota Śmierci otworzą się przede mną na oścież? A może tylko uchylą się nieznacznie i utkwię w nich? Częściowo już tam, a częściowo jeszcze tutaj? Może stare legendy o zombie zawierają w sobie ziarnko prawdy? Może istnieją ludzie, którzy utknęli w bramach Śmierci? Ich podświadomość przeszła już na tamtą stronę, lecz umysł wciąż automatycznie wraca wlokąc za sobą ciało? I co ty na to?

Marta nieoczekiwanie roześmiała się, podejmując żartobliwy ton Jima.

— Może zamarzlaki to również takie zombie w lodzie? Niezły pomysł!

— Zastanawiam się czasami, czy my, przewodnicy nie czujemy się czasami jak nowa, uprzywilejowana kasta nieśmiertelnych? Bo zobacz: towarzyszymy do końca tym, którzy przekraczają swój ostatni próg w życiu. Zamykają za sobą ostatnie drzwi. Ale my zostajemy tutaj... my, uprzywilejowani odźwierni.

Potrząsnęła stanowczo głową.

— Też mamy swój czas i porę. Bez tego bylibyśmy... tak, bylibyśmy...

— Oprawcami. Gdybyśmy kończąc sześćdziesiąt lat również nie zamykali za sobą tych drzwi, bylibyśmy po prostu katami.

— Czasem krócej...

— O tak, zwłaszcza, gdy przewodnik jest już nasycony uwodzicielskim czarem umiærania innych.

— Zupełnie nie potrafię cię zrozumieć, Jim. Ale mam nadzieję, że pomimo to będziemy dobrymi przyjaciółmi i współpracownikami.

Jim zachichotał.

— Każdy przewodnik — czy to mężczyzna czy kobieta — posiada swój indywidualny styl. Moim może być, na przykład, humor dla tych, którzy potrzebują humoru. Potrafię nawet, jeśli zachodzi konieczność, zamienić wszystko w farsę! Odpowiednie podejście czyni cuda. Zdarzają się również przypadki, kiedy klient nie cierpi wprost chorobliwie kontemplacji zbliżającego się zgonu.

— Można im pokazać...

— Uważają to za świętokradztwo. Inni są natomiast po prostu wystraszeni. I dla tych osób również żart znaczyć może wiele. Krzepi ich w jakiś sposób. Co powiedział William Blake? „Wesoły żart, radosne wytchnienie”. Sam umarł, śmiejąc się, prawda? Norman Harper nigdy by...

— Co nigdy by?

— Nie pisał poezji takiej, jak William Blake.

— Bo Norman pisał dla normalnych ludzi, nie dla własnego rozgorączkowanego i mistycznego umysłu, jak Blake — wyzywającym, wojowniczym ruchem położyła dłoń na biodrach. — Życzę ci wspaniałej zabawy i udanych żartów z zabójcą Normana! — Mimo że Marta stała w swej buńczucznej pozie tylko chwilę, Jim nie miał wątpliwości, że ona nie znosi ostrych słów — a swoich własnych zwłaszcza.

— Jesteś dziwnym człowiekiem — odezwała się po chwili cichym, prawie pieszczotliwym głosem. — Lecz może właśnie trzeba takiej dziwnej osobowości, by poprowadzić kogoś, kto dokonał... dokonał czegoś takiego jak ten potwór dzisiaj.

— Miło mi usłyszeć, że jestem użyteczny.

— Wszyscy jesteśmy użyteczni. Śmierć każdego człowieka jest ważna i ma swój głębokii sens.

— Jak mówił burmistrz Barnes o Normanie Harperze.

Jim delikatnie dotknął ramienia Marty. Z własnego doświadczenia, które wyniósł z pracy z umierającymi oraz z wolontariuszami śmierci, wiedział, że jedna chwila takiego kontaktu znaczyć może więcej niż tygodnie zabiegów i setki argumentów.

— Czy mogłabyś mi wskazać drogę do refektarza? Przed spotkaniem z Resnickiem chciałbym się napić kawy.

Za oknem liście yutki sterczały jak zielone sztylety, a purpurowe fuksje układały się na nich kropelkami krwi.

IV

Resnick kordialnym ruchem objął przygarbione plecy Jima, jak dyrektor cyrku, chcący pocieszyć karła, który wyrósł ponad większość normalnych ludzi. Następnie Mistrz poprowadził swego gościa przez obszerny gabinet do przepastnego, przypominającego strąk fasoli, fotela. Fotel był jak dzbanecznik — gdy ktoś już raz znalazł się w jego wnętrzu, niesłychanie trudno było się z niego wyzwolić. Jim zapadł się głęboko w jego wnętrze.

Ponieważ gabinet Resnicka, oświetlony jarzeniówkami, tkwił głęboko w korpusie Domu, jedną ze ścian wypełniał w całości ekran przedstawiający zachód słońca nad morzem. Pokryte pierzastymi obłokami niebo płonęło gamą kolorów od łososiowego różu, przez czerwień, po najgłębszą purpurę. Pomarańczowe słońce zapadało zwolna za horyzont, a poprzez bezkresny przestwór oceanu ciągnęła się złocista wstęga drogi. Ocean, z którego nie powrócił jeszcze żaden żeglarz, pomyślał Jim.

Alice Huron stała wpatrzona w przecinającą ekran złocistą drogę. Na odgłos kroków Jima wchodzącego do gabinetu odwróciła twarz i zdawkowo skinęła mu głową. Po chwili — jakby przypominając sobie ich pierwsze spotkanie podczas ceremonii — złożyła mu drugi, głębszy już ukłon.

— Nie będziesz miał nic przeciwko obecności Alice? — spytał Resnick. — Ona została...

— Obrabowana? — odpowiedział Jim.

— Właśnie, obrabowana — Resnick uśmiechnął się, jakby doceniając jego domysłność. — Cały Dom został obrabowany. Egremont zostało obrabowane... Najbardziej jednak został obrabowany, w głębszym oczywiście znaczeniu, Norman Harper.

— „Odszedł Wróg w niepamięć. Złodziej nie istnieje” — zacytowała z goryczą w głosie Alice. — A jednak był. Dziś był i wróg, i złodziej, a Norman musiał umrzeć poza Domem. To okropne, to przerażające... — wysoka kobieta urwała, zdobywając się na słaby uśmiech. — Powinniśmy cię właściwie powitać. Planowaliśmy...

— Wspólne pieczenie pstrąga nad jeziorem. Tak, słyszałem. No cóż, trudno, nie wy-

szło.

— Ależ nic straconego. Powetujemy sobie to w piątek. Obiecuję.

Co też jeszcze ona obiecuje? Jej ton i zachowanie wskazywały, iż ma do niego drobną urazę za to, że on jeden obserwował ją podczas ceremonii odejścia. Może jednak mu się zdawało...

Alice natarła na Resnicka.

— Jak ta bestia po tym wszystkim może zasługiwać na dobrą śmierć? — odezwała się, a Jim pomyślał sobie, że skoro jest obecnie opiekunem tej bestii, zatem w jej oczach musiał być cokolwiek straszny...

— Czy ktoś może tego odmówić umierającemu człowiekowi? — sprzeciwił się Resnick. — Czy można w ogóle komuś odmówić ostatniej porady? Być może ten człowiek już tylko na to liczy?

— Czy ta „bestia” jakoś się nazywa? — przerwał mu Jim.

— Weinberger. Nathan Weinberger. W swoim czasie sam był przewodnikiem, lecz dawno już opuścił Dom. Zerwał kontrakt i złamał przysięgę. W tamtych czasach to jeszcze uchodziło na sucho. Od tego czasu pracował w mikroelektronice, tu w Egremont, oczywiście. Dopóki nie zachorował na raka... Na raka.

— Ile mu pozostało życia?

— Trzy lub cztery miesiące. Może mniej. Oczywiście nie musiałby cierpieć do końca! Mieliśmy zamiar poprowadzić go już za jakiś tydzień lub dwa. Na co on, u licha, liczył? Zniszczył cały harmonogram. To jest tak absurdalne...

— Dla niego nie był to zapewne absurd — odparł Jim. — A do mnie już należy wydobycie z niego pobudek i motywów, które nim kierowały.

— Niewątpliwie, niewątpliwie. Zdajesz sobie jednak sprawę, że przypadek Weinbergera jest sprawą precedensową i uwaga wszystkich Domów będzie skierowana na nas. I, niestety, opinii publicznej — dodał z westchnieniem.

— Wątpisz, czy podołam?

— Zobaczmy — palce Resnicka przebiegały po klawiaturze komputera znajdującego się na biurku.

— Gdybyś nie przybył do Egremont w samą porę — a właściwie nie w porę — mówił Resnick obserwując w skupieniu ekran — musielibyśmy wzywać przewodnika z zewnątrz, a to nie wyglądałoby najlepiej. A tak załatwimy to we własnym gronie. Niewątpliwie twój przyjazd nastąpił... tak, nastąpił w samą porę. O, widzę, że w Gracchus zajmowałaś się jakimiś badaniami nad życiem pozagrobowym?

Zaskoczony Jim zorientował się, że Resnick przegląda właśnie akta Todhuntera, a nie tego... jak mu tam było, Weinbergera. A co więcej, czyni to w obecności kogoś trzeciego — w obecności stojącej nieopodal Alice, która wprawdzie nie próbowała zerkać na ekran przez ramię Resnicka, tym niemniej...

— Mój wyjazd z Gracchus je przerwał — wyjaśnił sucho Jim.

— Zresztą to sprawa Domu z Gracchus i zostawmy ją na boku. Czy zamierzasz je podjąć tutaj? Mój poprzednik żywo interesował się tą problematyką. Przygotował nawet dźwiękoszczelne pomieszczenie w suterenie do swych astralnych — nie, nie użyję tego słowa! — do tych głupot, jak transy, ekstazy, bycie-poza-ciałem. Wy tam, w Gracchus, też wydajecie się serio traktować podobne rzeczy. Mam tylko nadzieję, że to ze względów taktycznych: by móc łatwiej dotrzeć do słabszych umysłów... — wzrok Resnicka nieoczekiwanie stwardniał. — Co cię skłoniło do podjęcia tych badań? Jaki był twój najwcześniejszy kontakt ze śmiercią?

Wraz z innymi kandydatami na przewodników Jim poddany został przeprowadzonej pod hipnozą autoanalizie dotyczącej jego najwcześniejszego — jeszcze w dzieciństwie — zetknięcia się ze śmiercią. Wyniki tej analizy — a więc odpowiedź na pytanie Resnicka — znajdowały się naturalnie w aktach przekazanych z całą pewnością do komputera w Egremont już co najmniej tydzień wcześniej. Czyżby więc Resnick z ich przejrzeniem zwlekał aż do teraz? Oczywiście bzdura! Gdyby tak rzeczywiście było, Mistrz nigdy by nie wyraził zgody na to, aby Jim poprowadził mordercę Normana Harpera. Chyba, że Resnick nieoczekiwanie znalazł się w kropce...

Po prostu chce usłyszeć odpowiedź z moich ust, zdecydował Jim. Upływ czasu bowiem częstokroć sam powoduje zmianę poglądów i zapatrywań.

A może robi to ze względu na Alice Huron? Na otarcie łez, by zrekompensować jej utratę Normana Harpera? A może... faktycznym władcą Domu jest właśnie Alice Huron? Czyżby Resnick kazał przejrzeć jego dokumenty komuś innemu, kto zna już dobrze ich zawartość, a znajduje się teraz obok nich?

Alice Huron ostentacyjnie koncentrowała swoją uwagę na pejzażu, jakby chciała dać do zrozumienia, że rozmowa mężczyzn wcale jej nie interesuje. Na ściennym ekranie rozdęte słońce cały czas pogrążało się w wodzie ustępując mrokowi nocy, który zresztą do końca nigdy nie zapadał. Jim pomyślał przelotnie o zamarślakach, zawieszonych między życiem a śmiercią — choć w rzeczywistości już martwych. Żaden z nich nie doświadczył tak złocistego, tak łagodnego i dobrego zmięzchu — nie doświadczył w ogóle niczego.

Alice Huron. Jim zgodził się na jej pozostanie tutaj, dzięki czemu mogła ona teraz usłyszeć relację o jego najwcześniejszym kontakcie ze śmiercią — jeśli oczywiście nie została w to już wcześniej wprowadzona. Ostrożności nigdy za wiele, pomyślał kwaśno. Wszak wpłatał się już w coś z Martą Bettijohn. Czemuż więc pozwala, by historia ponownie się powtórzyła z inną kobietą? Odpowiedź jest prosta: ponieważ on sam pragnie, by była tu obecna — zobaczył ją bowiem obnażoną, tam na podium, gdy płakała. W tym momencie Jim zrozumiał, że Alice jest kochanką Resnicka. Odkrycie to odebrał jako osobistą krzywdę: w irracjonalny bowiem sposób uważał, że powinna nale-

żeć wyłącznie do niego — już choćby z tego względu, że oboje nie mieścili się w futrynach drzwiowych.

— A więc? — głos Resnicka przywołał Jima do rzeczywistości.

— Wpadłem do rzeki — odrzekł. — Tonąłem. Ujrzałem jasność, doznałem szczęścia. Potem wyciągnięto mnie na brzeg i przywrócono do życia. — Było to bardzo dawno temu, lecz pamięć tego wydarzenia jeszcze dzisiaj w nim tkwiła.

— Od tego czasu starałem się ukazywać tę jasność innym ludziom, nauczyć ich sztuki szczęśliwego umierania. Chciałem wskazać sposób, jak umierać bez strachu — i zapewne, poprzez swoich klientów, pragnął sam ponownie pochwycić refleks tej jasności, upewnić się, że jest tam nadal.

— Pan Ananda twierdzi, że owo „światło śmierci” jest wyłącznie reakcją mózgu, doznaniem — zaznaczył Resnick. — To nie żaden tunel do nieba czy zjawisko nadprzyrodzone, lecz coś całkiem naturalnego.

— Lecz z drugiej strony przekonanie, że na końcu czeka cię rozkosz i szczęście, też znaczy bardzo wiele.

— Z pewnością. Dlatego też terapia śmierci musi być jak garnitur szyty przez krawca na miarę, a nie sztapową, dogmatyczną produkcją. Natomiast wszelkie studia nad życiem pozagrobowym prowadzą donikąd. Nie wolno nam obiecywać rzeczy fałszywych.

— Dawek opium — mruknęła cicho Alice.

— Studia nad życiem pozagrobowym prowadzą donikąd z jednego prostego względu — odparł Jim. — Nie dysponujemy żadnym konkretnym dowodem. Nikt, kto raz umarł, nie wrócił już z powrotem. Oczywiście za wyjątkiem nielicznych przypadków jak mój — przywrócenie do życia po zatonięciu.

— Zatem wszystko jest czystą spekulacją — ostro odezwała się Alice. — Fantazjowanie na temat śmierci jest niebezpieczne. To prowadzi do takich rzeczy, jakich byliśmy świadkami dzisiaj.

— No, nie jestem dogmatykiem. Jestem krawcem, jak zgrabnie określił to Noel. Poważnie jednak, myślę, że istnieje sposób, by ujrzeć mignięcie owej jasności: poprzez mimikrę, poprzez pozorną śmierć. Nad tym właśnie w Gracchus pracowaliśmy: Badanie Stanów Pozornych.

— Słyszałem, że jeden z waszych przewodników tak znakomicie pozorował śmierć, że w końcu rzeczywiście umarł — odparł cierpko Resnick. — Prawdziwe niebezpieczeństwo wszelkich koncepcji życia pozagrobowego leży w tym, że mogą prowadzić one do negacji naszego doskonałego świata — do przesadnego zachłyśnięcia się „tamtą stroną”, nawet do samobójstw, które już same w sobie są aktem gwałtu zadany społeczeństwu. Gwałt, który dzisiaj widzieliśmy, wystarczy nam do końca życia.

— Skąd Weinberger miał broń? — Jim zmienił temat.

— Sam go spytaj. Jest w pokoju 302 — powiedział Resnick wyjmując z szuflady klucz.

— Nie badał go Urząd Spokoju?

— Pamiętaj, że on odchodzi i jest już tylko pod naszą pieczęcią. Poza tym nie sędzę, by było istotne, skąd ma broń. Nie cała broń palna została przecież odnaleziona i zniszczona. Ludzie kurczowo trzymają się takich głupstw, jak broń właśnie, narkotyki, trucizny. Nie, ważny jest użytek, jaki on z tej broni zrobił; oraz to, że dokonał tego własnoręcznie. Weinberger był mizantropem i to chyba pozbawionym piątej klepki. Jego życiorys był bezbarwny — aż do chwili, gdy pojawił się na strzelnicy.

— To niezupełnie tak. Zazwyczaj to cel pojawia się na strzelnicy — wtrąciła Alice.

— O tak, wiem. Ale komu potrzebne są takie tradycje? — rzekł Resnick i ponownie zwrócił się do Jima:

— Zdaję sobie sprawę, że dopiero do nas przybyłeś i...

— Zabieram się do pracy. Po to tu przecież jestem.

— Roboty z całą pewnością ci nie zabraknie. Weinberger musi zostać przystosowany. A to może wyjść tylko z niego samego. Niewątpliwie bardzo mu jeszcze daleko do tego. Lecz społeczeństwo czekać będzie na wiadomość, że proces readaptacji przebiegł pomyślnie. Aktualnie twój klient jest w drugim stadium wściekłości. Skrywał to bardzo dobrze, tak dobrze, jak... skrywał broń. My uważaliśmy, że był w czwartym stadium depresji, tuż przed akceptacją. To, że był on przewodnikiem, pomogło mu wprowadzić nas w błąd. Tu, proszę, masz kasetę. Wysłuchaj jej przed wizytą u niego.

Jim wygramolił się ze strąkowego fotela, odebrał z rąk Resnicka kasetę, po czym schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie leżał już klucz. Potrząsnął przecząco głową:

— Sędzę, że będzie dużo lepiej, gdy zobaczę go przed wysłuchaniem kasety. Niech najpierw on sam opowie mi co nieco o sobie.

Resnick uprzejmie skinął głową.

Gdy Jim był już przy drzwiach, dobiegł go głos Alice:

— W piątek wieczorem, nie zapomnij! Przy ognisku. Miejmy nadzieję, że do tego czasu utrzyma się pogoda.

Na ekranie, poza jej plecami, bez przerwy malowniczo zachodziło słońce.

V

Nathan Weinberger leżał nieruchomo na łóżku, szalony i bierny zarazem — jak zwierzę powalony pociskiem ze środkiem usypiającym. Jim nie przypuszczał jednak, by podawano mu środki uspokajające. Gdyby morderca rzeczywiście był odurzony farmakologicznie, Resnick z całą pewnością odłożyłby wizytę Jima na później.

Nie, to nie to. Weinberger wyglądał jak sparaliżowane dzikie zwierzę, ponieważ przebywał pod kluczem — jedyny człowiek w Domu zamknięty w celi. Wszelkie potencjalnie niebezpieczne przedmioty zostały stąd skrzętnie usunięte, a pod sufitem lśniło kryształowe oko kamery pozwalającej dyżurnym na obserwację zabójcy. Obok obiektywu paliła się czerwona lampka kontrolna.

Pokój 302 znajdował się głęboko w korpusie Domu, jak wszystkie przeznaczone dla klientów, którzy osiągnęli ostateczny stopień przygotowania do odejścia. W izbie tej również znajdował się ogromny ścienny ekran z panoramą rozległych, ciągnących się po horyzont lasów. Zwierzę nazwiskiem Weinberger nie miało jednak żadnych szans ucieczki w gęstwinę lasu, by tam zaszyć się i samotnie, nie prowadzone przez żadnego przewodnika, umrzeć. Weinberger był uwięziony.

— Witaj — odezwał się Jim stanawszy po środku pokoju. Więzień ani drgnął.

Jim podszedł do łóżka i sięgnął po słuchawkę stojącego na niskim stoliku telefonu.

— Mówi Przewodnik Todhunter — rzucił do mikrofonu. — Proszę zostawić nas samych.

W słuchawce rozległo się krótkie mruknięcie i czerwony ogień obok kamery zgasł.

Więc to jest ten morderca, myślał Jim siadając na brzegu łóżka. Niebezpieczna i niesłychanie rzadka dziś bestia — okaz zoologiczny. Jednak spoczywający na łóżku mężczyzna nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego.

— No dobrze, panie Weinberger — pozwolisz, że będę mówił do ciebie Nathan — narobiłeś tu solidnego zamętu! Wszyscy są poruszeni. Nie sądzę, byś był specjalnie mnie ciekaw, ale nazywam się Jim Todhunter i jestem twoim nowym przewodnikiem. Nie możesz mnie znać, gdyż pochodzę z Gracchus; ściśle mówiąc, dopiero dzisiaj przy-

byłem do Egremont. Nie mówię ci tego wszystkiego, by zyskać twoją sympatię. Chcę jedynie zaznaczyć, że w każdej chwili jestem do twojej dyspozycji. O tobie wiem bardzo niewiele, tyle tylko, że byłeś przewodnikiem...

Weinberger spojrzał nieco uważniej na Jima.

— Łowca śmierci — szepnął. — Takie jest twoje prawdziwe nazwisko, kolego. To po niemiecku oznacza Śmierć*. Czy rzeczywiście wiesz, jak ją złowić?

— Jako przewodnik?

— Nic nie rozumiałeś. Zresztą, jak mógłbyś cokolwiek pojąć? — mężczyzna ostentacyjnie zamknął szalone oczy, jakby chciał wymazać obraz stojącego przed nim Jima.

— Więc spróbuj mi wyjaśnić, Nathanie.

— Społeczeństwo jest chore — wyszeptał Weinberger, jakby do siebie. — Społeczeństwo jest chore, a ja znam przyczyny tego schorzenia. Nikt nie rozumie śmierci.

— Jest to z całą pewnością pierwsze w historii świata społeczeństwo o zdrowych zmysłach. Wiesz czemu, Nathanie? Właśnie dlatego, że pojęło istotę śmierci i pogodziło się z nią całkowicie. Śmierć jest nierozzerwalnie z nami złączona. Ona tkwi w nas!

— Jasne, od dzieciństwa. Nastąpiły jakby czasy starożytnego Egiptu — tyle że oglądane w krzywym zwierciadle. Ale nie buduje się teraz grobowców w kształcie piramid i nie wkłada do środka złotych naczyń. Choć właściwie ten Dom jest niezłą kopią piramidy. Zastanawiam się tylko, czy architekt celowo stworzył taką budowlę.

Jim był dość zadowolony z kierunku, w jakim poszła rozmowa.

— Kto mógł jadać z tych złotych talerzy? — spytał swobodnym tonem. — Chyba tylko przyszli archeologowie.

— Może Śmierć?

— Przecież śmierć to nie osoba.

— Sądzisz, że to nie jest osoba?

— Powiedziałaś „to”. Czy osoba może być rodzaju nijakiego?

— Jeśli tą osobą jest Śmierć, kolego...

— Ach, więc tak widzisz śmierć? Nie jest to, twoim zdaniem, Wielkie Spełnienie, lecz Wielka Nijakość wyposażona raczej w miecz do kastrowania niż w kosę?

— „Widzisz”? — jak echo powtórzył Weinberger. — Nikt nie widzi. Wszyscy są ślepi.

— Z wyjątkiem ciebie, oczywiście.

— Och, też nie widziałem tego, co mógłbym! To tak, jakbym miał dodatkowy zmysł, którego nie potrafię w pełni wykorzystać. Jeszcze kilka tygodni, a sprawy wzięłyby całkiem inny obrót! Niestety, wasza fabryka śmierci każe mi odejść. Wpadłem w wasze medyczne sieci i jestem tutaj.

*Hunter (ang.) — łowca, myśliwy

— Czemu zabiłeś Normana Harpera?

— Nie wiem. Może dlatego, że był to nadęty ponurak. A może też, że była to zakłama, zadufana w sobie kukła. A może, by go uratować.

— Uratować? Przed czym?

— Przed Śmiercią, oczywiście. W obecnych czasach Śmierć pożera wszystkich. Wyjątek stanowią ci szczęśliwcy, którzy wychodząc na jezdnię przed nadjeżdżającą ciężarówką, patrzą akurat w stronę przeciwną, lub osoby śmiertelnie porażone prądem; słowem, ci wszyscy szybcy, których to zaskoczy. Nawet tonięcie jest już procesem zbyt wolnym.

— Ja tonąłem, Nathanie. Jako chłopiec jeszcze. Naprawdę utonąłem, lecz przywrócono mnie do życia. Doświadczyłem... szczęścia.

— Jak po szprycy z heroiny? Jeśli oczywiście pamiętasz jeszcze, co to heroina. Dzisiaj Śmierć zabiera wszystkich. Sygnały są silne i gorące. A ono wszystkie je słyszy i wszystkie czuje.

— Jeśli sądzisz, że śmierć jest jak narkotyk, który na jednych działa silniej, a na innych słabiej, to mogę ci bez kłopotu wykazać, że umiera każdy. Umiera, umierał i będzie umierać. Z tym, że współczesny człowiek potrafi odpowiednio nastroić swój umysł na przybycie śmierci. Wie, jak się do niej zbliżyć. I kiedy.

— Kiedyś Śmierć nie zabierało każdego, ominęło wiele, wiele osób. Nie musiano wtedy dostrajać do niczego umysłów. Ludzie nie wysyłali żadnych sygnałów, bo ich umysły musiały poskramiać ciało i wciąż odmawiały przyzwolenia. Obecnie dla Śmierci nastały rozkoszne czasy — hula sobie bezkarnie po świecie. Śmierć stało się potężne. Potężne, kolego. Obiega sobie cały ten przekłęty świat lub raczej to, co z niego pozostało. Znalazło dostęp do naszych świadomości, skoro potrafiło tak sobie to załatwić.

Weinberger mówił teraz już swobodnie. Lecz wszystko to, co powiedział, wydawało się na tyle szalone, co trudne do zrozumienia. Prymitywna personifikacja śmierci powinna być, co prawda, już dawno wytarta z jego świadomości, jeszcze podczas szkolenia w Domu Śmierci. Jim pamiętał jednak, że Weinberger opuścił Dom zrywając kontrakt. Zabójca Normana Harpera najwyraźniej przechodził silną fazę odmowy — przepełniała go żądza pertraktacji ze „Śmiercią”, czy nawet ofiary dla niej, a raczej „tego”, tak, „tego”: śmierć nie była bowiem dla Weinbergera osobą. Słowem, stanowił przedziwny przypadek umysłowej regresji do poziomu dawnych, barbarzyńskich czasów.

— Sam do tego wszystkiego doszedłeś — obojętnie stwierdził Jim.

— Najlepszą formą obrony przed Śmiercią jest wojna albo morderstwo, albo nagły wypadek. A najlepszym rozwiązaniem byłaby bomba wodorowa.

— A, rozumiem.

— Nic nie rozumiesz. Natomiast ja doskonale wiem, jak ty oceniasz takie stwierdzenie jak moje: „Wojny i zamieszki wskazują na naszą wzrastającą niemożność akceptacji śmierci pogodnie i z godnością”. Koniec cytatu. Lecz, być może, istnieje więcej ro-

dzajów śmierci.

— Oczywiście, że istnieje.

— Śmierć za pośrednictwem Domu oraz inne, niekontrolowane i anarchistyczne rodzaje śmierci? Nie, to wcale nie jest takie proste.

— Więc mi to wyjaśnij, Nathanie.

Weinberger wpatrzył się w widmowy las na ekranie wypełniającym ścianę jego więzienia. Potrząsnął odmownie głową:

— Jestem zmęczony, Przewodniku Todhunter. Zrozpaczony. Idź i poluj sobie na Śmierć gdzieś indziej. I miej tylko nadzieję, że tego nie znajdziesz, aż nadejdzie wielka niespodzianka. W zamian uzyskasz wygodne, nie zmacone niczym i wyważone, choć kretyńskie życie. Takie, jakie zalecał Norman Harper, którego jednak uratowałem przed samym sobą. Ktoś w końcu musi uważać na głupców. A teraz już sobie idź. I nie zapomnij włączyć tego szpicla.

Bez słowa protestu Jim podniósł słuchawkę telefoniczną i rzucił krótkie polecenie. Pod sufitem zapłonęło czerwone światełko. Nie kłóć się z umierającym, pomyślał. Osiągnąłem wystarczająco dużo jak na jeden raz. Weinberger już mnie wygania, ale po to tylko, żebyśmy jutro powrócili do tematu.

— Przyjdę jutro, jeśli pozwolisz.

— Czy wiesz, że tak naprawdę to powinienem zastrzelić siebie, nie jego — nieoczekiwanie odezwał się Weinberger. — Lecz to i tak na nic by się nie zdało. Śmierć można oszukać wyłącznie przez zaskoczenie! — Umilkł, lecz dodał nagle:

— Kamera jest zbędna. Możesz również tu naznosić noży, lin i butelek z trucizną, ile tylko zechcesz. Nawet ich nie dotknę.

— Ale jednak kamera niech zostanie, co? No dobrze, o której mogę jutro zajrzeć do ciebie?

— Ach, ta swoboda wyboru! No dobrze, grajmy to według tekstu! A rano możesz przyjść o wpół do jedenastej.

Dopiero po opuszczeniu pokoju i zamknięciu drzwi na klucz, przypomniał sobie, że miał zapytać Weinbergera o broń. Teraz jednak uznał to za mało istotny szczegół całej sprawy, w porównaniu ze spaczonym spojrzeniem jego klienta na życie i śmierć, które to spojrzenie — w taki czy inny sposób — Jim musi wyprostować.

VI

Punktualnie o dziesiątej trzydzieści Jim zastukał do drzwi pokoju Weinbergera. W kasecie otrzymanej od Resnicka nie znalazł nic interesującego; niewyjaśniona również pozostała kwestia motywów odejścia Weinbergera z Domu Śmierci przed około dziesięciu laty. Przed samą wizytą natomiast Jim sprawdził, czy jego klient został nakarmiony, zbadany przez lekarza i czy zmieniono mu pościel. Personel Domu mógł bowiem celowo szykanować mordercę czując doń szczególną odrazę. Nic takiego się jednak nie zdarzyło.

Na pukanie nikt nie odpowiedział. Mimo to Jim odczekał jeszcze jakiś czas, zanim otworzył kluczem drzwi. Wszedł do środka i natychmiast dostrzegł wlepiony w siebie, wyczekujący wzrok Weinbergera, który jednak nie odezwał się.

Po poleceniu wyłączenia kamery Jim usiadł.

Ekran ścienny przedstawiał ten sam, co wczoraj, widok rozległych lasów i Jim rozważał chwilę, czy by nie zaproponować Weinbergerowi zmianę dekoracji. Doszedł jednak do wniosku, że byłby to gambit zbyt słaby. Ostatecznie podnieta nowością jest ostatnią rzeczą, której pożąda umierający człowiek. Jeśli Weinberger to właśnie odczuwa, to dobry znak.

Jim wolał inny, korzystniejszy gambit. — Nie chcę grać według tekstu, Nathanie — powiedział.

Tekstem, który miał na myśli, był *Dobra Śmierć: Poradnik Umierających* — aktualnie w wydaniu dwunastym, poprawionym. Niewątpliwie Weinberger musiał dobrze znać jakieś wcześniejsze wydanie tego dzieła.

— A na początek chciałbym prosić o wyjaśnienie twoich wczorajszych słów: „Idź i sam sobie połuj na śmierć. I miej tylko nadzieję, że tego nie znajdziesz”. Lecz wpierw ja z kolei chciałbym podzielić się pewnymi moimi wrażeniami. Powiem szczerze, mam własne zdanie o tym, co dzieje się obecnie w Domach. Na przykład, jestem przekonany, że zaczniesz się nagonka na wszelkiego rodzaju studia nad życiem pozagrobowym. Chodzi w tym raczej o względy polityczne; jak gdyby jakikolwiek dowód na istnienie życia po

życiu mógł godzić w społeczeństwo, więc nie należy dopuszczać do siebie nawet myśli o nim. Inna rzecz, moim skromnym zdaniem, że kwestia życia pozagrobowego jest wyłącznie polem spekulacji, jałowych dociekań w stylu: skąd się wziął wszechświat, lub co się z nim stanie po jego ostatecznym kolapsie. Ja za to uważam, że kwestia prowadzenia czy zaniechania takich badań powinna zostać sprawą otwartą. Ludzie i tak będą przez nas prowadzeni ku dobrej śmierci, jako ostatecznemu kresowi życia.

— To brzmi jak jedna potężna sprzeczność — rzekł Weinberger, a w głosie zabrzmiały mu nutki zainteresowania.

— Mylisz się. W sprawie życia pozagrobowego najmniej prawdopodobna jest kontynuacja osobistego doświadczenia jednostki. Dlaczego? Ponieważ to osoba umiera. Przypuśćmy, że wspomnienia i doświadczenia z tego życia przetrwają: ale w jakiej formie? Jako rodzaj taśmy, pętli odtwarzającej się na okrągło w nieskończoność, bez żadnych nowych wrażeń i doświadczeń? Czy może rodzaj animowanych obrazów twego przeszłego życia? Sądzę, że nie! Bo zakładając, że w życiu pośmiertnym istnieją jednak nowe doświadczenia, to po jakimś tam czasie pogrążysz się w tych nowych — tam już nabytych — wrażeniach i doświadczeniach, które nie będą już miały żadnego związku z naszym obecnym życiem. Więc może nawet istnieje cokolwiek po śmierci, ale nie będzie to ani powtórką, ani kontynuacją naszego tutaj i teraz. Tak więc po prostu musimy raz na zawsze skończyć z tym nieszczęsnym tu i teraz.

— Gdy utonąłeś, ujrzałeś światłość szczęścia? A teraz ponownie się spodziewasz je ujrzeć? Rodzaj wiekuistego orgazmu?

— Nazwałbym to raczej oświeceniem. Bardzo dobrze, żeś wspomniał o wieczności. Nasze poczucie czasu zależy od szybkości metabolizmu naszych ciał, nieprawdaż? Dlatego też dziecko odczuwa godzinę jako dłuższy okres czasu niż osoba dorosła. Szybkość upływu czasu maleje w miarę naszego starzenia się. W miarę wspinania się na piramidę życia, ta staje się coraz węższa. Co więc się dzieje, gdy następuje nagły zwrot w chwili śmierci? Lub co, gdy już osiągamy punkt, w którym czas nie istnieje, a zarazem, istnieją wszystkie czasy? Może właśnie moment śmierci staje się dla istoty, która jej doświadcza, chwilą rozciągniętą na całą wieczność? Moment ten trwa i trwa ciągle, pomimo iż zwykły świat pali już nasze zwłoki i idzie dalej swym równo odmierzonym krokiem.

— A więc życie pozagrobowe to ta ostatnia zamierająca sekunda — trwająca i trwająca? Cóż za szalony pomysł! Posłuchaj, kolego; Śmierć czeka na nas — lecz czasami potrafimy spóźnić się na spotkanie. Czasem jesteśmy zbyt szybcy dla tego.

— Zbyt szybcy?

— Norman Harper był również zbyt szybki — dzięki mnie. Dlatego przeszedł.

Oszołomiony Jim potrząsnął głową:

— Przeszedł przez co?

— Panie Todhunter, czy słyszał pan coś o trupim pocie? Alias: feromon śmierci.

— Wiem, czym są feromony. To związki chemiczne wydzielane przez żywe stworzenia w celu przywabienia innych żywych stworzeń. Na przykład feromony seksualne, które powodują łączenie się przedstawicieli tego samego gatunku w pary. W tym przypadku feromon likwiduje wzajemny opór partnerów.

Weinberger usiadł na łóżku.

— Są to najpotężniejsze substancje występujące w naturze — rzekł. — Jedna molekula feromonu wydzielona przez samicę ćmy wabi do niej samca z odległości pięciu mil. Pozwól, że coś ci powiem, kolego. Istnieje feromon śmierci: substancja, którą wydziela z siebie każdy konający człowiek. To feromon właśnie przywabia Śmierć. I śmierć zbiera swe żniwo. Początkowo powstał on jako ostrzeżenie dla innych przedstawicieli tego gatunku: „Coś tu umiera! Niebezpieczeństwo! Odsunąć się!” Miało to wielkie znaczenie w procesie ewolucji. Potem wszelkie gatunki zjadaczy padliny nauczyły się, jak trafiać nieomylnie do zwłok. Jak myślisz, skąd sępy wiedzą, gdzie się gromadzić? Nikt mi tego nie potrafił wytłumaczyć w sposób zadowalający. A odpowiedź jest niesłychanie prosta, jeśli istnieje feromon śmierci! A istnieje, jest nim trupi pot: substancja wydzielana przez konające ciało i dogorywający umysł. Oczywiście proces wydzielania rozpoczyna się jakiś czas przed zgonem, gdy ciało jeszcze żyje... My, jako gatunek, jesteśmy cholernie mało wrażliwi, jeśli idzie o odbieranie tych sygnałów własnego ciała. Nic więc dziwnego, że dotychczas nikt, w sposób świadomy, tego nie spostrzegł. Feromon ostrzega! — oczy Weinbergera były dzikie, opętane. — Ostrzega, ale też i przyciąga Śmierć wszędzie tam, gdzie zachodzi proces umierania. Śmierć to sęp duszy, Jim.

Jim spostrzegł, że Weinberger po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. Był jednak zbyt wstrząśnięty tym, co usłyszał, by pojąć w pełni doniosłość tego faktu.

— Twierdzisz, że istnieje pasożyt — stworzenie żywiące się naszymi zgonami? Stwór pożerający nasze dusze? A dzięki temu w Domach przygotowujemy każdego na śmierć, nikt nie wymyka się z jego sieci?

— Wymykają się tylko ofiary — a raczej „beneficjenci” — nagłych wypadków i mordstw.

— To dzika, obłądana teoria!

— Och, mogę to udowodnić, a raczej byłem już tego blisko. Niestety rak dopadł mnie w swoje szpony. Nie mam już czasu.

— Nikt nie wie o twoim odkryciu?

Weinberger roześmiał się szyderczo.

— Ludzie są zbyt banalni. Zbyt zwyczajni i głupi, by zaakceptować to, że świat, w którym żyją, jest całkowicie postawiony na głowie.

— Mnie zaufałeś.

— Wiesz czemu opuściłem Dom? By zacząć własne badania. Tam nigdy by mi na to nie pozwolono. Tak samo jak tobie. Chyba wiesz, co się stało z twoimi studiami o życiu

pozagrobowym. A nawet nie byłś blisko celu.

— Zakładasz, że Śmierć — pan Ś. — nie dopuszcza do badań nad swoją naturą?

— Nie nad naturą. Nie jestem taki głupi, by dawać odpowiedzi, których nie jestem pewien... W Domu zebrałem tylko niewielką ilość trupiego potu, oczywiście w najgłębszej tajemnicy, by móc prowadzić swe badania. Potem sam nauczyłem się syntetyzować feromon. Oczywiście trzymałem go w dobrze ekranowanym miejscu.

— To oczywiste.

— W butli próżniowej. Wydaje się, że lepsza i bezpieczniejsza byłaby niewielka klatka elektromagnetyczna. Ale nie jestem pewien. Tego typu studia, to jak macanie po ciemku...

Rozmowa poszła w tak absurdalnym kierunku, że Jim zupełnie stracił głowę. Jest przecież przewodnikiem śmierci, a nie psychiatrą. Lecz na tyle orientował się w tematyce chorób psychicznych, by nie żywić wątpliwości, że ma do czynienia z paranoikiem. Żadna księga Domu nie przewidywała podobnego przypadku. Nieuleczalnie choremu szaleńcowi pomagały umierać środki narkotyczne, a nie przewodnik.

Tak, paranoik. Weinberger w obliczu śmierci stworzył spójny sam w sobie system oparty na najbardziej bzdurnych przesłankach; mieszanina manii prześladowczej, wiedzy o Prawdzie (której nikt prócz niego nie znał) oraz praktycznych działań, by udowodnić coś w rodzaju, że dzień jest nocą, a światłość ciemnością. Wszystko dlatego, że umiera.

Nie! Śmiertelna choroba niczego nie tłumaczy. Weinberger przystąpił do swych szalonych badań dziesięć lat temu.

Szalony. A Jim mimo wszystko musi być jego przewodnikiem, bo człowiek ten w swym szaleństwie zamordował Normana Harpera. Stał się teraz zbyt ważną osobą, by po prostu posłać go w objęcia spokojnej śmierci, za pomocą środków farmakologicznych.

Niewątpliwie praca w Domu Śmierci musiała mu przed laty pomieszać w głowie, wytrącając z równowagi umysł. To wszystko, co tam poznał, czego się nauczył i doświadczył, stało się podstawą nowej, jedynej w swym rodzaju wiary.

— Jak na to wpadłeś? Co cię naprowadziło na trop?

— Uczestniczyłem osobiście w procesie eutanazji większości moich klientów. Kiedy odchodzili — gdy EEG wskazywało przedagonalny rytm thanatos — dostrzegłem czyjąś obecność w gabinecie. Nie mogłem jednak tego dokładnie spostrzec. Nie potrafiłem skierować na to wzroku wprost. Jakby to coś znajdowało się tuż poza polem mego widzenia.

Tuż poza zasięgiem umysłu, poprawił w myślach Jim.

— Czy ktoś inny to widział?

— Wierz mi, byłem bardzo ostrożny w rozpatrywaniu. Pytałem aluzjami: „Czy w ga-

binecie jest komar? Czy wleciała ćma?” Ale nie chciałem pytać zbyt otwarcie. Potem zacząłem widzieć to zawsze blisko umierających. Prawie to dostrzegłem. Ale zawsze niezupełnie, zawsze prawie; jednak, jednak za każdym razem to tam było. Wymagało to specjalnego uwypuklenia, nastrojenia, nastawienia na ostrość, zogniskowania — tak, jak komputer wyostrza fotografię... Kiedyś byłem świadkiem wypadku na Headway. Urwał się pusty wagonik. Spadł, miażdżąc jedną osobę i śmiertelnie raniąc inną. Nie wiele brakowało, bym sam oberwał! Bardzo zresztą żałuję, że tak się nie stało. Pierwsza ofiara zginęła natychmiast i niczego w pobliżu niej nie zaobserwowałem. Agonia drugiej trwała jakieś pięć — dziesięć minut. Ambulans spóźnił się, a ja dzięki temu mogłem znów zobaczyć, jak ten stwór przybywa — to samo co widziałem w gabinecie eutanazji. Znów prawie je zobaczyłem.

Tak więc Weinberger doszedł do przekonania, że jest Galileuszem Śmierci... Lecz gdzie teleskop, pokazujący góry na Księżycu? Nie istnieje!

— Co chciałeś zrobić z trupim potem, jak go nazwałeś? I co to za wielki plan przewany przez twoją chorobę?

Zastanawiająca rzecz: Weinbergerowi odpowiadał brutalny ton pytań. I nie był już wcale tak ostrożny w formułowaniu swych fantazji.

— Och, jakże w dawnych czasach kryliśmy się przed śmiercią! Jak chroniliśmy bezcenne bogactwa naturalne, aparaturę naukową, dzieła sztuki, żywność! Schrony przeciwatomowe, prawda?

— Przetrzały do dzisiaj w doskonałym stanie. Rosną w nich grzyby.

— Istnieją też inne kryjówki, na przykład kryjówka fotografa — Weinberger spojrział w górę, na zawieszoną pod sufitem nieczynną kamerę. — Z niej można pochwycić ptaka śmierci w locie. Ale ja miałem dużo, dużo większe ambicje, niż tylko zbudować autokamerę. Chciałem zbudować klatkę, by złapać tego ptaka. By go tam trzymać... Wiem, jak tego dokonać, Jim. Nawet zacząłem taką klatkę konstruować. I prawie ją skończyłem, Jim, potrafię zbudować... klatkę dla Śmierci.

Klatka dla Śmierci.

— Musisz mi dać nieco czasu, Nathanie, bym dobrze przemyślał całą sprawę.

— Nie krępuj się — odparł Weinberger z zadowoleniem. Czyżby z pewnością, że Jim i tak tego nie zaakceptuje?

Bez wątpienia, gdyby Jim zaczął się sprzeciwiać, argumentować, przemawiać do rozumu, Weinberger prawdopodobnie zaciąłby się. Z drugiej strony, jeśli zacznie go zachęcać do snucia tych urojeń, spotęguje jeszcze szaleństwo swego klienta.

— Tego doprawdy za dużo jak na jeden raz — odezwał się w końcu dyplomatycznie.

— O, tak.

Równie dobrze Weinberger może dojść do przekonania, że zbyt wiele powiedział;

straci zaufanie i śmiertelnie się na Jima obrazi.

— Powinienem też przejrzeć literaturę fachową.

— Nie znajdziesz nic na temat feromonu śmierci. Szukałem i w rezultacie do wszystkiego musiałem dochodzić sam.

— Może są jakieś wzmianki, napomnienia; powstało przecież wiele nowych prac już po twoim odejściu z Domu. Może to być też coś, co z różnych względów nie nadawało się do publikacji. Należałoby przewertować na przykład zasoby Centrum Informacji.

— Ty naprawdę uważasz, że jeszcze ktoś wpadł na pomysł istnienia feromonu śmierci?

— Szczerze mówiąc, wątpię.

— Powiem ci, czemu nie znajdziesz literatury na ten temat. Najważniejsze jest precyzyjne określenie momentu śmierci, prawda? Dlatego obserwujemy na monitorach nadejście rytmu thanatos, który — jak ja bym to określił — łączy się z wydzielaniem feromonu. Nie posiadam jednak aparatury, by to udowodnić... Zatem, gdyby ktokolwiek inny wpadł na trop feromonu, już dawno stosowalibyście go powszechnie! Wszystko, czego potrzeba, to niezwykle czuły wykrywacz zapachów. Ja sam przerobiłem czujnik przemysłowy; to dziecinnie proste — Weinberger uśmiechnął się triumfująco.

— Skoro już znasz metodę, podziel się z odkryciem z Domem.

— CO??? Żeby Śmierć mogła paść się jeszcze bezczelniej? O nie...! Widzę tylko jedno zastosowanie dla feromonu: przynęta...

— W klatce. W klatce na Śmierć.

— Zgadza się, w klatce. Podzielić się odkryciem z Domem! Boże wielki!

Ale ze mną się podzieliłeś, pomyślał z satysfakcją Jim. Czyżby Weinberger był teraz już na tyle szalony, aby nie dbać o sekret? A może to wyłącznie gorycz i rozczarowanie? Lub zwykła, ludzka potrzeba zwierzeń. Tak, potrzeba zwierzeń, zdecydował Jim. Potrzeba kogoś, komu można zaufać. Weinberger zaufał Jimowi.

— Mimo wszystko, poszperam w literaturze. Kto wie?

— Ja wiem. To ty jeszcze nie wiesz. Ale ty musisz się dopiero przekonać.

Tak jak wszyscy inni, pomyślał Jim.

VII

Po powrocie do swego mieszkania Jim włączył natychmiast odbiornik telewizyjny. Łącząc się z Centrum Informacji podał numer kodu Przewodnika na wypadek, gdyby poszukiwane przez niego materiały były zastrzeżone.

Zawsze używał tego kodu, by otrzymywać literaturę dotyczącą śmierci. Najpierw lektura takich materiałów wchodziła w zakres jego szkolenia. Później niejednokrotnie korzystał z publikacji zastrzeżonych; czy to prowadząc szczególnie trudnych klientów, czy też z punktu widzenia własnych zainteresowań. Był pewien, iż wszyscy przewodnicy postępowali w podobny sposób.

Ogółowi społeczeństwa obojętny był najwidoczniej los owej zastrzeżonej literatury. Zadowalały ich w zupełności ocenzone przez komputer wersje. Jim często stawiał sobie pytanie, jak wielu ludzi godziło się zostać przewodnikiem, widząc w tym jedyną możliwość dotarcia do owych zakazanych ksiąg, uważanych za niezdrowe i szkodliwe dla pospolitego umysłu. W średniowieczu dostęp do ksiąg z „Index Expurgatorius” przysługiwał wyłącznie inkwizytorom — czy jak ich tam nazywano. Dlatego właśnie najwybitniejsze umysły owych czasów trafiały do starego Kościoła...

Pośród starających się o stanowisko przewodnika śmierci, było też wielu, których motywy okazywały się paskudnie erotyczne — jedyną prawdziwą pornografią była bowiem śmierć i lęk przed nią. Tych ludzi jednak skutecznie przesiewała hipnoanaliza.

Moje konto jest stosunkowo czyste, pomyślał markotnie. Tylko ta nieszczęsna śmierć Mike'a w Gracchus. Czy to naprawdę była moja wina? Sądziłem tylko, że symuluje śmierć, a on umierał naprawdę. Taka drobna różnica.

Tak, to był mój błąd; taki sam zresztą jak jego. Ale on już nie żyje. Popełniliśmy niewybaczalną pomyłkę. Powinniśmy przede wszystkim mieć pod ręką specjalistę od odczytywania rytarów thanatos.

Biedny, kochany Mike: ze swymi wiecznie potarganymi, rudymi włosami — obróconymi już wraz z nim w popiół — złośliwym chichotem i tęsknotą za „drugą stroną”, na którą przybył tak nieoczekiwanie — a może wcale nie przybył...

Mimo słabej stosunkowo znajomości indeksu technomedycznego, Jim, po dziesięciu minutach wiedział już, że nic na temat „feromonu śmierci” nie znajdzie. Dla porządku jeszcze wystukał na klawiszach umieszczonych na szczycie telewizora polecenia „poszukiwania specjalne”.

Ten rodzaj komputerowego wyszukiwania danych był nie tyle specjalistyczny, co pracochłonny — a głównie czasochłonny. Minęło dalszych dziesięć minut, zanim ekran rozblił się fluoryzującym blaskiem. Wynik poszukiwań składał się z jednej tylko informacji, którą jakiś niezrównoważony programista — pracownik Domów musiał kiedyś złośliwie wprowadzić do systemu:

ŚMIERĆ CUCHNIE — brzmiał napis na ekranie. Przez chwilę Jim zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jest kolejny, ponury żart Nathana Weinberga.

Z całą pewnością nie! Weinberger napisałby: UMIERAJĄCY LUDZIE CUCHNĄ. Weinberger powiedział, że widział Śmierć tuż poza zasięgiem swego wzroku, a nie, że to cuchnęło poza zasięgiem jego powonienia. Śmierć sama w sobie jest bezwonna.

Wyłączył ekran. Był przekonany, że nic więcej z komputera nie wydusi, z tego prostego względu, że feromon śmierci nie jest w ogóle znany.

Przechadzał się zamyślony po pokoju. Rozległy widok Egremont wyłaniający się spoza płataniny rosnących na balkonie ostrych liści krzewów i krwistoczerwonych kwiatów przypominał mu, że powinien udać się do Urzędu Spokoju — Oktagonu, jak go tutaj nazywano — celem rejestracji. Rozkład zajęć podczas pierwszych dni pobytu tutaj miał elastyczny — za wyjątkiem sprawy Weinberga — aby mógł rozejrzeć się trochę i pozafatwiać podobne sprawy.

Gdy będzie już na miejscu, może też, korzystając z okazji, zaczerpnąć dyskretnie w Oktagonie kilku informacji na temat Weinberga. Bez żadnych aluzji, naturalnie, że to Dom potrzebuje porady...

Zdecydował, że przedtem wpadnie na lunch. Może do słynnych Trzech Iglic? Nie — to doświadczenie postanowił zarezerwować sobie na później.

Kwadrans potem trafił do niewielkiego baru. W lokalu były tylko dwa stoliki oraz pół tuzina drewnianych stołków, ustawionych półkolistnie wokół szynkwasu. Przy jednym ze stolików kiwała się w milczeniu nad piwem dwójka mężczyzn w średnim wieku. Przy drugim cztery kobiety jadły pączki popijając je kawą. Sam kontuar udekorowany był proporczykami z różnych miast. Widocznie właściciel lokalu miał możliwość podróżowania — co raczej nie wydawało się prawdopodobne — albo był kolekcjonerem takich pamiątek. Najprawdopodobniej po prostu skupował je od swoich dostawców towaru.

Przy barze wolne były tylko dwa taborety. Jim usadowił się między grubym, brodatym Murzynem i starym, łysym jegomościem, z niezwykle dużymi uszami. Jim spoglądał na nie z rozbawieniem. Podczas gdy ciało ich właściciela, w miarę upływu lat, kur-

czyło się, to uszy przeciwnie — rosły. Staruszek był już w takim wieku, że lada dzień powinien spodziewać się wyjęcia swej karty w Biurze Spisowym. Wzrost jego uszu — po-fantazjował sobie Jim — miał być zapewne sygnałem dla ich właściciela, że chwila nad-chodzi.

Zamówił wędzoną szynkę na żytnim chlebie i małe piwo. Obsługująca bar kobieta ubrana była w, jej zdaniem, wytworną bluzkę z szyfonu i koronek, która w rzeczywistości wyglądała jak górna część nocnej koszuli.

Nieuchronnie, wraz z pojawieniem się w lokalu przewodnika, głównym tematem rozmów stało się morderstwo.

Pierwszy zaczął Murzyn:

— Jesteś Przewodnikiem, prawda? Ładnie prowadzicie swoich klientów. Mam na myśli tego wczorajszego szaleńca.

— Robimy, co możemy — odparł gładko Jim. — Były czasy, gdy wypadki takie, jak wczorajszy, zdarzały się na porządku dziennym i w ogóle się o nich nie mówiło. Ale cóż to był za świat?

— Świat, który pędził na złamanie karku. Sądzę, że jesteśmy tylko zwierzętami o zbyt rozwiniętym mózgu, by to nam wyszło na dobre. Ale obecnie mamy treserów zwierząt, prawda? W jaki więc sposób ten typek wydostał się ze swojej klatki?

Jim popił piwa.

— On był tylko wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Głowa starego obróciła się, jakby jej właściciel chciał zobaczyć koniuszki swych uszu.

— Wiesz przewodniku, co to naprawdę znaczy? Znaczy to, że wyjątki sprawdzają regułę. Czy jest ona dobra, czy też w ogóle do niczego. Taki jest rzeczywisty sens twoich słów; stary sens, a ja się tego trzymam. Gdy nadejdzie mój czas, również będę się trzymał tego, co wiem; na przykład, że śmierć to gównno.

— Charlie — ostrym głosem odezwała się dama w nocnej koszuli. — Praca Domów jest błogosławieństwem.

— Skoro wciąż jeszcze istnieją ludzie myślący tak jak Charlie, to nasza praca ze zro-zumiałych względów jest rzeczywiście błogosławieństwem — wtrącił szybko Jim.

— Ach, jacyście wy tam wszyscy pełni zrozumienia! Potraficie zrozumieć człowieka na śmierć.

Murzyn wybuchnął gromkim śmiechem.

— Ciebie, Charlie, nikt nie zrozumie! Ty należysz do zupełnie innego świata.

— A oni się, cholera, zatroszczą, żeby mnie tam posłać.

— Ciebie nie odważą się nigdzie posłać. Prowadzenie ciebie, to prowadzenie słonia przez sklep z porcelaną. Za ucho!

— O jedno piwko za dużo, Charlie — skarciła go lady z za bufetu.

— Właśnie, że nie — odparł Charlie rozsiadając się przekornie na taborecie.

Murzyn szturchnął Jima w żebra.

— Z wyjątkiem tego wapniaka, wszyscy jesteśmy zasadniczo po waszej stronie. Tylko, że wczoraj ustąpiliście pola przeciwnikowi. Jakby najlepszy zawodnik nie trafił do pustej bramki. Tamta strona pokonała naszą: nasz odwieczny wróg. Nieprzyjaciel twoich i moich dzieciaków.

— Masz rację — Jim wbił zęby w kanapkę.

— Ale wy, przewodnicy, nie możecie mieć przecież dzieci, prawda? Musicie być samotni.

Jim nie przestając żuć kanapki, odparł niewyraźnie:

— Mamy za to wielu przyjaciół. (Takich jak Mike Mullen...?) Posiadamy świadomość, że uzdrawiamy świat, że przynosimy ludziom spokój i szczęście, że pomagamy im się spełnić.

— A co z kobietami-przewodnikami? — złośliwie wtrącił się do rozmowy Charlie.

— Chciałbym na taką trafić. Będzie mnie musiała przekonać... bardzo namacalnie.

— Jesteś odrażający — sapnęła lady w pidżamie. Oparła się wypinając biust pod szynonową bluzką. — Wy, przewodnicy, odchodzicie często wcześniej niż inni, dużo mniej wartościowi od was ludzie, bez których świat mógłby się spokojnie obejść. Wydajecie się świętymi.

— Dzięki. Ale jesteśmy po prostu ludźmi, jak sama widzisz — Jim uniósł w jej stronę szklankę piwa.

— A ludzie lubią wypić. To strasznie miło z twojej strony, żeś tutaj zaszedł — rozpromieniła się. — Następne piwo na koszt firmy.

— A ty będziesz zawsze mile widzianym gościem w Domu, w porze seminarium — odparł szarmancko. — Nawet mimo tego, że pije się u nas tylko lurę.

— Oczywiście, słyszeliśmy, jak Barnes zapraszał wszystkich na te seminaria — poważnym głosem wtrącił Murzyn. — A ty co robisz w mieście? Roznosisz zaproszenia?

— Ja? Nie, muszę wpaść do Oktagonu zameldować się. Wczoraj przybyłem do Egremont...

Murzyn sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— I musisz wysłuchiwać od nas tych wszystkich głupot o tym, co się wczoraj wydarzyło... A niech to. Przepraszam. Jak masz na imię?

— Jim.

— A ja Alec. Stawiam następne.

Jim wypił cztery piwa, zanim ostatecznie wyruszył do Oktagonu.

Przeszedł żwirowy dziedziniec i skierował kroki ku ogromnemu portykowi. Przechodząc obok rzędu laurowych krzewów, przesunął dłonią po szeleszczących liściach.

Kilka zielonych płatków opadło na ziemię. Marmurowe posągi spoglądały na niego ślepym, nieruchomym wzrokiem.

Nad monumentalnym łukiem widniał ogromny, złoty napis: PAX VOBISCUM. Jim wspiał się po długich, kamiennych schodach pomiędzy smukłymi, rowkowanymi filarami. Szklane drzwi otwarły się przed nim z szelestem

Rejestracja — dokonana przez odzianą w biały uniform kobietę — zajęła tylko chwilę. Urzędniczka miała czarne włosy, krótko obcięte z wyjątkiem długich, lakierowanych pejsów, które okalały owalną linię jej twarzy wzdłuż linii kości policzkowych i szczęk, co upodabniało nieco fryzurę do starożytnego, rzymskiego hełmu.

— Jeszcze jedna sprawa — odezwał się Jim odbierając kartę kodową. — Jestem Przewodnikiem mordercy Normana Harpera...

— Współczuję panu.

— Dlatego też pomyślałem sobie, że gdyby ktoś z was mógł mi coś bliższego powiedzieć o tym człowieku, o jego przeszłości...

— Jakież trudności?

— Tak bym tego nie nazwał...

— Po prostu chciałby pan porównać swoje informacje z...

— Coś w tym rodzaju. Może niekoniecznie porównać... mnie nie wolno niczego ujawniać, co dotyczy mego klienta.

— My również mamy swoje przepisy, panie Todhunter. Ale zatelefonuję... Nie, chwileczkę. Jeśli dobrze pamiętam, sprawą tą zajmował się Urzędnik Bekker.

Parę minut później goniec prowadził Jima kręconymi, marmurowymi schodami, a następnie długim, wyłożonym dywanem korytarzem do biura Bekkera.

Bekker siedział plecami do okien o mlecznych szybach, za ogromnym biurkiem, którego część stanowiła duża płyta z końcówką centralnego komputera informacyjnego. Przeglądał jakiś wydruk. Na ścianie wisiała oprawiona w ramkę fotografia Egremont i otaczającej go doliny, ujęta z lotu ptaka. Obok znajdowała się ogromnych rozmiarów mapa upstrzona kolorowymi łebkami powbijanych w nią szpilek.

Jim przedstawił się.

Bekker był czterdziestoletnim mężczyzną o włosach koloru siana i z małym, starannie przystrzyżonym wąsikiem. Na policzku miał niewielką brodawkę. Jim odniósł wrażenie, że już go gdzieś widział.

— Czy to nie tobie przypadkiem oddałem wtedy broń? — spytał Jim, a Bekker uśmiechnął się szeroko.

— Jeśli jesteś tym, który oddał mi wtedy broń, to w takim razie to ja. Czy może chcesz ją teraz odebrać?

— Chciałbym się dowiedzieć, czy byłeś w mieszkaniu Nathana Weinberga?

— Naturalnie.

— Było tam coś... ciekawego?

— To zależy co kogo interesuje. Nie było tam żadnej skrytki z bronią czy nabojami; a tego szukałem przede wszystkim. Lecz meble były doprawdy niesamowite. Najbardziej zwariowane było łóżko: niczym łożo wodne okryte baldachimem! Musiałbyś to sam zobaczyć. Zamiast kotar i frędzli obudowane było wokół pozłocaną kratą. Do środka wiodły niewielkie drzwi. Było tam również pięć — sam liczyłem, pięć — ekranów ściennych. Ileż to musiało kosztować! I sprzęt: cała sterta skomplikowanej aparatury elektronicznej, fotograficznej, narzędzia, w pełni wyposażone laboratorium chemiczne. Lecz co najistotniejsze, on tego wszystkiego nie ukradł. Kupił za własne zarobione pieniądze. Wydał ostatni grosz; jego kredyt był bliski zeru. Ale był dobrym pracownikiem, choć skrytym.

— Jak myślisz, po co on kupował takie rzeczy?

— Myślę? Człowieku, ja wiem! Robił sobie elektroniczny harem. Na ekranach puszczałby pornografię, a sam kładłby się na swoim dziwnym łożu i podglądał przez kraty ten wyuzdany babiniec. Co prawda, nie było tam żadnych taśm, ale znaleziono cały stos magazynów porno. Cały. Ogromny stos! Ale to by mnie nie obchodziło, póki był spokojny — a sam zapewne nie byłbyś spokojniejszy od niego! Jednak były tam dwie maleńkie, niezwykle czułe kamery zainstalowane u wejścia do klatki. Jestem przekonany, że wcale nie siebie zamierzał filmować. Sądzę, że planował zwabiać do siebie nieletnich chłopców. Być może i dziewczęta. A to już byłby jak najbardziej mój interes. I dobrze się stało, że Szpital nakazał mu odejście, nim rozpoczął swoją działalność. W przeciwnym bowiem razie my musielibyśmy się nim zająć... Jeśli idzie o mnie, to preferuję inny rodzaj fotografii — machnął ręką w stronę rozpiętego na ścianie zdjęcia. — Sam to zrobiłem.

— Imponujące.

— Jest na nim każdy szczegół. Żadnych zamazań.

— I cały ten... elektroniczny harem jest jeszcze w mieszkaniu Weinbergera?

— A gdzie? Dyspozytor Publiczny opieczętował mieszkanie ze wszystkim, co było w środku. Tak będzie, dopóki właściciel nie umrze. Wtedy dopiero zostanie to uprzątnięte, a mieszkanie przekazane nowym lokatorom.

— Ciekaw jestem, czy coś zostało stamtąd zabrane przez was... jako dowód, oczywiście?

— Dowód czego? Planu seksualnego niewolenia nieletnich? To już nie ma znaczenia. Moim zdaniem zresztą, opieczętowanie czyjegoś mieszkania i czekanie tygodniami jest po prostu głupie. Zawsze mówiłem, by wyrzucić to z regulaminu. To marnotrawstwo. To bezcelowe. Nikt, kto odchodzi, nie wraca już na stare śmiecie.

— Ale to niezwykle ważne ze względów psychologicznych.

— Być może — machnął lekceważąco dłonią Bekker. — Znasz się na tym lepiej niż

ja. Mam nadzieję, że byłem pomocny. Przynajmniej wiesz, dlaczego otworzył ogień. Odkręciła mu się we łbie śrubka od seksu. Pewnie sam już nic nie mógł. Potem stracił swój harem, zanim jeszcze zdążył zaprosić młodzież. Więc wystrzelił, bo tylko tyle jeszcze mógł.

Jim wstał.

— Dziękuję za pomoc, Bekker.

— Pozdrowienia dla Noela.

— Noela. Masz na myśli Resnicka?

— To nie Resnick cię przysłał? — Bekker wytrzeszczył oczy. — To nie on ci radził, by się ze mną skontaktować?

— Nie, przyszedłem się po prostu zarejestrować. Spytałem urzędniczkę na partezie...

— Popatrz, popatrz — mruknął z uznaniem Bekker. — Musisz być cwany przewodnikiem... No dobrze, ja się nie będę mieszać do twoich spraw!

— Przepraszam, jeśli zrobiłem złe wrażenie — odezwał się Jim bardzo niewinnym głosem.

— W porządku... O tak, jesteś wymarzonym przewodnikiem dla Weinbergera. Dobrze z was obu ziółka.

VIII

Gdy nazajutrz rano Jim wpadł do Weinbergera, wydawało się, że umierający mężczyzna nie zamierza pierwszy powracać do poruszanych poprzedniego dnia tematów: feromonu i klatki na Śmierć. Widząc takie nastawienie swego klienta, Jim również nie spieszył się z tymi sprawami i, jak się wydawało, Weinberger był z tego niezmiernie rad. Mogło to wprawdzie umocnić go w przekonaniu, że Jim, traktując całą historię jako wierutną bzdurę, niewiele różni się od innych ludzi, ale też i wskazywać, iż Weinberger wyprowadził go w pole.

Po tym wszystkim, co usłyszał od Bekkera, Jim zaczął wątpić w realność wpędzania Śmierci w zasadzkę. Weinberger z całą pewnością zdawał sobie sprawę, że funkcjonariusze Urzędu Spokoju byli w jego mieszkaniu i cała historia, którą uraczył Jima, miała na celu wyłącznie zamydlenie oczu i ukrycie rzeczywistych, erotycznych motywów Weinbergera.

Niewątpliwie fetyszyzm i frustracja seksualna tego człowieka mogły być dostatecznymi motywami skierowania całej energii i pieniędzy na budowę „elektronicznego haremu”. Weinberger stał się maniakiem, szaleńcem. Jego mania jednak niewiele ma wspólnego z umieraniem; najwyżej tyle, że zamarzyły w nim funkcje seksualne, które ujawniały się teraz wyłącznie w szczególnych okolicznościach, w dewiacji i wynaturzonych praktykach. O ile w ogóle kiedyś było inaczej! Weinberger był więc raczej typem szkaradnym.

— Przez te ostatnie dziesięć lat musiałeś być bardzo samotny? — spytał niewinnie Jim. — Mam na myśli to, czegoś dokonał, ile cię to kosztowało i tak w ogóle. Nie mogło ci to pozostawiać ani czasu, ani siły, ani pieniędzy na przyjemności.

— Już ty się mną nie przejmuj. Zawsze stać mnie było na kielicha.

— Miałeś pewnie i kumpli do picia?

— Jednego, dwóch.

— A kobiety?

— Masz na myśli seks? — Weinberger wybuchnął śmiechem. — Mieszkałem w

Domu i wiem, jaka to wylęgarnia i siedlisko rozpusty — szczególnie zdaniem pewnych ludzi. Gdybym poszedł ot tak sobie z kobietą do łóżka, od razu bym się pewnie zakochał. Wiem o tym! Jestem cholernie sentymentalny w tych sprawach. Możesz mi wierzyć, lub nie, ale tak jest. Jak więc mógłbym pozwolić sobie na miłość wiedząc, że jedyną, prawdziwą przysługą, jaką mógłbym ukochanej osobie wyświadczyć byłoby... niespodziewanie ją zabić?

Zabić swoją miłość, by wydrzeć ją Śmierci — dodał po chwili miękko.

Chory, pomyślał Jim starając się nie dać po sobie tego poznać. A może butla próżniowa Weinbergera zawierała feromony seksualne? Może chciał się tym podniecać razem z kimś, kogo by mu się udało zwabić do mieszkania? To tak jak łóżko skrapiane perfumami — po nowemu...

Ale jeśli... jeśli Weinberger mówił prawdę o klatce, to z logicznego punktu widzenia rzecz biorąc jego rozumowanie jest słuszne. Z tym tylko, że nie mając nikogo ukochanego i odmawiając szansy samemu sobie, zabił po prostu Normana Harpera — kochanego przez wielu ludzi. Może tak tylko był w stanie osiągnąć swój cel.

No, a ostatecznie, nawet jeśli ślubował celibat (celibat, nie wstrzemięźliwość), może sobie trzymać w mieszkaniu magazyny porno.

— Muszę się nad tym zastanowić — rzekł wymijająco Jim.

— Nie spiesz się — odparł gorzko Weinberger. — Ale mego czasu nie zabieraj. Pozostało mi go tak niewiele.

Późnym piątkowym popołudniem sześć osób wsiadło do elektrycznego minibusu, który z cichym warkotem silnika ruszył przez Egremont na północ, w stronę jeziora Tulane.

Prowadziła Alice Huron. Obok niej usadowił się Resnick, a za nim pozostali: Jim i Marta Bettijohn, Lama Ananda oraz Mary-Ann Szczepanski, poprzedni przewodnik Weinbergera.

Jej jasnoblond włosy zaplecione były w dziewczęce mysie ogonki, choć była już dobrze po czterdziestce. Szczupła, drobna, schludna i pełna nerwowej energii, wierciła się cały czas, wyglądając oknem to z tej, to z tamtej strony, zupełnie jakby pierwszy raz oglądała Egremont. Wszystko ją zachwycało, wszystko witała promiennym uśmiechem. Bez wątplenia, z taką samą dziecięcą radością i entuzjazmem powita śmierć, gdy nadejdzie jej pora. Jednak tym razem jej ożywienie było sztuczne, spowodowane prawdopodobnie obecnością Jima. Przecież nie kto inny, ale on właśnie przejął po niej Weinbergera. Jim nie wyczuł jednak ani zawiści, ani urazy; Mary-Ann nie wspominała nawet ani razu o Weinbergerze. Rzecz taka stanowiłaby pogwałcenie etykiety i konwensu Domu. Wprawdzie pogwałcenie takie miało już miejsce — o czym Jim doskonale wiedział — przed paroma dniami w gabinecie Resnicka, lecz było to wówczas podyktowa-

ne nadzwyczajnymi względami.

Najwidoczniej jednak nadzwyczajność nie była mocną stroną Mary-Ann i kobieta wolała delectować się zwykłymi okolicznościami: widokiem dobrze sobie znanego miasta. Weinberger bez szczególnego kłopotu wystrychnął ją na dudka. Przypadek Weinbergera przekraczał jej możliwości i umiejętności.

Jim więc zajął się również podziwianiem miasta.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy dotarli nad jezioro. Odległe, położone w dolinie Egremont wyglądało stąd jak półkula mroku przecinana jasnoperłowymi koralikami Headway. Jedyne szczyty okolicznych wzgórz pławiły się jeszcze w czerwieni zachodzącego słońca. Po zachodniej stronie wpadała do jeziora połyskująca żywym srebrem rzeka. Zmarszczona tafla jeziora odbijała w sobie oślepiającą, ruchliwą łuską blask zachodzącego słońca. Większość jachtów dopłynęła już do brzegów; kołysały się tam leniwie na falach. Ciemnoniebieskie niebo upstrzone było pasmami wysokich cirrusów — białych na wschodzie, purpurowych na zachodzie. Jak dotąd, pogoda była wspaniała, lecz zbliżał się front niosący już jesienną słotę i chłód.

Alice Huron skręciła w lewo, kierując minibus żużlową aleją w stronę bungalowu. Stał tam już inny pojazd i Jim, pośród niewielkiej grupy osób, których jeszcze nie znał, a miał niebawem poznać, rozróżnił operową sylwetkę Claudio Menottiego. Pod gęstą kępą korsykańskich sosen dwaj pracownicy Domu rozpalili już hibachi i zastawili służącą za stół kłodę drewna szklankami i schłodzonymi butelkami wina. Dalej, wzdłuż piaszczysto-kamienistych brzegów jeziora, rosły gęsto jałowce.

Niedługo potem Jim pił już toast na swoją cześć, okraszony kwiecistą przemową Resnicka.

Zaraz po toaście Mistrz pociągnął Jima na bok i obaj, przedarłszy się przez jałowce, dotarli nad jezioro.

— Powiedz teraz, jak leci.

Co leci? Aklimatyzacja w Egremont czy sprawa Weinbergera? Nie szukając wykrętu na podporządku, jak Mary-Ann, która potrafiła zawsze uciec w swój słodki entuzjazm, Jim wybrał drugą ewentualność.

— Mam już dobry kontakt z Nathanem. Tutaj nie napotkałem szczególnych kłopotów. Ale człowiek ten posiada kilka nieopanowanych obsesji i dopóki sam ich sobie nie uświadomi, nie pożegna nas wdzięcznym ukłonem. Trzeba przede wszystkim doprowadzić do tego, by w pełni oczyścił się z wszelkich motywów, którymi kierował się mordując Normana Harpera.

Brzmiało to, zdaniem Jima, względnie optymistycznie.

— Mógłbyś to nieco bardziej sprecyzować?

— W obecnym stadium, nie. Jeśli nie masz, oczywiście, nic przeciw temu. Ubieranie

już teraz tego w słowa wykrzywiłoby jego własny pogląd na sprawę, nie mówiąc już o tym, że mnie też dałoby fałszywy w gruncie rzeczy obraz niego samego.

— Masz rację, Jim. Lecz pozostało naprawdę niewiele czasu. Jemu nie wolno umrzeć... tak po prostu!

— Nie odkupiwszy winy? Nie przejmuj się, pozostało jeszcze kilka tygodni. Z kimś, kto naprawdę słucha i przejmuje się jego punktem widzenia...

— ...biorąc to wszystko serio? Czy da się to osiągnąć?

— Zapewniam cię, że tak.

— Ale czy to rozsądne — traktować poważnie urojenia?

— Zdarza się, że w naszej pracy traktujemy poważnie czyjeś przekonanie o istnieniu życia pozagrobowego — odrzekł Jim.

— Ale to nie dotyczy Weinbergera... prawda? — w głosie Resnicka pojawiły się nutki podejrzliwości.

— Tego jeszcze nie jestem pewien. Możliwe, że i to wchodzi tutaj w grę.

— Osoba umierająca musi śmiało spojrzeć w oczy prawdzie o śmierci.

— Lecz zwalczanie jego urojeń w obecnym stanie doprowadzi tego człowieka do kompletnej alienacji. Utwardzi jego skorupę. Weinberger zupełnie zamknie się w sobie.

I w tej właśnie chwili Jim upewnił się w kwestii klatki Weinbergera. Klatka nigdy nie miała służyć do celów erotycznych i było dokładnie tak, jak twierdził jej twórca. Jim podjął też decyzję, co dalej robić.

— Będę traktował Weinbergera w dalszym ciągu poważnie. W ten sposób zrozumie, że droga, którą obrał, wiedzie donikąd. Wtedy zawróci i pójdzie drogą prawdy.

— Mam nadzieję, ufam, że pokażemy go społeczeństwu tuż przed samym jego odejściem jako... jako osobę w pełni odmienioną — Resnick poruszał nerwowo palcami.

— Załatwimy to delikatnie; nie wystąpi u niego żaden uraz ani regres. To wszystko przez to, co on zrobił i reperkusje tego czynu, rozumiesz? Wiem, że to sprawa niecodzienna.

— Jeśli więc jakiś klient zapragnie podzielić się swym doświadczeniem śmierci w czasie seminarium, zorganizujemy małą, publiczną ceremonię pojednania, co? W rezultacie przekształcimy Weinbergera w Normana Harpera. Zajmie po prostu jego miejsce. I to stanie się anulowaniem tragedii.

— Do tego szczęśliwego dnia jeszcze daleko.

— Dobrze, Jim. Prowadź sprawę tak jak uważasz, że jest najlepiej. Z mojej strony masz carte blanche. Ale jeden warunek: musisz zrobić z Weinbergera to, o czym ci przed chwilą mówiłem. To ważne. Norman był ważną figurą i pozbawienie go dobrej śmierci przez kogoś będącego pod naszą pieczęą...

Resnick wywijał rękami uwypuklając całe jezioro ważności przedsięwzięcia, a Jim

— wyłączwszy się — spoglądał w przestrzeń. Słońce prawie już zaszło za wzgórza i rzeka utraciła swój rtęciowy blask. Rozległa toń jeziora kojarzyła mu się z owym uczuciem utożsamienia się, stopienia w jedno z bezkresnym oceanem, którego to uczucia doznał, gdy tonął. Kiedyś w Gracchus, symulując śmierć, odzyskał na chwilę owo uczucie szczęścia.

Czy rzeczywiście pomogę Nathanowi w budowie jego klatki? zastanawiał się. Zamiar ten był ze wszech miar dziwaczny i jednocześnie nieco uwłaczający. Było to śmieszne, zupełnie jakby współczesny chemik postanowił zbudować aparaturę alchemiczną, by przetworzyć ołów w złoto. Było to zaprzeczenie wszystkiego, na czym opierała się idea Domów Śmierci.

Jeśli Nathan niczego nie złowi na swą wędkę, wszystko będzie w porządku. Chyba że...

Igram z ogniem, myślał. Robił to świadomie i z czystej przekory, być może dlatego, żeby przeciwstawić się zarozumiałemu Resnickowi, który tak bardzo chciał, by wszystko skończyło się po jego myśli.

Igram z ogniem, bo sam tego chcę.

Mnie również obrabowano. Obrabowano mnie z szansy swobodnego żeglowania po Oceanie Jedności, gdy Mike Mullen, zbyt dobrze symulując śmierć, naprawdę zmarł...

Czy powinien przekazać Resnickowi pozdrowienia od Bekkera?

— Mam dla ciebie jeszcze paru innych klientów. Chciałbym abyś ich poprowadził — odezwał się Resnick, zanim Jim zdążył coś powiedzieć. — Mamy tutaj dziecko — jedenastoletnią dziewczynkę — przeniesioną ze Szpitala. Rozpoznano u niej leukemię. Raka krwi. Wymaga wiele uczucia i zrozumienia, ale jest już nieźle przystosowana.

Jim skinął potakująco głową.

— I kobietę w średnim wieku z poważnym schorzeniem serca. Będzie wdzięczna, gdy ją weźmiemy. Poza tym farmer ze stwardnieniem rozsianym... z nim nie powinno być najmniejszych kłopotów. Jest jeszcze trzech czy czterech innych, w tym dwóch ochotników. Też nie sądzę, by mogli nastęczyć ci jakichkolwiek problemów. Toteż będziesz mógł nadal skoncentrować się na Weinbergerze.

— Wszyscy oni są ważni — odparł stanowczo Jim. — Każda śmierć jest jednakowo ważna.

— Zapewne, zapewne — skrzywił się Resnick.

— Jedzenie na stole! — dobiegł ich z oddali głos. Marta Bettijohn przedzierała się w ich stronę przez chaszczę jałowców. — Pośpieszcie się, bo pstrąg wam wystygnie.

Później zarówno Mary-Ann, jak i Alice Huron podpily sobie trochę, głównie dzięki Resnickowi, który z manierą lorda wciąż napełniał im szklanki.

Chmury całkowicie już zasłoniły ciemniejące niebo. Pojawił się wilgotny wietrzyk od

strony jeziora. Zapalono przyniesione z bungalowu lampy.

Obie kobiety — wysoka i niska — stały na niepewnych nogach i objęte ramionami chwiała się lekko, wychlapując ze szklanek alkohol.

— Gdy dzień się kończy, kiedy dzień cudowny... — zaśpiewała pijacko rzewnym głosem Alice. Urwała i oczyma błyszczącymi jakby od łez spojrzała ze swej wysokości na Mary-Ann.

Mary-Ann chyba również się rozczuliła.

— Już dzień się kończy... — wyrecytowała nagle. Dalszego ciągu albo zapomniała, albo opuściła ją wena. Bełkocząc coś pod nosem wzniosła w górę oczy, gdzie wśród rozwianych grzyw obłoków przetykanych chłodnym blaskiem pierwszych gwiazd znalazła natchnienie. — Już dzień się kończy, koszmar nocy nadciąga... — urwała, zanosząc się pijackim chichotem.

Wtedy też z głośnym sykiem spadły na hibachi pierwsze krople deszczu.

Przyjęcie było skończone.

W chwili, gdy minibus szczelnie wypełniony ludźmi ruszył prowadzony przez Martę Bettijohn, Jim uświadomił sobie, że w bungalowie pozostał Resnick wraz z dwiema pijanymi kobietami. Wyjrzał przez tylną szybę wozu. W oknach płonęły światła; po chwili zgasły, zasłonięte okiennicami. Niebo co chwilę przecinały osłepiające grozy błyskawic.

Obok Jima siedział Claudio Menotti, mrucząc coś do siebie głębokim basem. Jim usadowił się obok Marty i wskazał ręką do tyłu, na niewidoczny już w ciemnościach bungalow.

— Zbyt zakochani w śmierci zbawicielce, co, Marta?

— Nienawidzę tych starych, ponurych wierszydeł — warknęła ostro znad kierownicy. — Cieszę się, że nikt już dłużej nie mąci nimi głowy.

— Czyż śmierć nie tworzyła jednak dobrej poezji? — spytał czując, że jednak posunął się za daleko. Też chyba przez alkohol.

IX

— I co ty na to, byśmy zaczęli budować klatkę na Śmierć, Nathan? Nie, wcale nie żartuję. Naprawdę chcę ci pomóc. Muszę to zobaczyć na własne oczy.

— Bez łąski.

Jim wcale nie spodziewał się natychmiastowej zgody i wdzięczności. Sam Weinberger zapewne w głębi duszy nie wierzył w powodzenie całego przedsięwzięcia. Jim miał rację: trzeba zbudować klatkę, wykorzystać, udowodnić jej bezskuteczność i tym samym Weinberger uwolni się od złudzeń.

Weinberger zmienił obraz na ściennym ekranie. Z jednej strony był to zły znak. Umierający ludzie, pogodzeni już z nadchodzącą śmiercią, przejawiają skłonność do całkowitej koncentracji na jednym, wybranym krajobrazie pierwotnej, odwiecznej natury, oczywiście bez żadnych istot ludzkich czy żywych stworzeń — najlepiej na pustym, bezkresnym oceanie.

Nowy pejzaż przedstawiał Arktykę, jakby chłód bijący z obrazu miał powstrzymać ostateczny rozkład ciała i umysłu Weinbergera. Olbrzymie góry lodowe sterczały tytanicznymi ostrzami zębów zanurzone w błękitnej, jakby fluorowanej wodzie. Widok miał w sobie przedziwną czystość i sterylność, a jednocześnie trudne do wysłowienia piękno i drapieżność; jak gdyby owe lodowe szczęki olbrzyma zaciskały się stalowym uchwytem zatrzymując całkowicie upływ czasu. Ale zwanie nie następowało, toteż z całej tej kompozycji biła jasność, cisza i spokój... To był dla odmiany dobry znak.

— Wcale nie mam zamiaru wyświadczyć ci łąski — burknął Jim.

— Nie? Udowodnisz mi to, panie Todhunter?

— Udowodnię i to zaraz. Zdradzę ci pewien sekret. Noel Resnick dał mi wolną rękę w prowadzeniu twojej sprawy; możesz zatem swobodnie działać, by ujrzeć w końcu światło prawdy.

Światło Arktyki, poprawił się w myślach Jim. Wiekuisty spokój i ciszę lodowych przestrzeni, gdzie nie istnieje żadne życie (Nieprawda, istnieje! Żyją tam ryby i foki, i olbrzymie wieloryby... czy podobne istoty zamieszkują krainę śmierci? Czy tak to sobie wy-

obraża Nathan?).

— Jeśli tylko zechcesz, możemy pracować razem. Masz szansę, jakiej dotąd nie miałeś. Zamierzam bowiem wykorzystać tę *carte blanche* do końca.

Chory mężczyzna zwilżył czubkiem języka wargi.

— Nie spodoba im się to.

— Wcale nie muszą dokładnie wiedzieć, co zamierzamy. Oczywiście, nie możemy tego robić tutaj, ze względu na personel, który ma do tego pokoju swobodny dostęp. Sądzę, że najodpowiedniejszym miejscem będą sutereny Domu.

Na twarzy Weinbergera pojawiła się wątpliwość.

— Dobra, dobra. Siedzę tutaj pod kluczem, a ty będziesz w suterenie.

— Zabiorę cię z sobą. Będę wypełniał dokładnie twoje wskazówki i polecenia. Sprowadzę wszystko, każdą rzecz, wszelki sprzęt i aparaturę. Wszystko, czego tylko zapragniesz, czego będziesz potrzebował. Słowo honoru, że wykombinuję.

Jim urwał, wyciągnął rękę.

— No to co, umowa stoi?

Uścisk dłoni Weinbergera był niespodziewanie silny; zupełnie jakby włożył w swą prawą dłoń całą moc, jaka pozostała w jego umierającym ciele. Zupełnie jakby chwycił nie tylko dłoń Jima, ale jeszcze coś: niewidzialnego, nieuchwytnego, ale potężnego.

— Ze śmiercią nie da się robić umów — wyszczerzył zęby. — Ale możemy to pochwyć. I rozpieprzyć.

— Jak sobie życzysz. I mówię poważnie — zapewnił jeszcze raz Jim.

Po upływie tygodnia pomieszczenie, to samo, o którym wspominał Resnick, było gotowe. Był to pokój w suterenie o ścianach wymalowanych błękitną farbą, w którym Jim, zgodnie ze wskazówkami Weinbergera, zgromadził całą aparaturę.

Poza samą klatką i dwoma krzesłami pokój był pusty. Wyłożone dźwiękochłonnymi płytami ściany sprawiały, że zamknięty w tym pomieszczeniu człowiek czuł się jak w ogromnym, prostokątnym, oddychającym regularnie przez ukryte kanaliki płucu.

Maszyna, opisana poprzednio przez Bekkera, składała się z wodnego łoża otoczonego masywną ramą wykonaną z sosnowego drzewa. Łoże wznosiło się ponad ziemią na izolowanych gumą nogach, otoczone delikatną, misterną metalową siatką, typową klatką Faradaya zabezpieczającą przed promieniowaniem zewnętrznym pól elektromagnetycznych, jak również izolującą promieniowanie wychodzące z jej wnętrza. „Klatka ha-rem”, uśmieć się można! Jim zastanowił się, czy Weinberger sypiał wewnątrz przy włączonym napięciu chroniąc się w ten sposób przed siłą, której tak się lęka. Być może to właśnie stało się przyczyną jego choroby?

Wykorzystując autorytet Domu Śmierci i pełnomocnictwo Weinbergera, Jim uzyskał od Publicznego Dyspozytora zgodę na zabranie z mieszkania Weinbergera wszystkie-

go, co było mu potrzebne.

Z pomocą przydzielonego mu pracownika Domu, zabrał również pięć płyt z polaryzującego się szkła, które znalazło się na ścianach i suficie klatki. Były to rzeczywiście — jak twierdził Bekker — ściennie ekrany, lecz w tym wypadku miały zupełnie odmienne zastosowanie; pełniły funkcję kryształowo przejrzystych okien, które w razie potrzeby można było spolaryzować. Wówczas od wewnątrz wyglądało to jak szaleństwo luster odbijających się w lustrach. Hipoteza o seksualnym zastosowaniu ekranów nie wytrzymała więc próby. Chociaż zawsze można było ekrany przestroić...

Peryskop ze szklanego włókna optycznego pozwalał na obserwację wnętrza klatki, gdy ekrany były zaćmione; wewnątrz samej klatki natomiast, na srebrnych podstawkach umieszczono dwie niewielkie automatyczne kamery. Od cienkiej butli próżniowej biegł przewód wyglądający zupełnie jak urządzenie do karmienia kanarków w locie. Flaszka ta bez wątplenia zawierała ów „trupi pot”, który Weinberger, niczym współczesny alchemik, zsyntetyzował w domu. Obok zainstalowany był wykrywacz woni o niezwykle czułej skali do jednej milionowej objętości feromonu w powietrzu.

Wiele rzeczy zupełnie Weinbergerowi niedostępnych zarekwirował Jim w pobliskim Szpitalu lub w samym Domu.

W odczuciu Jima, całość do złudzenia przypominała arcydzieło sztuki dadaistycznej: Wielkie Szkło, Marcela Duchampa; maszynaria ścigająca zagadkową dziedzinę nierzezywistości, samą wyobraźnię. Ta maszyna miała natomiast polować na Potwora z Bajki. Była kpiną szaleńca zaklętą w gumę i stal, drut, szkło i drewno; żartem ze sposobu przygotowywania się do Nieuniknionego, które było spełnieniem się życia, nie zaś tragedią lub zdradzieckim ciosem.

Mozart napisał wszystkie swoje symfonie, prawda? pomyślał Jim. Ileż pozostało nie-napisanych? A jednak, a jednak...

Lecz dla Weinbergera w maszynie nie było nic absurdalnego. Jego oczy płonęły blaskiem, gdy pieścił wzrokiem swoją wysnioną klatkę gotową już do pracy, wyposażoną w dodatkowy, drogocenny sprzęt medyczny i techniczny, do którego sam dostępu nie miał. W pewnym sensie, Jim wiedział, Weinberger zbliża się do kulminacyjnego punktu swego życia, do jego najważniejszej chwili, a ta posiada kształt „maszyny”. Miał rację w taki właśnie sposób grając na fantazjach i złudzeniach Weinbergera. Bo owa maszyna jest wizją śmierci, jaką Weinberger sobie stworzył. Niedługo ten umierający człowiek wejdzie w tę maszynę stapiając się z nią w jedno... Jedna rzecz tylko trapiła Jima mącąc jego spokój. Co będzie, jeśli urządzenie nie zadziała? Zawarczy, zasyczy, trzaśnie, ekrany zmatowieją, a rozpylacz przez minutę czy dwie coś będzie rozsiewać w powietrzu.

Ależ to właśnie da znakomity efekt, pomyślał po zastanowieniu. „Spójrz, Nathanie, to nie boli. Tam nic nie ma. Śmierć jest niczym.”

— Najpierw zbudowałem mały, próbny model — zwierzył się Weinberger. — Proto-

typ klatki. Chciałem złowić w nią cokolwiek, coś, co jest przywabiane feromonem. Nie przyniosło to żadnych rezultatów, gdyż Śmierć nie dało się wprowadzić w pole. Ono najwidoczniej wymaga prawdziwego, konającego ciała! Wtedy rozpocząłem eksperymenty na królikach...

— Wstydzilibyś się. Przecież na to właśnie chorowała medycyna dawnych czasów: rzeź, okaleczenie, agonia tak wielu niewinnych i bezbronnych stworzeń, po to tylko, by człowiek mógł żyć pięć minut dłużej! Był to jeden tylko z wielu symptomów śmiertelnej choroby, która, niewiele brakowało, a ogołociłaby z życia naszą planetę.

— Dobra, dobra, znam te gadki. I sam czułem do siebie obrzydzenie, wierz mi. Mogło to sprawiać wrażenie, jakbym składał Śmierci ofiary. Nie miałem jednak innego wyjścia.

Zaczął na królikach, skończył na Harperze.

Weinberger rozłożył ręce.

— Doświadczenia na królikach również nie przyniosły efektów. I wtedy dopiero zaświtała mi w głowie myśl, że może śmierć zwierząt i śmierć ludzi, w samej swojej istocie, jest czymś różnym...

— Stara doktryna katolicka głosiła, że zwierzęta nie posiadają duszy, że są stworzeniami mechanistycznymi. A to następna część owej choroby — brak szacunku.

— Naturalnie, naturalnie — zaszydził Weinberger. — Teraz nic nie posiada duszy, więc wszystko jest święte.

Jim nic na to nie odparł. Studia nad życiem pozagrobowym z konieczności implikują fakt istnienia czegoś trwałego, co jest zapewne odpowiednikiem dawnego pojęcia duszy... Zatem owa jaskrawa jedność, jakiej Jim doświadczył przed laty osobiście, musi być traktowana jako świętość.

Weinberger nachmurzył się.

— Wygląda, że wszystko gotowe... — poddał Jim.

Weinberger zeszytniał, jak początkujący aktor, który zapomniał roli. Zawahał się.

— Czy moglibyśmy jednak zacząć jutro? — spytał błagalnie. — Odwaliliśmy dzisiaj kawał roboty.

Jim uśmiechnął się.

— To może ja, zamiast ciebie, położę się w środku? — spytał.

Niespodziewanie Weinberger uśmiechnął się szeroko. Zmrużył oczy.

— W takim razie puszczę obłok nieistniejącego cyjanowodoru. Siekniemy twoje Śmierć, co? Niestety, nic takiego tam nie ma. A może właśnie powinien tam być taki gaz?

— Czy dlatego miałeś broń? — naciskał Jim. — Żeby zastrzelić Śmierć, gdy już wlezie do klatki? Zapewniam cię, że rozbiłbyś tylko szkło, a samego potwora uwolnił z krat. Czy nabiłeś broń srebrnymi kulami?

— Dostałem to kiedyś, dawno, dawno temu... upominek. Mówię o rewolwerze.

Może dlatego właśnie Weinberger tak kurzowo uczepił się tego? Zastrzelić Śmierć. Śmierć była bandytą, który zakradł się do twojej sypialni. Była gwałcicielem biorącym cię siłą... oczywiście z dawnego punktu widzenia.

— Możesz sobie wejść do środka na próbę — zaproponował Weinberger. — Śmiało, nie bój się! Nie mam zaborczej natury i podzielę się z tobą. To będzie najślawniejsze łożo świata. Dużo sławniejsze od tych, na których sypiali Abraham Lincoln i Dobra Królowa Elżunia.

— O nie, wielkie dzięki!

— Gdybym mógł to wyposażyć w cyjanowodór... Wiesz, zastanawiam się, czy w klatkę złapiemy Śmierć w ogóle, czy tylko osobistą; tego, kto aktualnie będzie w maszynie?

— Ależ Nathanie, masa ludzi umiera co godzinę, co minutę. Umierają nawet jednocześnie. Gdyby nawet ta twoja Śmierć poruszała się z szybkością światła...

— No dobrze, dobrze. Ale przecież może istnieć Śmierć samo w sobie, jak również Śmierć jednostkowe. Śmierć konkretnego człowieka. Zastanawiam się właśnie, czy jeśli zabiję takie partykularne Śmierć, wystrzelę pocisk z imieniem i nazwiskiem człowieka, który właśnie umiera, to czy człowiek ten — ręka Weinbergera zataczała szerokie łuki w powietrzu kreśląc sylwetkę ludzką tak namiętnie jak żołnierz w dawnych czasach, rzucony w środek dżungli, setki mil od najbliższego burdelu — czy człowiek ten będzie żył wiecznie? Jeśli tak, to tutaj, w samym środku Domu Śmierci stworzyłem formułę na nieśmiertelność. Czy nie sądzisz, Jim, że to byłaby okrutna kpina?

— Byłby to niewątpliwie sposób na zdobywanie ochotników — zgodził się Jim. — Uwaga, uwaga! Zapraszamy do Klatki Śmierci Weinbergera, który uczyni cię nieśmiertelnym za pomocą... cyjanowodoru. Zapomniałeś, przyjacielu, o jednym. Zanim zniszczyłbyś Śmierć, najpierw zabiłbyś samego siebie. Wylewasz dziecko z kąpielą, Nathanie, wylewasz dziecko z kąpielą!

Nathan wyglądał na zaskoczonego słowami Jima. Zupełnie jakby rzeczywiście brał tę możliwość pod uwagę. I tak prawdopodobnie było! Jim był już podwójnie pewien, że Weinberger w takim właśnie celu ukrywał broń. Ostatecznie użył jej zabijając Normana Harpera, by w ten sposób — absurdalny — wyrwać poetę ze szponów Śmierci.

— Mamy tutaj zainstalowany wykrywacz woni oraz EEG do obserwacji rytmu thantatos — mruknął Jim. — Potrzebujemy więc kogoś, kto zna się na obsłudze tych urządzeń.

Sam potrzebował świadka dla własnego bezpieczeństwa. Stale miał w pamięci tragiczny finał eksperymentu w Gracchus.

Weinberger skinał głową.

— Pozwoliłem sobie pomówić z Claudio Menottim, naszym eutanazerem.

— Wiem, znam go. Był wówczas na podium. Och, jakże się wtedy cieszył na myśl o

tym, co go czeka. Chyba nic mu nie mówiłeś o...

— Oczywiście, że nie. Po prostu prosiłem go o wypożyczenie jednego ze swoich asystentów do obsługi aparatury medycznej.

Z twarzy Weinbergera wyczytać było można ulgę pomieszaną z paranoiczną wręcz podejrzliwością. Ulgę, gdyż oddalało to nieuchronny koniec...

— W takim razie nie moglibyśmy i tak dzisiaj zacząć?

...i podejrzlenia, że klatka bez jego wiedzy mogłaby zostać wykorzystana do eutanazji, której zostałby poddany wbrew swojej woli.

Aby uciszyć podejrzlenia, Jim dodał szybko:

— Noel Resnick zamierza zrobić z twego odejścia publiczne widowisko. Rozumiesz, rodzaj pokuty! Sądzę jednak, że na razie nie musimy się tym martwić, co?

Weinberger natychmiast odzyskał humor. W takim wypadku on i jego klatka są bezpieczni. Może mu tylko grozić Śmierć, które miał nadzieję zwabić do klatki i uwięzić.

— Asystentka nazywa się Sally Costello. Nie dowie się, o co naprawdę idzie. Powiedziałem Menottiemu, że prowadzę specjalną terapię, eksperyment zatwierdzony przez Resnicka — Jim uśmiechnął się pod nosem. — Bo tak jest naprawdę.

Weinberger skinął głową, a Jim był coraz głębiej przekonany, że po tej idiotycznej zabawie ze swoją niedorzeczną maszyną, Weinberger da się w końcu spokojnie poprowadzić ku dobrej śmierci.

— Zatem jutro zastawiamy pułapkę?

— Tak — skinął głową Jim. — Tylko jeszcze jeden drobiazg. Czy jesteś absolutnie pewien, że potrafisz udawać agonię, nie umierając zarazem naprawdę?

Wiedział, że Weinberger, jeszcze jako przewodnik, również przejawiał głębokie zainteresowanie kwestią transu śmierci, który do złudzenia przypomina śmierć rzeczywistą. Ta wspólnota zainteresowań stworzyła między nimi pewną więź, jakkolwiek Nathan nie okazał jeszcze zainteresowania bezkresnym zespoleniem, jakie można w ten sposób osiągnąć. Weinberger prowadził batalię: nie walczył o spokój, chodziło mu właśnie o wywołanie wojny. Konstruując wedle zaleceń Weinbergera maszynę, Jim był coraz bardziej świadom przedziwnego podobieństwa jej zamysłu do przeznaczenia komory utraty świadomości, którą zbudował z Mike'iem Mullenem w Gracchus do badań ekstazy śmierci przy użyciu biosprężenia zwrotnego z rytmem thanatos.

Jim zastanawiał się, jak Weinberger może w ogóle osiągnąć spokój umysłu niezbędny do wprowadzenia się w stan ekstazy śmierci, aczkolwiek Nathan zapewniał go, że mu się to uda. Korzyści z osiągnięcia tego stanu przez Weinbergera, obojętnie z jakiego powodu, powinny być ogromne, podczas gdy element ryzyka zbyt głębokiego wejścia w śmierć będzie skutecznie minimalizowany przez uczucie gniewu i desperację Nathana. W maszynie tej bowiem skupi się na sztuce prawdziwej śmierci, jako przypadkowym dodatkiem. O ile zamysły Weinbergera spalą na panewce, umierający człowiek odarty

zostanie ze swych absurdalnych fantazji, co w ostatecznym rozrachunku okaże się dlań zbawienne. Tak więc Jim wcale nie oszukiwał Menottiego określając całą sprawę jako rodzaj eksperymentalnej terapii.

— Co to znaczy: „nie umierając naprawdę”?

— To dotyczy groźby związanej z mimikrą śmierci — odparł pogodnie, choć pogoda była czymś absolutnie przeciwnym temu, co czuł naprawdę. — Straciłem w Gracchus najlepszego przyjaciela. Nazywał się Mike Mullen. Też symulował śmierć: niezbyt mądrze, ale za to skutecznie. Umarł. To był rzeczywisty powód przerwania przez Dom w Gracchus studiów nad życiem pozagrobowym. Dlatego też zostałem przeniesiony do Egremont.

— Kolego, ja nie umrę. A jeżeli nawet, to nie w tym łóżu. O nie! — Weinberger pociągnął silnie Jima za łokieć, obracając go w swoją stronę. Spojrzał mu uważnie w oczy:

— Zdaję sobie sprawę, jak ci zależy na tym, bym nie umarł przed wyznaczonym terminem.

Puszczając rękę Jima dotknął dźwigni na konsoli aparatury medycznej. Igła strzykawki ze środkiem pobudzającym drgnęła kierując swe ostrze do wnętrza klatki. Nie napotykając jednak ludzkiego ciała na swej drodze, cofnęła się nie wystrzelivując dawki narkotyku. Weinberger zatarł rękę.

— Dobry sprzęt — pochwalił. — A dzięki tym twoim dodatkom jest lepszy od wszystkiego, co sam obmyśliłem i zbudowałem. Miałeś rację: eksperyment u mnie w domu byłby bardzo ryzykowny — chociaż miałbym pomocnika. Mojego kumpla. Po to zresztą jest ten peryskop. Lecz nie sądzę, by tak naprawdę człowiek ten przydałby mi się na coś. Fachowiec, to co innego... — urwał uśmiechając się.

— A swoją drogą to niezwykle, że Śmierć zostanie pochwycone i zniszczone w swoim własnym Domu — dodał na koniec.

Biedny człowiek, pomyślał Jim. Biedny, otumaniony człowiek. Ale w końcu w tym swoim wodnym łóżu nauczy się żeglować po bezkresnym, wiekuistym oceanie jedności.

Jim odprowadził Weinbergera do jego pokoju, po czym odszedł, by złożyć wizyty innym klientom, których miał poprowadzić.

X

Sally Costello była dobrze zbudowaną dziewczyną o ciemnych, kręconych włosach spływających połyskliwą falą na ramiona. Ubierała się nieodmiennie w luźne, skrojone w tunikę sukienki z odkrytymi aż po barki ramionami. Na jej ramionach lśniło kilka bransolet opinających wstęgami ciało. Miała pyzate jak księżyc oblicze ze śladami po ospie, przykrytymi zawsze grubą warstwą pudru. Jej twarz kojarzyła się Jimowi właśnie z Księżycem o zrytej kraterami powierzchni pokrytej grubą warstwą pyłu. O samej Sally Costello jednak trudno byłoby powiedzieć, że jak Księżyc, miała coś wspólnego z martwością: za wyjątkiem oczywiście charakteru jej pracy u boku doktora Menottiego. Sally promieniowała zawsze energią i życiem. Jej oczy lśniły, suknia powiewała, ciemne loki wirowały wokół twarzy. Wraz z doktorem Menottim stanowili wyśmienity duet, niczym wyjęty z opery. Z charakteru przypominała nieco Mary-Ann Szczepanski, lecz była dużo młodsza i pełniejsza.

Stała właśnie przy konsoli aparatury medycznej muskając palcami przełączniki, dźwignie i tastery, jak muzyk, który nie zna instrumentu, dopóki nie dotknie osobiście strun czy klawiszy. Spojrzała na ściany otaczające złotą klatkę i rozpromieniła się.

To pułapka na myszy, myślał Jim. Pułapka na myszy z Weinbergerem w środku jako przynętą dla Śmierci, kawałkiem syntetycznego gorgonzoli*, którego woni jednak ani Jim, ani Sally Costello nie będą w stanie wyczuć.

„Przynęta” ubrana była w szorty i siatkowy podkoszulek. Przebranie to ułatwić miało pracę czujnikom aparatury czuwającej nad aktualnym stanem pacjenta. W tym swoim rynsztunku Weinberger sprawiał wrażenie raczej wygłodzonego sprintera niż naukowca. Stał, wymachując ramionami, jakby chciał się rozgrzać.

— Zaczynamy — przerwał milczenie Jim odciągając szklaną ścianę z drzwi klatki. Otworzył je.

Weinberger bez chwili namysłu wpelzł do środka, uważając jednocześnie, by nie poślizgnąć się na cienkich i delikatnych niczym pajęczyna przewodów oplatających ramę klatki.

*Gatunek ostrego sera

Wyciągnął swe chude ciało na materacu i sięgnął po kask naciągając go na głowę. Pod wpływem jego ruchów łożo jakiś czas leniwie falowało.

— Dobrych łowów, Nathan!

Weinberger skinął głową, ułożył się wygodniej i zamknął oczy. Jim zamknął drzwi klatki pozłacanym kluczykiem, który Weinberger osobiście zaprojektował i wykonał, po czym zawiesił go na cienkim łańcuszku na szyi. Zatrzasnął szklaną płytę.

Rozległ się delikatny szum prądu, który po włączeniu zasilania zaczął płynąć przez elektroniczne obwody urządzenia.

„Działa cyrkulacja powietrza”, szepnął do siebie Jim.

— Wygląda jak strach na wróble udający Królową Śnieżkę — parsknęła stłumionym śmiechem Sally Costello, gdy Weinberger nie mógł już jej słyszeć. — Tylko gdzie to zatrute jabłko?

— Wszędzie. W jego jelitach, w wątrobie, w śledzionie. Metastaza.

— Też tak myślę — mruknęła skupiając uwagę na czytniku impulsów funkcji witalnych.

Wewnątrz oszklonej, złotej klatki Weinberger zaczął nucić monotony, hipnotyczny refren melodii mającej wprowadzić go w trans agonalny. Gdy Jim ujrzał poruszające się bezgłośnie wargi, skinął z aprobatą głową. Weinberger zdawał się być doskonale obeznany z tą techniką.

Mruczenie trwało dłużej niż czas i Jim wpatrzony w owo dziwaczne widowisko poczuł się jakby cały zewnętrzny świat zamarł nagle w bezruchu, jakby czas stanął w miejscu. Głowa Sally w ciemnej aureoli kędzierzawych włosów pochylała się nisko nad konsolą, nieruchoma jak głowa woskowej lalki.

Weinberger wzniósł prawie niedostrzegalnym ruchem prawą dłoń i Jim wcisnął natychmiast guzik polaryzujący szklane ściany klatki.

Przed jego oczyma wyrosła mlecznobiała ściana, za którą zniknął Weinberger i jego złocista klatka.

Jim pochylał się nad peryskopem, opierając czoło na gumowej wykładzinie wczoraj. Wewnątrz pułapki Weinberger leżał już nieruchomo, nie poruszając nawet ustami. W perłowym świetle wypełniającym klatkę zdawał się trupio błądzić. Owa imitacja zwłok odbijała się w lustrach w nieskończoność. Palec za palcem, dłoń za dłonią, głowa za głową i wciąż nowe jego ciała. Każde z setek, każde z tysiąca ciał leżało we własnej złocistej kołysce klatki, a kraty przeplatały się wokół tych pomnożonych w nieskończoność zwłok, umykających bezlikom lustrzanych refleksów w otchłanne przestrzenie zwierciadeł. Maszyna Weinbergera przypominała w tej chwili upiorne urządzenie do klonowania trupów. Trudno w niej było utrzymać koncentrację wzroku.

Wchodzenie w trans trwało dobrą godzinę i Jim zaczął w ogóle wątpić, czy to się uda. Był przekonany, że to podświadomość człowieka wspierana świadomą częścią jego

umysłu broni się stawiając tak silny opór. Co pewien czas odrywał twarz od peryskopu i spoglądał w mleczną płaszczyznę rozciągającą się przez oczyma. Klatka przestała już być klatką. Była jednolitym, nieprzejrzystym blokiem marmuru — białym jak Kaaba. Jak to możliwe, by tam, wewnątrz ktoś był? Ale wystarczył rzut oka w peryskop i był tam rzeczywiście, a biała bryła okazywała się jego mauzoleum. I znów Jim odrywał oko od wizjera.

Sally gwałtownym ruchem, niweczając nastrój, odwróciła swą kędzierzawą głowę od ekranów. Popukała w ekran pulchnym palcem, opiętym mocno pierścieniem z brązu.

— Osiągnął cel. Zaczyna się rytm thanatos.

Jim miał już na głowie kapturowy wzornik peryskopu i tylko usłyszał jej głos.

— Zanikają wszystkie inne rytmy organizmu. Za jakieś cztery-pięć minut fala thanatos osiągnie stadium szczytowe. Wtedy włączy się urządzenie rozpylające preparat.

— Ach... rozpylacz się włączył.

Jim odruchowo zaczął pociągać nosem, choć wiedział, że żadnej woni nie poczuje.

Skoncentrował uwagę na ostrzu igły czekającej przy obnażonej łydce Weinbergera, by, na znak Sally, wstrzyknąć w nią potężną dawkę środka pobudzającego. Palce trzymał na guziku, którego naciśnięcie pięćdziesięciokrotnie zwiększy natężenie prądu doprowadzonego do siatki. Moc wzrośnie automatycznie, gdy pojawią się określone przebiegi mikroelektroniczne, których Weinberger dokładnie nie wyjaśnił — mając nadzieję na patent? — ale Jim mógł polegać na własnym osądzie.

Nagle coś śmignęło... wyłoniło się z pustki. Czerwony stwór — z tym, że nie był tak naprawdę „czerwony” — pojawił się raptownie na klatce piersiowej Weinbergera.

Wyglądało to jak nietoperz; lub olbrzymia ćma... Trzepotało się, migąło na granicy postrzegania, jakby balansując na krawędzi tego i innego wymiaru. Miało ogromne, szkliste oczy — jeśli były to oczy — równie czerwone jak reszta ciała. I okrutny, mały dziób. Błoniaste, półprzeźroczyste jak welon skrzydła — jeśli były to skrzydła — zakończone były ostrymi haczykami, jak ostrogi kogutów walczących w cyrku w dawnych, barbarzyńskich czasach. Stwór, zdawało się, próbował sięgnąć karku Weinbergera; wysuwał dziób naprzód, jak kwoka, lecz zaraz cofał się powracając wciąż w miejsce, gdzie biło jego serce.

Czym jest ten stwór? Jak naprawdę wygląda? Pomimo szoku, Jim uświadomił sobie, że widzi tylko to, co mogą widzieć jego oczy i rozumie to, co może pojąć jego mózg; niekoniecznie zaś to, co jest w rzeczywistości...

— Koniec thanatos! — śpiewnym głosem oznajmiła Sally, nieświadoma tego, co dzieje się wewnątrz prostopadłościanu. — Stymulacja, teraz!

Jim nacisnął odpowiedni guzik, mimo że mikroelektroniczne obwody włączyły się same już ułamek sekundy wcześniej. Klatka otoczona została niewidzialnym, potężnym

polem ochronnym.

Jednocześnie igła weszła w łydkę Weinbergera. Ten drgnął, jak porażona prądem żaba w okrutnym eksperymencie minionych czasów.

Usiadł wyprostowany na swych wodnych marach, otworzył szeroko oczy.

Czerwony stwór szarpnął się gwałtownie wstecz odrywając od piersi człowieka. Śmignął, jego obraz falował, drgał, jak fazy prądu elektrycznego, cofając się do swego świata i natychmiast wracając z powrotem. Uderzył w pręty klatki i wydawało się, że przenika przez naelektryzowaną plecionkę i szklane ściany więzienia.

Nie! Przeniknął; ale nie do pokoju, w którym znajdowali się Jim i Sally, lecz... przez jedno z lustrzanych odbić klatki, a właściwie w nie, przy czym w prawdziwej klatce nie pozostał „oryginał”.

Jim uświadomił sobie, że był tam od samego początku „jeden” tylko stwór. W pierwszym oszołomieniu pominął ów zadziwiający szczegół, choć zachował go w pamięci. Nie miał swoich odbić! Żadnych lustrzanych duplikatów. Było wiele odbić Nathana, ale stworzenie tylko jedno. W jaki sposób coś, co można zobaczyć, nie ma odbicia w lustrze? Może... dlatego, że jest niepodzielne? Nic nie jest w stanie go rozdzielić, tak samo, jak człowiek nie może dwukrotnie umrzeć. Ta zadziwiająca cecha intruza powodowała, że stworzenie było bardziej rzeczywiste, niż gdyby posiadało sto swoich refleksów. Ono istniało totalnie. Wyglądało na to, że wchłaniało w siebie wszelkie swoje odbicia, w ten sposób było w pełni widzialne — wzmocnione — a nie majaczyło tylko gdzieś na granicy postrzegania. To właśnie magiczny... lub technologiczny sekret klatki Weinbergera.

Zataczając szaleńcze wiry wokół rzeczywistego Nathana Weinbergera, czerwona ćma-nietoperz odbijała się od złotych prętów przenikając z jednego fantomu klatki do innego. Im dłużej tak krążyła, tym więcej złocistych prętów napotykała na swej drodze. W końcu zawisła prawie bez ruchu. Zaplątała się w swoje odbicia i nie potrafiła ulecieć na wolność.

Weinberger obiema rękami zagarnął powietrze. Przestrzeń nad rzeczywistym materacem była pusta; stworu — Śmierci — nie było tam wcale. Lecz refleksy rąk Weinbergera systematycznie penetrowały wszystkie lustrzane odbicia klatki; Weinberger dobrze wiedział, co robi!

Śmierć trzepotało się rozpaczliwie od jednej klatki do drugiej umykając chwytającym je ręką. Lecz dla Nathana była to jedna i ta sama klatka.

Złapał to.

W jednym z refleksów klatki, trzykrotnie oddalonym od rzeczywistej, ręce-fantomy zamknęły się na przybyszu. Trzymały mocno. Rzeczywiste ręce człowieka, jak i wszystkie pozostałe ich odbicia, były puste. Tylko ta jedna para, odbita w zwierciadle, zaciskała się ze straszliwą mocą na stworzeniu. Trzymała krzepko. Trzymała ćmę-nietoperza. Samo Śmierć.

To szarpało trzymające je w kleszczowym uścisku dłonie straszliwymi, hakowatymi skrzydłami, dziobało zakrzywionym dziobem. Z dłoni i nadgarstka krew ciekła grubymi strużkami, a rzeczywisty Nathan krzyknął z bólu; jakkolwiek jego prawdziwe ręce — jak i wszystkie ich odbicia — nie wykazywały śladu rany. Tylko te obie dłonie odbite w zwierciadle, trzymające potwora! One tylko były odzierane ze skóry, ranione, szarpane, dziobane. I choć były to wyłącznie odbicia dłoni, dłonie-refleksy, Weinberger wył z bólu.

Mimo męki, jednak mężczyzna nie rozluźniał chwytu i nie puszczał stworzenia. Walczył z nim wyężdżając całe swe siły, lecz stwór zdawał się być niezmordowany, nie do zgniecenia — jeśli oczywiście Weinberger starał się go zgnieść. Ze skrzywioną twarzą, z pulsującymi na skroniach żyłami, ścisnął przeciwnika z całej mocy. Jego własne, puste, o napiętych mięśniach i ścięgnach ręce, jakby w półruchu zawisły w powietrzu. Bez względu na to, jak strasznie stworzenie haratało mu odbicia jego dłoni, on — tam, w odbiciu — wytrwale je trzymał. Koście jego palców stały się prętami kolejnej klatki.

— Jest już przebudzony — zawołała Sally nieświadoma tego, co dzieje się po drugiej stronie mlecznych szyb. — Co się tam wyprawia?

— Walczy ze Śmiercią! — wrzasnął Jim. — Złapał Śmierć! Teraz z tym walczy!

— CO???

W tym momencie wykrzywiona twarz Weinbergera skierowała się w stronę, gdzie był Jim.

— Depolaryzuj szkło! — ryknął przez ścianę. — Rozjaśnij je!

Jim odskoczył jak oparzony od peryskopu, znalazł odpowiedni przycisk i palnął weń otwartą dłonią.

Sally i on ujrzeni wewnątrz klatki! Świat lustrzanych odbić znikł. Weinberger stał pośrodku swego wodnego łoża zaciskając kurczowo dłonie — puste. Jego palce ścisnęły spazmatycznie — nic. Jim wiedział, co oznaczają te nieludzkie zaciśnięte pięści, ale na Sally musiało to wywrzeć wrażenie groteskowej pantomimy.

Weinberger wyciągał Śmierć na zewnątrz. Trzymał już ją tylko w jednej dłoni wyciągniętej do przodu na całą długość ramienia. Czyżby chciał ją odrzucić od siebie? Nie, pokonawszy ją, nie puścił chwytu. Drugą, oswobodzoną rękę wznosił wysoko w pozdrowieniu. Mimo okrutnego bólu, wykrzywił twarz w grymasie, który miał być namiastką uśmiechu.

— Wyłącz napięcie! — krzyknął szorstkim, schrypniętym głosem.

Ten posłusznie nacisnął guzik. Trzaskający metalicznie świst — który równie dobrze mógł być dźwiękiem łopoczących skrzydeł Śmierci lub jej nieartykułowanym głosem — zamarł.

— Otwieraj!

Szarpieniem ramienia Jim odsunął szklaną ścianę. Dopiero w tej chwili przyszło mu

na myśl, że może w ten sposób pozwala Śmierci — niemożliwej, niepojętej żywej Śmierci — odlecieć w świat. Bez płynącego prądu oczka plecionki nie stanowiły już żadnej przeszkody...

Weinberger dostrzegł jego wahanie i rozterkę.

— Głupcze, przecież trzymam to mocno! — krzyknął stojąc wciąż po drugiej stronie klatki. Nawet do głowy mu nie przyszło, że może bez kłopotów już przedrzeć się przez pajęczą plecionkę przewodów. Najwidoczniej nie miał zamiaru niszczyć swego wynalazku.

— Tego tu nie ma! Nie ma w tym „tutaj”! To jest stale w odbiciu — tam to trzymam!

Trzyma? Czy naprawdę trzyma? A może to tylko ból, tak głęboki ból poraził mu nerwy, że nie wie, co mówi, nie wie, co robi, wciąż sądzi, że toczy walkę? Może tylko mu się wydaje, że trzyma obce stworzenie, tak jak inwalida odczuwa ból w amputowanej dłoni?

Ale Jim w to nie wierzył! Weinberger naprawdę trzyma stwora w zaciśniętej garści. Wszystkie odbicia zniknęły tam, gdzie zazwyczaj znikają. Lecz gdzie by nie było to miejsce, jego odbite dłonie muszą tam stale istnieć, w kształcie i pozycji jego rzeczywistych, z krwi i kości, rąk...

Jim zdejmował z szyi klucz szarpiąc nerwowo łańcuszek. Dwukrotnie próbował, zanim jego roztrzęsione dłonie trafiły wreszcie do dziurki. Przekręcił klucz, pociągnął drzwi ku sobie i klatka stanęła otworem.

Weinberger wypełził na zewnątrz, wyprostował się i stanął obok Jima i Sally. Zaciśniętą kurczowo dłoń trzymał wyprostowaną daleko od siebie, a na twarzy malowała się mu udręka i duma.

XI

Gdy Jim zatonął już w fotelu-strąku, Resnick oparł się mocno dłońmi o blat biurka i zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Ten Dom nie jest teatrem absurdu...!

Był nadzwyczaj zdenerwowany. Gdyby usiadł, zaciąłby się i nie mógłby sklecić ani jednego zdania.

Sally Costello opowiedziała oczywiście wszystko Claudio Menottiemu, a ten z kolei przekazał to Resnickowi. Okrzyk Jima: „On złapał Śmierć i teraz z nią walczy!” wzbudził w niej niepokój, a już do paniki doprowadził ją Weinberger, kiedy wypełził z klatki z kurczowo zaciśniętą, wyciągniętą przed siebie pięścią.

Ścienny ekran przedstawiał tego ranka szczyt olbrzymiego wulkanu z wydobywającymi się z krateru kłębamii czarnego dymu przetykanego amarantowymi jęzorami ognia.

Skoro próbuje mnie tym zastraszyć, pomyślał Jim, to znaczy, że bez tego nie byłby w stanie.

W gabinecie obecne były również Alice Huron i Mary-Ann Szczepanski; ta druga sprawiała wrażenie zaczadzonej smrodliwymi wyziewami ściennego wulkanu. Posępna chmura czarnego, skłębionego dymu zdawała się wchłaniać w siebie całą intymność i poufność panujące zazwyczaj w Domu.

— Coś miał na myśli to mówiąc? I jak dzisiaj oceniasz wypadki wczorajszego dnia?

Weinberger przez całą noc nie zmrzył oka. Trudno jest zresztą zasnąć, gdy ciało poddawane jest nieustannej torturze. Jim wątpił, czy Weinberger — gdyby nawet chciał — zdołał uwolnić stworzenie. Jego dłoń bowiem i Śmierć zostały już połączone ze sobą na dobre: haczyki skrzydeł wiązały dłoń człowieka w takim samym stopniu, jak ta krępowała skrzydła stworzenia. O ile Nathan w ogóle coś trzymał...

Ale Weinberger wiedział, że coś trzyma. Jego wyciągnięta ręka przypominała kończynę artretyka, który nie może wyprostować ani łokcia, ani nadgarstka, ani palców. Nie spał. Nie miał od wczoraj ani chwili wytchnienia. Zaciskał zęby z bólu i trzymał niewi-

działnego przeciwnika w wyciągniętym ręku.

— Zdawało mi się, że widziałem Śmierć — prawie wyzywająco, podniesionym głosem odezwał się Jim. — Była jak nietoperz lub ogromna ćma, choć stokroć od nich drażniejsza. Miała wielkie, kryształowe oczy. Była czerwona — a raczej w kolorze przypominającym czerwień. Możliwe zresztą, że widziałem ją w podczerwieni.

— Ach, więc już potrafisz widzieć w podczerwieni — parsknęła zgryźliwie Alice. — Z tego też zapewne powodu kamery niczego nie zarejestrowały!

To była prawda. Wideo-taśmy utrwaliły tylko, że Weinberger poderwał się pod wpływem środka pobudzającego i przez minutę czy dwie wymachiwał rękami zgarniając powietrze — ale zobaczyły tylko jego. Oczywiście film utwalił przy okazji wszystkie lustrzane odbicia Weinbergera, ale bez wątpienia nikogo więcej.

— Nie zarejestrowały — zgodził się Jim. — Jakby nie mogły zarejestrować światła na tej długości. Jakby to było w całkiem innym widmie. Ale przysięgam, widziałem to.

— Miałeś halucynacje — odparł Resnick nadal kołyszając się. — Gapiąc się w ten peryskop, na wszystkie te lustrzane odbicia zahipnotyzowałeś sam siebie. Byłeś blisko utraty zmysłów, a twoja uwaga nie podlegała już woli. A sam wiesz, do czego prowadzą takie rzeczy! Jak on się nazywał, co? Mike Mullen? Ten twój przyjaciel z Gracchus? Zgodnie z twoim dossier...

— Moja wdzięczność za jego rozpowszechnienie — Jim złożył ironiczny ukłon.

— Tylko niezbędne szczegóły, Jim! Tylko niezbędne szczegóły. Jeśli sam tego nie rozumiesz, to ci powiem: jesteśmy w kłopotliwej sytuacji. Najpierw morderstwo, a teraz to. Jeśli ta fantazja rozniesie się... nie rozniesie się, prawda?

— Jeśli wystawisz Weinbergera na pokaz publiczny...

— Ależ musimy to zrobić... chociaż muszę zaprotestować przeciw określeniu „pokaz publiczny”. Może sądzisz, że stawiasz nas w sytuacji bez wyjścia? — Resnick tańczył jak tokujący cietrzew.

— Pozwól sobie zatem przypomnieć, że w wyjątkowej sytuacji przewodnik może mieć nakazane przedwczesne odejście. Jeśli nadażasz za moim tokiem rozumowania...

— Och, naturalnie, że nadażam — Jim przeciągłym spojrzeniem omiół twarze obu towarzyszek Resnicka owej burzowej nocy w bungalowie nad jeziorem. Jego faworyty... Na wspomnienie przedwczesnego odejścia, na twarzy Mary-Ann wykwitł lekki, bezwiedny uśmiech.

— W porządku, więc Weinberger nie znalazł ukojenia w swojej „maszynie” — odezwał się gniewnie Jim. — Ale, do cholery, zaczął się powoli oczyszczać ze swego wrogiego stosunku do śmierci. Czyż nie dostrzegacie tego? Teraz może się tego trzymać. To bardzo dobry znak.

— A co z twoim wrogim stosunkiem do śmierci? — ponownie wtrąciła się do rozmowy Alice. — Też jesteś przekonany, że „to” widziałeś!

— Wrogim? Cóż za nonsens! Dajcie mi trochę czasu. Weinberger to skomplikowany przypadek... a swoją drogą, to już całkowicie nie twój interes, Alice.

W czyich jednak rękach zbiegały się nici wszystkich spraw i intryg w tym Domu?

— Być może udało mi się nawiązać quasi-telepatyczną więź z Weinbergerem — przyznał Jim. — Tak jak przystało prawdziwemu przewodnikowi.

— To zrozumiałe, skoro zapadłeś w otępienie — odrzekł Resnick nieco łagodniej. — Gdy Weinberger przebudził się i toczył walkę z fantomami, ty zacząłeś przeżywać halucynacje, fantastyczne wizje. W myśli wypełniłeś sobie puste ręce Weinbergera tym czymś. Tyś powołał do życia fantoma, a Weinberger go pochwycił... Został wyrwany z transu środkiem pobudzającym, krew tętniła mu w skroniach i gałkach ocznych... to, co ujrzał, to wyłącznie personifikacja jego własnej krwi pulsującej mu pod powiekami.

Nie mógłbym przecież sam się zahipnotyzować, pomyślał Jim. Wiedziałem, że coś takiego może nastąpić, i od czasu do czasu odrywałem się od wziernika.

— Zastanawia mnie, czemu tym właśnie Jim wypełnił pustą przestrzeń — odezwała się znów Alice. — Tym nietoperzem, kogutem bojowym, czy co tam jeszcze było?

Czymkolwiek: nietoperzem, kogutem, ćmą. Oczywiście, niczym z tego, co wymieniła Alice, a zarazem wszystkim tym. Obcą mieszaniną. Stworem nie pochodzącym z Ziemi.

— Quasi-telepatia? — powtórzył ostrożnie Jim.

— Przychodzi mi do głowy, że zakładamy tylko, iż obaj widzieliście to samo — odezwała się milcząca dotąd Mary-Ann. Brzmiało to tak, jakby chciała pomóc Jimowi.

— Zgoda, obaj doznaliście silnego przeżycia, obaj coś ujrzeliście. Ale czy obaj ujrzeliście to samo? Czy wasze doświadczenia były identyczne? Pytałeś Weinbergera, co on widział?

Jim uświadomił sobie, że nie spytał.

Wszystko to było tak niezwykle żywe, a wszelkie ruchy Weinbergera w klatce tak zsynchronizowane i celowe, że Jim bez zastanowienia uznał, iż stwór, z którym walczył Weinberger, był tym samym stworem, którego widział on sam!

Klął siebie w duchu, dokładając starań, by nikt nie mógł wyczytać z jego twarzy, co czuł naprawdę.

Postanowił skłamać. Obaj musieli widzieć to samo. W przeciwnym bowiem wypadku... Jego wyobrażenie śmierci — istne szaleństwo i niedorzeczność! Okropnie dziecinne.

Poza tym Mary-Ann wcale nie chciała mu pomóc. Przeciwnie, próbowała wpędzić go w zasadzkę. Chciała, by przyznał się do przeoczenia, co oznaczałoby występowanie u niego uczuć, których w rzeczywistości nie posiadał, emocji, które były absolutnie u przewodnika niedopuszczalne. Gdyby nieopatrznie przyjął sugestie Mary-Ann, mógł od razu prosić o dymisję — jeśliby oczywiście Dom wyraził na nią zgodę bez jednocze-

snego żądania przedwczesnego odejścia. Mogli bowiem tego zażądać. Mogli.

— Oczywiście, że pytałem — odparł, mając nadzieję, że nikt w międzyczasie nie pytał o to samo Weinbergera. — Obaj widzieliśmy to samo.

— Przypadek silnej identyfikacji — mruknął Resnick. — Zgadzam się, że identyfikacja z klientem jest rzeczą pozytywną, ale w tym konkretnym przypadku nieco przesadzona. Zgoda, my mieszkańcy Egremont jesteśmy tolerancyjni. Zawsze staraliśmy się być tolerancyjni. My i dusza tutejszej społeczności, Norman Harper. Staraliśmy się, Jim! Staraliśmy się. Czas przeszedł!

— Weinberger doświadczył katharsis — Jim znalazł się już na bezpiecznym terenie. — Wrogie uczucia wybuchły w nim gwałtownie tym właśnie stworzeniem, które pochwycił. Tak szybko, jak pozwolił jemu uciec, uwolnił się od złudzeń i urojeń. Na zawsze.

— On musi się uwolnić od nich tylko na najbliższe parę tygodni — odparł Resnick. — Radzę ci dobrze, idź do niego i tak długo trzymaj jego rękę, aż jej nie otworzy. — Mistrz rzucił szybkie spojrzenie na Alice Huron, która pochyliła się do przodu, jakby chciała coś powiedzieć. — Za późno już, by zmieniać przewodnika. Bobslej jest już w połowie drogi — ostatnie słowa zabrzmiały jak cytaty z któregoś z wierszy Normana Harpera.

Resnick pochylił się i dotknął kilku klawiszy na blacie biurka. Dymiący wulkan znikł, a jego miejsce zajął pogodny krajobraz pokrytych grubą warstwą śniegu gór. Cały wewnętrzny ogień, gryzący opar dymu i płynna lawa zakrzepły zmrożone białą Zimą — Zimą świata.

Jim opuścił gabinet świadom jednego: jego własne życie — w sensie dosłownym — zaczęło zależeć od dobrej śmierci Weinbergera.

W pokoju 302 Nathan Weinberger leżał bezwładnie na łóżku, a ból nie pozwalał mu zasnąć. Zaciśniętą pięść trzymał na grubej podkładce, by nie zetknęła się z prześcierałem.

Jak długo mógł tak wytrzymać? Jeśli Śmierć wyrwie się mu z garści, czy poszybuję do swego świata natychmiast, czy też pozostanie w pokoju? Czy zostanie tu, aby sięść na prawdziwej ręce, której zwierciadlane odbicie więzi ją obecnie w krainie refleksów? Jim zastanawiał się, czy ból pozwala Weinbergerowi na snucie podobnych myśli.

— Za chwilę rozlecą się wszystkie moje kości — jęknął ochryple Weinberger. — Czuję, jakby to już się stało! Ale wytrzymam. Muszę. Ta ręka jest prawdziwa. I ciało również! Ale nie widzę tamtej. Och, ale za to ją czuję. Cholera, i to jak czuję!

— Pozwól więc temu odlecieć. Otwórz dłoń.

— Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

Jim pochylił się nisko nad Weinbergerem.

— Obaj widzieliśmy to samo, prawda? — szepnął. — Było czerwone nieziemską czerwienią. Wyglądało jak ćma lub nietoperz — jak jedno i drugie. Ty też widziałeś? I teraz trzymasz to w garści?

— Tak, to właśnie to — bezsensownie, porozumiewawczo Weinberger mrugnął okiem... a może tylko był to skurcz bólu. — Nie bój się, Jim, nie zawiodę.

— Wypuścisz to w końcu — obiecał Jim. — Wypuścisz.

— Owszem, ale czy ty też? — spytał szorstko Weinberger.

Jim nic nie odpowiedział. Potrząsnął tylko głową.

— Wierzysz mi teraz, prawda?

— Widziałem, co widziałem.

XII

Nadszedł wieczór, a Weinberger wciąż nie wypuszczał z ręki niewidzialnego stworzenia. Ku zaskoczeniu Jima, ten chory człowiek nie wyglądał wcale na słabszego fizycznie: przeciwnie, wyglądał, jakby z przedłużającą się walki z niewidzialnym przeciwnikiem czerpał coraz więcej mocy.

Lecz było jasne, że nie może się to ciągnąć w nieskończoność i nadejdzie w końcu chwila, kiedy Weinberger wyczerpie wszystkie swe zasoby sił. Ale jeśli jego życie było zagrożone — tylko przedwcześnie zagrożone, bo i tak umierał — to czy w końcu nie trzeba będzie amputować Weinbergerowi prawej dłoni?

Ale to byłaby kastracja, okrutna kastracja.

Jeśli w ten sposób zmusi go do rozluźnienia uścisku — jak jakiś złodziej na starożytnym Środkowym Wschodzie, kradnący klejnot Sułtanowi Śmierci — będzie to oszustwem. To żadne rozwiązanie.

Jim spędził z Weinbergerem godzinę, po czym poszedł z wizytą do farmera chorego na SM. Ten oczekiwał swego wcześniejszego odejścia z niecierpliwością, zdając sobie sprawę z tego, że alternatywą jest całkowity zanik władz umysłowych, który niosła ze sobą choroba. „Nie rozpaczaj nad rozstaniem, śmierć jest lepszym rozwiązaniem” — była to myśl przewodnia przypadku farmera. Była to zresztą dewiza Normana Harpera.

Do siebie Jim wrócił o dziesiątej wieczorem. Przed udaniem się na spoczynek nastawił budzik na pierwszą w nocy.

Aktywność ciała u większości osób osiąga swój najniższy poziom około trzeciej nad ranem. W dawnych czasach, jeśli zanim o terminie czyjejś śmierci decydował wybór, większość „naturalnych” zgonów następowała właśnie wtedy. Jim spodziewał się, że dzisiejszej nocy, około trzeciej nad ranem w tej sprawie może nastąpić kryzys...

Do pokoju Weinbergera wszedł o pierwszej trzydzieści.

Pacjent nie spał, jakkolwiek jego powieki były ciężkie i nabrzmiące, a pod oczyma

pojawiły się głębokie cienie. Ale spoczywająca na podpórcie dłoń była zaciśnięta kurczowo.

Poleciwszy jak zwykle wyłączenie kamery, Jim usiadł na brzegu łóżka.

— Dawno, dawno temu widziałem stary film — zamruczał Weinberger. — Film był stary, ja byłem młody. Nie był to taki film, jakie teraz się produkuje. Tam zabijano i zadawano ból.

— Chyba wszystkie tamte filmy były takie?

— Akcją rozgrywała się na pustyni, podczas jakiejś wojny lub...

*Była to jedna wojna o twarzach przeróżnych,
Karuzela wojen ciągle — w miejscach różnych.
Kręcąc się i kręcąc, wirując, wirując
Płonęły...*

— Gównu, nie poeta, ten twój Norman Harper. To do czegośmy doszli? No więc Arabowie złapali jakiegoś człowieka i torturowali go. Przywiązali do krzesła i żelaznym szpikulcem miażdżyli mu dłonie i nadgarstki.

— Głównie to z tego filmu zapamiętałeś?

— Och, nie to miałem na myśli! Nie, po prostu czuję się jak tamten człowiek. Z tym tylko, że nie mam żadnych sekretów do wyjawienia. Toteż ból nie ustaje. Tortura trwa i trwa.

— Mylisz się, Nathanie. Jest taki jeden sekret. Tym sekretem jest spokój. Akceptacja i jedność. Wypełnienie i dokonanie.

— Gdy moja ręka jest w tak okropny sposób torturowana, ty mówisz o spokoju? Daj spokój, Jim!

— Gdy rozluźnisz rękę, ból ustanie.

— Bzdura, Jim! Bzdura! Przecież też widziałeś Śmierć.

— Śmierć nie zadaje bólu.

*Nie skarż się, bo to nie boli,
Gdy życie się spełnia i kresu dochodzi.*

Tym razem Jim nie wiedział, czy Weinberger cytuje zamordowanego poetę, czy go parodiuje.

Pogrążeni w milczeniu trwali tak dłuższy czas. Ich dłonie stykały się. Patrzyli na lodowe góry płynące na ściennym ekranie.

Od czasu do czasu Jim rzucał ukradkowe spojrzenie na zegarek. Zawsze nakładał go cyferblatem do wewnątrz dłoni, by nie urażać klientów ostentacyjnym spoglądaniem.

Z tych samych względów przedkładał staromodne zegarki ze wskazówkami nad nowoczesne, elektroniczne.

Druga piętnaście.

Druga trzydzieści.

Być może Weinberger po prostu zaśnie o trzeciej. Za drzwiami, w mrocznych czełusciach Domu, panowała cisza. Jimowi zdawało się, że już od wielu godzin nie słyszał żadnego dźwięku. Nawet ich podwójny oddech zdawał się wsiąkać w ściany pokoju. Zamrugał oczyma; żałował teraz, że nie zażył zawczasu środka pobudzającego.

Za piętnaście trzecia Weinberger krzyknął przenikliwie, jak kobieta w połogu. Wytrzeszczone oczy niemal wyszły mu z orbit. Powolnym ruchem zgiął ręce w łokciach i rozgiął palce, wyginając je groteskowo do tyłu — jak azjatycka tancerka. W pierwszej chwili Jim pomyślał, że pacjent umiera. Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę w stronę telefonu, by wezwać kogoś z aparaturą reanimacyjną.

Lecz Weinberger złączył nagle ręce z głośnym, ostrym klaśnięciem.

— Uciekło! — krzyknął rozdzierająco. — To cholerne kurewstwo uciekło! Śmierć uciekło! Straciłem zdobycz! Poddałem się, pozwoliłem uciec! Wszystko na nic, wszystko stracone! — jakby wybijając rytm raz po raz klaskał w dłonie.

Zasnął nagle. Zasnął w mgnieniu oka. Zasnął twardo.

Jim zbadał puls i oddech śpiącego. Były w normie. Sięgnął po słuchawkę telefoniczną, by włączyć kamerę. W połowie ruchu zrezygnował jednak z tego zamiaru. Nic, absolutnie nic nie powinno zakłócić kojącego snu, snu leczącego rany psychiczne, które Weinberger sam sobie zadał. Żadne słowo, żaden szept. Zadzwoni już od siebie z pokoju.

Wyszedł na palcach, bezgłośnie przekręcił klucz w zamku i ruszył spiesznie do windy.

Odrężony, pogodnie spoglądając w najbliższą przyszłość, położył się do łóżka.

Teraz, kiedy znów stał się persona grata, zapragnął nagle jeszcze z kimś podzielić swoje uczucie triumfu. A przy okazji i łóżko! Ale było już zbyt późno, a poza tym komu mógłby zaufać? Może Marcie Bettijohn? Albo może powinien przeprosić Sally Costello? Nie, ona znajdowała się pod opiekuńczymi skrzydłami Menottiego. A Jim wiedział, że bohaterowie oper, to ludzie zazwyczaj chorobliwie zazdrośni nie tylko na scenie.

Zanim zasnął, zdecydował, że najwyższa już pora zabrać Martę Bettijohn na obiecany obiad do restauracji „Pod Trzema Iglicami”.

XIII

Jimowi przyśniła się Marta. Była pełną dziewczyną, o rubensowskich kształtach, a całe jej okrycie stanowiły tylko koronkowe wstęgi, w podmuchach wiatru wijące się jak węże wokół jej bujnego ciała — odsłaniając co chwila sutki i różowe, wygolone znamię jej płci. Ścigał ją, a ona wymykała się mu przeskakując lekko przez jałowce. Niebo, drzewa i krzaki były czarnobiałe, ale sama Marta w kolorze różanym. Słońce było krwistoczerwone, podobnie jak żagle jachtów ślizgających się po toni jeziora. W pewnej chwili Marta zwolniła, skinęła przyzwalającą ręką. Dogonił ją. Mieli się kochać wprost tutaj, pod gołym niebem na brzegu jeziora.

Lecz żagle jachtów zamieniły się nagle w skrzydła ogromnych ciem. Owady zataczały olbrzymie kręgi w powietrzu, by za chwilę przybliżyć się i z łopotem skrzydeł pikować wprost na dziewczynę. Przyssały się do jej ciała długimi i wiotkimi językami-ssawkami. I wtedy dopiero Jim spostrzegł, że ćmy — zamiast wysysać — pompują coś w Martę, która zaczęła się nadymać jak balon, puchnąć w oczach, zarazem tracąc coraz bardziej cielistość. Po krótkiej chwili stała się całkiem przezroczysta i uleciała w niebo, choć bez skrzydeł, Jim wzleciał za nią, by przebić ten balon, uwolnić ją od...

Zbudził go dzwonek telefonu.

Półprzytomnym ruchem chwycił zegarek. Było już bardzo późno. Wczoraj zapomniał włączyć budzik i zaspał. Przespał już całe jedno spotkanie — a na następne był już spóźniony. Aż dziwne, że nikt go dotąd nie zbudził.

Gdy podniósł do ucha słuchawkę, dobiegający z niej głos Marty wydał mu się kontynuacją sennych widziadeł.

— Jim, sądzę, że powinnam cię ostrzec. Twój klient Weinberger narobił dziś strasznego zamieszania...

— Ależ on powinien być jeszcze w łóżku! Powinien spać!

— Wręcz przeciwnie. Był zadziwiająco energiczny — tak słyszałam. Pełen animuszu! Posłuchaj mnie, Jim; Weinberger twierdzi, że nastąpił u niego nagły odwrót choroby. Twierdzi, że jest całkowicie wyleczony.

— Co? Ach, tak, uleczony ze swego skurczu. Tak, wiem o tym! A także prawdopodobnie z całej swojej skomplikowanej choroby umysłowej, która między innymi spowodowała właśnie ów skurcz. Czy to masz na myśli?

— Nie, nie to. Weinberger twierdzi mianowicie, że nie jest już chory na raka, że rak sobie poszedł — ot tak. Domaga się reewaluacji. Nie, nie zgodził się na biopsję — nie chce, by go cięto. Żądał termogramu. Rozumiesz, rozkładu temperatury w organizmie.

— Ojej. No to termografia pokaże po prostu, że wciąż jest przeżarty rakiem.

— Jim, lubię cię i uważam, że powinnam cię jednak przestrzec...

(„Tak samo, jak lubiłaś mnie w nocy”.)

— ...Noel strasznie się zdenerwował i odesłał Weinbergera pod eskortą do Szpitala, tout de suite. Zdjęcie termiczne zrobiono już przeszło godzinę temu. Na tyle, na ile dało się wstępnie stwierdzić, rak faktycznie cofnął się niemal całkowicie. Albo jest na dobrej drodze. Toczą tam teraz zażarte dyskusje nad dokładną diagnozą. Ale Weinberger jest rzeczywiście wyleczony. W dość nagłym trybie.

Jim próbował pozbierać myśli.

— Histeryczne uzdrowienie, czy tak? Histeryczne wyleczenie z nieuleczalnej choroby?

— Ależ Jim, ty sobie chyba nie zdajesz sprawy z powagi sytuacji. On już oficjalnie odszedł, a co więcej, jest mordercą! Musi więc odejść. Czy w takiej sytuacji on tak cicho i spokojnie, pogodzony i pełen wdzięczności, odejdzie? Gdy widziałam ostatni raz Resnicka, ten szalał, miotał się na wszystkie strony i ryczał: „Co teraz mamy robić? Zagłodzić go na śmierć? Ogłuszyć tę świnię narkotykami? Wszyscy się o tym dowiedzą!” Piłka spadła na twoją połowę kortu, Jim. I niestety, odbiła się — ściszyła głos tak, że z trudnością docierały do Jima jej słowa. — Zupełnie jakby w Normana wystrzelił swoją śmierć. Wiesz, co z tego wynika...

Zamiast mnie umiera

Całkiem inny ktoś.

Więc śmiało spust naciskam,

Śmiało bombę rzucam.

Była to jedna z kilku prób poety pisanie białym wierszem...

— Pomyślałam sobie, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Kurwa mać — mruknął Jim.

— Słucham?

— Mówiłem — dziękuję bardzo. Za informację i obudzenie. Zasnęłam — Jim nakrył dłonią mikrofon słuchawki. — Zupełnie jakbyśmy razem byli w łóżku dzisiejszej nocy — rzekł cicho.

Usłyszał szcęk odkładanej po drugiej stronie słuchawki, a po chwili ciągły sygnał.

Ubrawszy się pospiesznie, Jim pobiegł najpierw do kobiety chorej na serce. Raczej szorstko przeprosił ją za to, że nie stawił się o oznaczonej porze, i pognął do kolejnych klientów, by ustalić na nowo harmonogram wizyt. Gdy się już z tym uporał, dochodziło południe. Ruszył do biura Resnicka.

— Cóż to, słyszałem, że Weinberger wyzdrowiał? — zawołał oskarżycielsko zaraz od drzwi. Taki właśnie ton wydał mu się najskuteczniejszą taktyką. To już nie jego wina, że klient jest zdrowy. Nie była to również wina Resnicka, ale Jim spodziewał się, że Mistrz przeoczy ten drobny szczegół, skoro to on zatwierdził termografię.

Przynajmniej raz Resnick był sam. Gapił się właśnie w termogram — zdjęcie ludzkiego ciała w formie wielobarwnej mozaiki.

Zerwał się na równe nogi, jakby był połączony niewidzialnym sznurkiem z drzwiami, które otworzył Jim. Wyprostował się, wyprężył jak struna na czubkach palców i otworzył usta, by wypuścić z nich potok słów.

Wszyscy jesteśmy marionetkami, pomyślał Jim. Lalkami w kukiełkowym teatrze Śmierci, którego głównym reżyserem — zgodnie z opinią Nathana — jest właśnie Śmierć.

Dzisiaj wyglądało na to, że Mistrz, by wykrztusić słowo, będzie musiał się wspiąć aż na blat biurka.

Ale Resnick triumfował.

— Czyżbyś trzymał ucho przy ziemi, Jim? Co? Mimo, że tak smacznie i długo spałeś, to już wiesz... Tak, z całą pewnością spałeś na podłodze z uchem przy ziemi! — stuknął palcem w profil cieplny, jakby jego paznokiec był igłą do akupunktury. — Tak, to prawda. On jest rzeczywiście zdrowy. Intryga się wikła.

— Jaka znów intryga? — Jim otworzył ze zdumienia oczy.

Resnick pominął to pytanie.

— Nie będzie to mieć, rzecz jasna, najmniejszego wpływu na rezultat pobytu Weinbergera tutaj, w Domu — ciągnął. — Lecz nie ma chyba potrzeby przypominać, że takie cuda nie są nam wcale potrzebne. To one kształtują fałszywy stosunek do śmierci. Ułaskawienia w ostatniej chwili i podobne bzdury. Jeśli choć jedno słowo o tym...

Jim położył obie dłonie razem na biurku, przyciskając je z całych sił do blatu, jakby pragnął zahipnotyzować Resnicka.

— Posłuchaj, Noel. Nie bawmy się w wykręty. Wiem, że „wyzdrowienie” Weinbergera musi mieć podłoże historyczne, aczkolwiek to fakt fizyczny. Skoro twierdzisz, że jest on rzeczywiście zdrowy — a nie mam podstaw, by nie wierzyć twoim słowom — to musi mieć podłoże psychomatyczne. No i dobrze, to z kolei świadczy, jak głęboka i trafna była moja diagnoza i terapia; jaki odniosła pozytywny skutek. Bo oto wraz z nagro-

madzonymi pokładami furii, nienawiści i gwałtowności, wypalił w sobie przy okazji i raka. Teraz to wszystko zniknęło — jak piorun, uderzając w odgromnik niknie w ziemi bez śladu.

— Niknie? Niknie jak piorun w ziemi, powiadasz? Czyś widział go dzisiejszego ranka?

No proszę, jąka się. Jim jeszcze mocniej przycisnął dłonie do biurka i korzystając z chwili, napierał mocniej.

— Teraz kolej na to, by go dostosować i naprostować. Wie, że zabił człowieka i nie pozostaje mu inne wyjście, nieprawdaż? Pogodzi się i uspokoi. Było to niemożliwe tak długo, jak długo żył ze świadomością, że wroga Śmierć go zżera, odbiera resztki życia. Obecnie sytuacja uległa radykalnej zmianie. Dla Nathana istnieje już wyłącznie dobra śmierć. Opanuje się, uciszy, uspokoi. — Jim kłamał; wcale nie wierzył w to, co mówi. — Jeśli dobrze rozegramy dalszą partię, a ja się o to postaram, Weinberger sam zrozumie naturalną logikę zdarzeń. Za kilka tygodni, gdy pokaże się publiczności, będzie to już... upamiętnienie Normana Harpera, który, jak się okazuje, był pewnego rodzaju odgromnikiem. Nikt nie wyświadczył tyle dobra innemu człowiekowi, ile poprzez własną śmierć — nieświadomie wprawdzie — wyświadczył Norman Weinbergerowi. A swoją drogą, nie powinno się było dopuścić do tego, co on zrobił. Trzeba go było wykryć. Nie chcę krytykować Mary-Ann czy tego Domu...

— A-a-a-ale właśnie to robisz.

Jim potrząsnął przecząco głową.

— Zajmiemy się tym razem. Jeśli odpowiednio się przyłożymy do sprawy, wszystko się uda.

— Tak, masz zapewne rację.

— Pójdę teraz odwiedzić mego klienta. Musieliście naknocić niemało podczas porannej awantury. Proszę, żeby mu nie przeszkadzano.

Resnick zadziwiająco łatwo przystał na to, co mówił Jim. Przełknął wszystkie jego fałszywe wywody obarczające całą winą właśnie Mistrza. Dlaczego? Z pewnością dlatego, że byli sami, że nie było ani „kierownika” Alice, ani faworyty Mary-Ann. Resnick po prostu jest żenująco słabym politykiem, a w dodatku — w trudniejszych chwilach — zawodzi go nawet język. Nic nie mogło być bardziej żalosne, niż ów zacinający się i jąkający, pozbawiony pewności siebie, olbrzymi mężczyzna.

A Resnick z pewnością był w trudnej sytuacji. Jim nigdy w pełni nie rozumiał wszystkich ukrytych napięć, które wiązały ze sobą różne grupy w społeczeństwie: Dom Śmierci, Urzędy Spokoju, Biuro Spisowe, Biuro Reeducacji, nie wspominając o licznych pomniejszych grupach, jak zamarzłaki czy nielegalne grupy religijne trzymające się jeszcze tu i tam, najróżnorodniejsze koterie. Niemniej, zawsze podejrzewał, że społeczeństwo nie jest wcale tak gładkie i zintegrowane, jak się wydawało. W jego odczuciu było

ono czymś w rodzaju kopuły geodezyjnej. Kopnięta z jednej strony nie pozostawiała tu śladu. Dopiero obrócona o sto osiemdziesiąt stopni okazywała się spaczona. Najpierw morderstwo Normana Harpera, a obecnie „cudowne” uzdrowienie Weinbergera były takimi właśnie dwoma potężnymi kopniakami, jeden otwarty, drugi — jak dotąd, ukryty. Istota problemu tkwiła w tym, że skoro w tak dobrze dostosowanym, nieskazitelnym Egremont zostały wymierzone dwa takie kopnięcia, to co mogło tu ulec wypaczeniu? I gdzie? Albo — z drugiej strony — jakim naciskom podlega Resnick? Kto jego kopie? Skoro wojna chińsko-radziecka była tym straszliwym kopniakiem, który spaczył zupełnie dawny świat dając impuls do wielkiego Przewartościowania Śmierci i Przebudowy wszystkiego, to w co z kolei mogą się obrócić — w skali krajowej, a nawet globalnej — ostatnie wypadki w Egremont?

Weinberger bredził o „benificjentach morderstw i nagłych wypadków”; o tym, że najlepszą bronią przeciwko Śmierci byłaby bomba wodorowa... Czyżby więc Śmierć tak bardzo wygłodniała na ludzkie dusze, których zbyt dużo się jej wymknęło podczas błyskawicznej wojny radziecko-chińskiej, już wiele, wiele lat temu? Czyżby więc stanowiła rodzaj inteligentnych drożdży czy bakterii i próbowała sobie zabezpieczyć na przyszłość dopływ pożywienia poprzez oddziaływanie na ludzkie umysły...? I Weinberger miał się oddać jej na pożywienie. W takim razie każdy, kto nie potrafi sprokurować sobie niespodziewanego wypadku, musi zostać pożarty przez Śmierć.

To czyste szaleństwo, pomyślał.

Zdejmując ręce z biurka Resnicka, opuścił szybko gabinet, zanim Mistrz Śmierci zdążył odzyskać równowagę.

— Nie ułatwiłeś mi pracy — Jim rzekł kwaśno do Weinbergera.

Weinberger, choć jeszcze bardzo słaby i wycieńczony, przejawiał zadziwiającą świeżość.

— Nie mogę wprost uwierzyć, że spałeś tak krótko.

— Och, nigdy nie sypiałem długo. Jeszcze jako dziecko byłem utrapieniem rodziców. Starczały mi trzy godziny na dobę. Ostatecznie nie jestem kotem, którego obchodzi wyłącznie sen.

Jim zwrócił uwagę na to wyznanie. Rytm spania i czuwania był jednym z tych wyważonych cykli (jak dzień i noc), które kształtują w człowieku — jeszcze w okresie dziecięcym — pogląd, że jak po nocy następuje dzień, po śmierci nastaje kolejne życie; że śmierć nie jest wcale końcem wszystkiego. Ale skoro Weinbergerowi wystarcza tak krótki okres spania, w jaki sposób mogły się w nim narodzić te obsesyjne fantazje o „Śmierci”? Ach... w przypadku Nathana najwidoczniej nie chodziło o życie i śmierć. Po jednej stronie równania była tu spokojna śmierć, po drugiej zaś śmierć gwałtowna. Właśnie tak, gwałtowność kontra spokój. Umysł Weinbergera nie zaznał wcale spokoju, bo tak

mało odpoczywał. Nie mógł więc pojąć, co to znaczy umierać spokojnie; zatem musiał wymyślić sposób uchylenia się przed dobrą śmiercią. Ale jak? Zmuszając Dom, by ten go zaskoczył śmiercią gwałtowną? To nie może się więc zdarzyć...

Jedynym pocieszającym faktem było to, że Weinberger nie był w stanie zabić samego siebie przez zaskoczenie. Zatem kamera zainstalowana w jego pokoju była rzeczywiście zbędna.

Ale sprawą dużą ważniejszą niż jego stan umysłowy, ważniejszą od gwałtownego cofnięcia się raka, nawet od politycznych konsekwencji i reperkusji była... Śmierć: ćma, nietoperz — którą przecież Jim widział własnymi oczyma. A własny jego sen — uświadomił to sobie ze zdumieniem — jego sen właśnie umocnił w nim to przekonanie. Ukrywał nawet przed sobą myśl o tamtym stworzeniu, od kiedy rozmawiał z Martą przez telefon.

Teraz myśl ta pojawiła się znowu i Weinberger jakby ją przechwycił — jakby zwęszył feromon śmierci, a Jim wydzielił właśnie cząstkę tej substancji.

— Pomożesz mi to złapać, Jim? Prawda, że pomożesz?

Jim w milczeniu skinął głową.

— Jak myślisz, zmieszczą się na tym twoim wodnym materacu dwie osoby? — odpowiedział pytaniem.

— Kiedy?

— Dzisiejszej nocy.

— A kto będzie czuwał przy monitorach?

— Z całą pewnością nie Sally Costello — ona ma dosyć po tamtym razie. Zresztą nie jestem wcale przekonany, czy potrzebujemy świadków. Możemy wmontować do środka klatki urządzenie zdalnego sterowania, a twój stymulator napięcia radzi sobie świetnie sam. Czujniki medyczne możemy sobie darować, a jeśli idzie o twój ukochany, złocony kluczyk; no cóż, będziesz musiał z niego zrezygnować. Zgoda?

— A kto będzie nas stymulował? Kto wytrąci nas z transu, gdy już Śmierć przybędzie?

— Myślę, że tym razem powinniśmy wszystko rozegrać inaczej. Jeśli po prostu znów będziemy się starać pochwycić to stworzenie, to nas tylko cholernie pokaleczy. Myślę, że powinniśmy pójść za tym, poznać miejsce, z którego przybywa.

— Ale jak to zrobić? Przecież będziemy uwięzieni w szklanym pudle w tym świecie — w zwyczajnym świecie.

— W Gracchus — odparł Jim — mój przyjaciel Mike Mullen, ten, który umarł, pracował zarówno nad transami śmierci, jak i eksperymentował z wychodzeniem poza ciało.

— Słowem, na płaszczyźnie astralnej — wybuchnął śmiechem Weinberger. — Przecież to już dawno zostało pogrzebane. Ten orzeł nie poleci. Nie ma skrzydeł.

— Ale Mike dorobił mu skrzydła. Pod koniec doświadczeń stwierdził, że lata i udowodnił mi, że ma rację. Projekcje astralne mają jednak miejsce w normalnym świecie. Trochę jest to jak rodzaj snu, w którym widzisz wypadki rozgrywające się w niesłychanie odległych miejscach. Mike pragnął „latać” również w transie śmierci!

— Polecieć do Nieba, a potem wrócić?

— Zależy, gdzie jest Niebo! Spójrz na to z tej strony: skoro istnieje „dusza” trwalsza od śmierci...

— To musi istnieć miejsce, w którym przebywa.

— Właśnie. Mike opracował i nagrał specjalne hipnotaśmy ułatwiające osiągnięcie stanu pozacielesnego. Najpierw jednak musiał zgłębić tajniki transu śmierci — stanu oceanicznej jedności. Zanim podniesiesz żagle, musisz poznać przyprawy i odpływy morza.

— I utonął.

— Utonął.

— Tak samo, jak ty utonąłeś.

— Z tym, że jego nikt nie przywrócił do życia. Zatrzymałem sobie te taśmy, jako jedyną po nim pamiątkę... byliśmy w końcu najlepszymi przyjaciółmi. Jeśli wykorzystamy materiały Mike’a, to mamy jedyną w swoim rodzaju szansę podróży w stanie pozacielesnym podczas mimikry śmierci, nie umierając naprawdę!... Jaka szkoda, że wówczas bagatelizowałem te zagadnienia! Lecz zawsze interesowała mnie oceaniczna jedność — i jej tylko poszukiwałem. Smutne! Teraz dopiero widzę, że wolałem utonąć, niż popłynąć.

— Albo polecieć.

— Jak dwie latające ryby! Polecimy! Jestem to winien Mike’owi.

— A ja? Czy mnie też jesteś coś dłużny?

— Nathan, przekazuję ci... moje dziedzictwo po Mike’u, dziedzictwo, którego dotychczas nie potrafiłem właściwie ocenić. Nikt więcej nie mógłby ode mnie dostać. Muszę tylko gwizdnąć nieco narkotyków. Taśmy przesłuchamy, gdy już tam będziemy...

— W nocy?

— W nocy.

Tak więc zamiast obiadu z atrakcyjną Martą Bettijohn, a następnie (być może) nie mniej uroczej nocy miłosnej, Jim — z absurdalnych i zgoła aseksualnych powodów — pójdzie do łóżka z Nathanem Weinbergerem!

Wstał.

— Zamierzam jeszcze złapać Beadway i udać się na wasz wspaniały Mall, Nathan. Chcę zjeść obiad w sławetnej knajpie „Pod Trzema Iglicami”. Wypiję tam całą butelkę wina. Sam jeden.

Kiepski to przewodnik, który umierającemu człowiekowi mówi o świecie zewnętr-

nym. Lecz Weinberger nie był już dłużej umierający — pozostał takim tylko w sensie urzędowym. I niebawem uda się wraz z Jimem na zewnątrz — na zewnątrz zwyczajnego świata, choć drzwi Domu będą w dalszym ciągu za nim zamknięte.

— Po winie będziesz senny.

— O to właśnie chodzi. Muszę się wyspać tego popołudnia. Bo w nocy — kto wie, co będzie? Nasze ciała odpoczną sobie, podczas gdy dusze polować będą na motyle i ściągają nietoperze, choć nie bardzo na to liczę.

— Czy naelektryzujemy klatkę?

— Naturalnie. Dopóki nie będziemy wiedzieć więcej, nie należy zmieniać w naszym przedsięwzięciu nic poza tym, co dyktuje absolutna konieczność.

Weinberger poruszył prawą ręką.

— Nie chciałbym, aby Śmierć tkwiło z nami w klatce... ale też, by czmychnęło nam, zanim będziemy gotowi ruszyć jego tropem. Tak, naelektryzujemy klatkę! Przestraszymy Śmierć, po czym pozwolimy mu odlecieć. Będziemy zatem potrzebować automatycznego przełącznika prądu, skoro obaj jednocześnie mamy być przynętą dla bestii.

— Masz rację. Choć nie lubię nikogo i niczego straszyć ani krzywdzić.

— To ty wspominałeś o polowaniu. Polowaniu na motyle — Weinberger wskazującym palcem uderzył w dłoń, jakby przebijał owada szpilką.

— No, to już uciekam.

— Leć. *Bon appetit* — odparł uprzejmie Weinberger, bez odrobiny zawiści w głosie.

XIV

Jim stał w progu restauracji „Montresor” rozglądając się niecierpliwie za kelnerem, który wskazałby mu stolik. Natychmiast też w tle wielkiego okna wychodzącego na Mall dostrzegł smugę żółci: był to Ananda w swej szacie koloru musztardy. Towarzyszyła mu Marta Bettijohn.

Jim chciał zrazu wycofać się i pójść pod „Trzy Iglice” do sali francuskiej — co, jak sobie uświadomił, zasugerowały mu pożegnalne słowa Weinbergera. Było jednak za późno. Marta już go dostrzegła i machała dłonią. Uśmiechała się promiennie.

— Przyłączysz się do nas, oczywiście? — ton głosu brzmiał raczej twierdząco, a zaproszenie wyglądało na szczere. Ananda skinął przyzwalająco głową.

Gdy mimo wszystko Jim wahał się, Marta klasnęła w dłonie:

— Popatrz, popatrz — samotny smakosz! Wierzyłam, że zabierzesz mnie na swój pierwszy — dziewiczy — wypad do knajp Egremont. I chyba cię to nie ominie!

Raczej z ponurą miną Jim zajął miejsce przy stole. Mimo że czuł się trochę zmuszony do towarzystwa, musiał uczciwie przyznać, że znał bardziej przykre niewole.

Zdumiewała go natomiast nieco obecność w takim miejscu Anandy. Sądził, że ten drobny, śniady mężczyzna o wygolonej czaszce jest raczej ascetą.

— Często tu bywasz? — spytał obojętnym tonem.

— Sądzisz, że nie wypada? Ech, panie Todhunter, czy mam ci powiedzieć, w co wierzę, wyznać ci moje credo? — umilkł. Nie było to tylko pytanie czysto retoryczne.

— Czemu nie? Jestem bardzo ciekaw — odezwał się zachęcająco Jim.

— W nic nie wierzę — w absolutne Nic. Toteż nie jest istotne, czy sobie dobrze podjem, czy też nie, abym tylko nie dążył do powtórzenia tego doznania. Zresztą takie powtórzenie nie przyniosłoby zadowolenia. Wszystko przemija i ja również przeminę.

— Ale mimo wszystko lubisz sobie dogodzić?

— Mam nadzieję, że i my też — mruknęła pogodnym głosem Marta podnosząc wzrok sponad karty.

— Wyrzekanie się siebie bynajmniej nie oznacza karania siebie. Zadając sobie cier-

pienie nadawałbym sobie zbyt wiele zasług, zbyt wielkie znaczenie.

— Z pewnością.

— Poza tym jakąż karma nakazuje absolutną ascezę i życie w abnegacji? W której z ksiąg będzie to napisane? W żadnej — Ananda pochylił się w stronę Jima. — A to, że nie okazuję urazy za twoje „wdarcie się” przed chwilą, nie świadczy wcale, że nie było to intymne teteatete z Martą. Gdzież lepsze miejsce na takie teteatete niż francuski lokal? Lecz teraz już sytuacja uległa zmianie. To, co było, minęło — Ananda wiercił się na krześle jak przyzwoitka.

Jim roześmiał się nerwowo.

— W końcu jesteś szczerzy.

— Bo kłamstwo jest głupotą. Prawda zawsze wypłynie na wierzch.

Zabrzmiało to jak subtelne ostrzeżenie, że jego plany na nadchodzącą noc są już Anandzie znane. I Marcie.

I wszystkim...

Jim przeniósł wzrok na zmarszczone czoło Marty kartkującej nonszalancko jadłospis i pojął natychmiast, że ona i Ananda śpią czasem ze sobą; bez żadnych zobowiązań, związków i wzajemnych pretensji. Zupełne przeciwieństwo splątanej i lepkiej pajęczyny wzajemnych stosunków Noela Resnicka, Alice Huron i Mary-Ann Szczepanski. Ananda rzeczywiście odsunął się od życia jeszcze w trakcie jego trwania. Dlatego też Marta nie mogła być w żaden sposób przez niego dotknięta czy skrzywdzona. Gdyby więc Jim... pogonił za nią, przebiłby jej balonową powłokę bezpieczeństwa i samozadowolenia — dokładnie tak samo, jak zamierzał to uczynić we śnie.

Stała mu przed oczyma Alice Huron — w bungalowie nad jeziorem — rozkraczona na łopatkach Mary-Ann, która siedząc na Resnicku pochylona mocno do przodu doprowadza go do orgazmu. Wyobraził sobie Alice, która używając Mary-Ann jako rodzaj sztucznego penisa, sterowała doznaniem seksualnym Mistrza, zadowolając się jednocześnie szczuplejszym ciałem kobiety. Ujrzał, jak rozkraczona na gołych plecach Mary-Ann biczuje ją pejcem za to, że nie dostatecznie wnikliwie wejrzała w buntownicze serce Weinbergera i w wyniku tego spowodowała śmierć najcenniejszego jej skarbu — Normana Harpera. Jim był pewien, że tak właśnie sprawy się mają. Poczul sympatię do Anandy i Marty za ich bezpretensjonalny, intymny stosunek, pozbawiony tak obrzydliwych kontekstów.

— Mam ochotę na *Tournedos bouquetiere* — odezwała się Marta, gdy pojawił się kelner. Sprawiała wrażenie, jakby wszystko co mówił Ananda, było całkiem oczywiste.

— *Monies a la provencale* — zamówił sobie Ananda, nie zaglądając nawet do karty.

— Ja też proszę *Tournedos* — rzekł Jim. A gdy w chwilę potem pojawił się kelner od win, dodał: — Litrową butelkę Rouge Maison, proszę.

Marta obserwowała Jima z zaciekawieniem, lecz nie odzywała się ni słowem. Nie

wspomniała ani o swym porannym telefonie, ani o przypadku Weinbergera. Zarówno ona, jak i Ananda dobrze znali etykietę i dobre obyczaje — doprowadzili je do perfekcji we wzajemnych stosunkach.

Za oknami, promienie słońca wpadały szeroką strugą przez kryształowy dach rozciągnięty nad całym Mall. Światło odbijało się tłusto w grubych, mięsistych liściach olbrzymich saguaro i w gęstych krzewach wilczomlecza. Między drzewami migotliwymi kaskadami tańczyły fontanny, których szum tłumili jednak szyby restauracji.

Jim przeżuł ostatniego karczocha i odsunął na bok widelcem kawałek tłuszczu od mięsa. Zastanowił się, co Weinbergerowi przyniesiono na tacy do jedzenia? Do jedzenia? Czy tylko do jedzenia? Do zeżarcia! Weinberger bowiem, po nieoczekiwanym uzdrowieniu, z całą pewnością zeżre łączywie wszystko, co mu dadzą. Różnica w ilościach i jakości ich posiłków wcale Jimowi nie zepsuła apetytu: i tak obaj przemianą, jakby to określił Ananda. A poza tym Weinberger był Jimowi dłużny ten obiad. Pownownie napełnił sobie kieliszek.

— Czy masz jakieś doświadczenie związane z transem śmierci? — spytał Anandę.

— Przez cały czas. Z każdą umykającą sekundą i minutą.

— Nie, nie — Jim zamachał gwałtownie ręką. — Mnie chodzi o coś innego. Czy obojście doświadczyłeś kiedykolwiek stanu transu śmierci? Dokładnie chodzi mi o to, czy udało ci się choć raz wyrwać siebie — swoją świadomość — poza ciało? Czy doświadczyłeś... tego rodzaju oderwania?

— A gdzie niby moja świadomość miałaby uciec? Ona jest tutaj i ja jestem tutaj. Tutaj jest wszędzie — i nigdzie.

— To tylko słowa.

— I w tym cały problem. One ustanawiają tylko dookoła całą menażerię „cosiów”, a w rzeczywistości nie istnieje nic. Nawet słowo „nic” jest również określeniem fałszywym — jak również słowo „śmierć”. Znamy słowo „śmierć”, zatem musi być ona „czymś”. Gdybyśmy nie znali pojęcia „śmierć”...

— ...to zostalibyśmy, sami o tym nie wiedząc, bez pracy — żartobliwie wpadła mu w słowa Marta.

— Jim, o co właściwie chcesz mnie spytać? Jim upił nieco wina.

— O nic.

— Ależ nie, za całą pewnością chciałeś.

— Zgoda, może... ale — czy chciał prosić, by Ananda dyżurował z nim i Weinbergerem dzisiejszej nocy? I Marta również? Nie, o tym nie wolno mu nawet myśleć. Dzieliła go od nich przepaść głębsza niż przepaść dzieląca współzycie Anandy i Marty od spletanym i obleśnym stosunków łączących Mary-Ann, Noela Resnicka i Alice Huron, kurwę z niewidzialnym pejczem w ręku...

— Nic — odparł Jim.

— Musisz znaleźć swoją własną drogę do miejsca, które jest niemiejsce — odparł krótko Ananda.

Zabrzmiało to tak szokująco spostrzegawcze, że Jim drgnął i kieliszek wyslizgnął mu się z palców. Po śnieżnobiałym obrusie pociekła krwawa struga wina. Zawstydzony Jim zakrył szybko plamę serwetką, którą wyjął sobie spod brody.

— Wracamy już — odezwała się taktownie Marta.

XV

Jim spał jak kamień. Obudził się dopiero koło ósmej wieczór z lekkim bólem głowy. Przed wyjściem przetrząsnął walizkę w poszukiwaniu taśmy, którą Mike Mullen nagrał w Gracchus. Wsunął do kieszeni kasetę i ruszył na dół, prosto do biura dyżurnego.

Dyżurny nazywał się Neilson. A może Martinson? Jim dokładnie nie pamiętał. „Jakiś tamson” pogrążony był w lekturze barwnego magazynu, który — gdy Jim wszedł do dyżurki — starał się gorączkowo ukryć.

Na niewielkim ekranie jedyne go czynnego w tej chwili monitora miniaturowy Weinberger spoczywał na łóżku również pogrążony w lekturze. Może zresztą tylko przewracał kartki. Góry lodowe unosiły się wciąż w perspektywie ściany. W małym ekranie monitora sprawiały wrażenie, że są dużo bliżej siebie, że prawie zaciskają swe lodowe szczęki na ciele Weinbergera. Czy Jakiś tamson czytał ten sam magazyn, co Nathan? Być może dyżurnemu polecono śledzić nie tylko każdy ruch i czynność więźnia, ale również każdą myśl — a wywiązać się z tego zadania mógł tylko w taki właśnie sposób.

— Prosiłbym o wyłączenie kamery na większą część nocy; powiedzmy do jedenastej. Potrzebować chyba będę nieco dłuższego czasu; proszę się więc niczym nie niepokoić. Niezbędny będzie mi również odtwarzacz kasetowy.

— Tam stoi, proszę pana.

— Oraz przełącznik elektryczny i kilkanaście metrów kabla.

Jakiś tamson wskazał ręką.

Gdy nadarzyła się okazja, Jim zgrabnie zgarnął klucz od apteczki.

Po opuszczeniu dyżurki Jim skierował się natychmiast do apteczki, gdzie otworzył szafkę z narkotykami. Wyjął słoik opatrzony etykietką Neo-Harmaline-MDA i wysypał z niego całą garść pigułek.

Popularna nazwa „narkotyk” w tym przypadku była nieco myląca. Sam alkaloid Harmaline rzeczywiście powodował rozładowanie napięć, zamykanie się w sobie i jasne, sugestywne wizje; MDA natomiast pogłębiało intuicję powodując głębokie nastroje refleksyjne i stany kontemplacyjne a jednocześnie pobudzało instynkt społeczny i towa-

rzyski. W takim znaczeniu, MDA był „narkotykiem prawdy”, pod którego działaniem człowiek poszukiwał w sobie prawdy o świecie i samym sobie.

Przetworzony już chemicznie Harmaline, w połączeniu z MDA, był środkiem dużo łagodniejszym niż oba składniki z osobna, zarówno w działaniu zasadniczym, jak i w skutkach ubocznych; nie zachodziła groźba wymiotów czy innych przykrych reakcji. W Domach Śmierci stosowany był w celach terapeutycznych i Jim kilkakrotnie sięgał do jego pomocy w przypadku wyjątkowo trudnych klientów. Neo-Harmaline-MDA powodowała przyjemne uczucie usuwania się z życia, akceptację śmierci jako właściwej drogi, poczucie jej społecznej potrzeby.

Narkotyk ów pomoże jemu i Weinbergerowi łatwiej przyjąć sugestie hipnotaśmy bez ryzyka utraty kontaktu z rzeczywistością i popadnięcia w stany halucynacji, pozwoli też uniknąć ryzyka rzeczywistej śmierci w chwili, gdy osiągną już stadium rytmu thanatos. Sugerowani taśmami przesuną się z oceanicznego stanu w stan pozacielesny. Impulsy rytmu samoistnie włączą aparaturę wyzwalającą feromony, które z kolei przywabią Śmierć; a oni, osiągnąwszy już stan pozacielesny, pognają za Śmiercią, do jego własnej krainy.

Jeżeli oczywiście taśmy spełnią swoją rolę w takim stopniu, w jakim obiecywał to Mike Mullen...

Co do tego jednak, Jim nie żywił najmniejszych wątpliwości. Z całą pewnością spełnią pokładane w nich nadzieje. Mike był człowiekiem o genialnej wprost intuicji.

Jim zanosił w duchu modlitwę dziękczynną do martwej już od dawna duszy Mike’a, roztopionej (jak sądził) w oceanie jedności; do Mike’a, gdyż nie miał więcej do kogo. Składał również solenną obietnicę pomsty. Jeśli bowiem Nathan miał rację, Mike Mullen, pozorując agonię, stał się kolejną ofiarą Śmierci — pasożyta.

Zobaczmy to, myślał Jim. Dzięki Mike’owi (niech będzie za to błogosławiony) my dwaj ujrzymy to już dzisiejszej nocy.

Jak gdyby odganiając zły urok, Jim uczynił znak rozetki: zamkniętego koła życia i zerwanego kwiatu.

Zerwanego — przez co, lub przez kogo?

Pod pretekstem odbioru automatycznego przełącznika czasowego ponownie udał się do dyżurki, gdzie wykorzystując nieuwagę strażnika, niepostrzeżenie odłożył klucz na miejsce. Następnie zjechał windą do piwnic, do błękitnego pokoju, by przystosować klatkę do zdalnego sterowania od wewnątrz.

Lekki kac minął już dawno bez śladu.

U Weinbergera pojawił się za kwadrans jedenasta, skąd udali się już we dwójkę na dół, do suterenu.

Tam, dla wygody, rozebrali się do podkoszulków i szortów. Weinberger rzucił swą żółtą tunikę na jedno z dwóch krzeseł. Systematyczny Jim położył najpierw na dru-

gim krzesła swój porządnie złożony piaskowy garnitur, a następnie koszulę i rozwiązany krawat.

Weinberger, który miał nałożyć na głowę hełm, wszedł do klatki pierwszy. Tam ułożył się na gumowym posłaniu, z boku. Po nim, na czworakach, wpełzł do środka Jim. Odwrócił się i pociągnął do siebie drzwiczki klatki Faradaya, zostawiając tylko niewielką szparę. Za pomocą wcześniej już zamocowanego sznurka, przez pozostawioną w drzwiach szczelinę, zaciągnął wielkie, szklane ściany i sufit; szkło było już spolaryzowane i mężczyźni znaleźli się jakby w ogromnej, pełnej zwierciadeł sali. Wtedy ostatecznie zamknął na głucho drzwi klatki.

Włączył prąd w obwodach klatki, po czym wyciągnął w stronę Weinbergera dłoń z pomarańczową tabletką w kształcie serduszka. Obaj włożyli je do ust niemal równocześnie, choć Weinberger miał niejaki kłopoty z zebraniem dostatecznej ilości śliny, by przełknąć specyfik. Dłuższą chwilę poruszał zaciekle szczękami mlaskając przy tym głośno jak kiper smakujący nowy gatunek wina. Grdyka latała mu jak oszalała w górę i w dół, aż w końcu, poczerwieniały na twarzy, przełknął pigułkę.

Włączyli hipnotaśmy. Śpiewny, utracony na zawsze głos Mike'a Mullena brzmiał jak kołysanka skomponowana nie po to by usypiać, lecz by przenosić w odmienny stan świadomości.. Sugestywna, przywołująca...

Jim czuł się, jakby zaczął dryfować pośród bezliku swych odbić. W przedziwnym świecie fantomów był tymi wszystkimi odbiciami a one były nim. Uniósł rękę i wszystkie refleksy również uniosły rękę. Lecz kto tak naprawdę wzniósł tę dłoń? W czyjej głowie zaświtała myśl, by ją unieść?

Trzeci Jim po prawej, pomyślał, nie wiadomo dlaczego. Skoro wszystkie one są identyczne, to czy również wszystkie — tak samo jak on — myślą? A w takim razie, co myślą sobie o nim, gdy tak leży tu — w pierwszym wymiarze?

Co w ogóle stanowi o pojęciu „osoba”? Osoba to wiązka różnych wspomnień — różnych systemów umysłowych, z których każdy posiada własne i niepowtarzalne widmo. To konstelacja, której ciało fizyczne jest skupiskiem najprzeróżniejszych organów funkcjonujących w ścisłej ze sobą symbiozie. Wszystkie komórki w tych organach stanowią dziedzictwo dawniejszej, prymitywniejszej symbiozy — korzystnego wzajemnie związku organizmów początkowo niezależnych. W ciągu życia ciało przez cały czas umiera, bowiem jego komórki zastępują się wzajemnie; tak samo umysł, który również zamiera, wymienia stare systemy na nowe. Umysł wydaje się ciągły w czasie, lecz nie jest to ciągłość w pełnym tego słowa znaczeniu. Przeciwnie, jego trwanie jest przerywane. Czemuż więc nie miałyby osiągnąć teraz takiego rodzaju przerwania? Czemuż jego świadomość i punkt widzenia nie miałyby obecnie skupić się na wymiarze B lub C, lub D, zamiast tego tutaj, wymiaru pierwszego? Przez chwile nie miał już nawet pojęcia, w którym się rzeczywiście znajduje. Niechybnie, jako obserwator, powinien być w centrum

wszystkich pozostałych dziedzin — bez względu na to, w której „naprawdę” się znajduje...

Tak wielu Jimów odbijało się w zwierciadłach od „swego pierwowzoru”!

Weinberger również był zwielokrotniony i Jim odnosił wrażenie zlepiania się z nim w jedno; ich ciała, ich istnienie i umysły zazębiały się ze sobą.

Przekręcając głową, rzucił okiem na swe odbicie w górze. Pojedyncze odbicie, bowiem łóżko, na którym leżał, nie było lustrem. A może to on właśnie spoglądał w dół na samego siebie, spoglądał z góry? Sam już nie wiedział, jak jest naprawdę. Zaglądał w oczy, które z kolei oddały mu spojrzenie. Rozumiał tylko jedno: tak jak zapewniał Mike Mullen, jego astralne ciało czeka już gotowe tam, na górze. Zaczynały mu się kleić oczy, powieki powoli opadały. Miał wrażenie, że oczy jego odbicia wciąż są szeroko rozwar-
te — że stale nań spoglądają.

Umieram, pomyślał; a może to tylko sugestia taśmy? Spadam, przesączam się przez samego siebie, przekształcam się w tamto drugie ja...

— Oddziel się od siebie... wpłyn w siebie, wypłyn...

Błękitna sutereana przestała istnieć, zniknął świat. Całe jego życie — i życie zespołowego z nim Weinbergera — zbliżało się do swego kulminacyjnego punktu. Z całą pewnością był to pierwszy przypadek w historii świata (lecz gdzież podział się ten świat?) gdy dwoje ludzi umierało tą samą śmiercią, nie zaś dwiema odrębnymi...

— Jak oddech zanikający... odpływający... oddychanie poza całym światem...

Odbicia. I ich kuzyni, cienie...

Dusze zmarłych znane pod nazwą „cieni”, ponieważ są to cienie rzucone przez żyjących ludzi na jakiś ukryty ekran; cienie, które istnieją nawet wtedy, gdy człowiek już umrze...

Odbicia więc muszą być stanem pośrednim między życiem i śmiercią, między substancją a cieniem...

Zaczynał już odczuwać tę sferę cienia, ową tajemniczą strefę świata nie będącego światem ścian, pokoi, budynków, nie będącego światem żywych ciał, trawy i drzew. Jednak owa strefa, owa kraina cienia jest jasna, nie mroczna, jakby było można sądzić.

Być może, za pomocą szczególnego zmysłu tkwiącego w jego mózgu, ujrzał po prostu ową strefę w telegraficznym negatywie. Bo oto, gdy świat cieni okazał się tak oślepiająco jasny, świat żywych ciał był mroczny.

Nieoczekiwanie rozbłysła w nim ekstaza i zachwyt; uniesienie, jakiego doznał tonąc i jakie udało mu się ponownie uchwycić w Gracchus...

Ach, teraz tonął na wodnym łożu... I nagle te trzy epizody jego życia, owe stany upojenia, połączyły się, stały się jednym; był to jedyny prawdziwy moment w jego życiu. One — a może to — okrążyło wartkim strumieniem całe jego życie. I skoczył w ów potok, i popłynął nim.

Upojenie: intensywne jak orgazm; przesycało całą jego jaźń. A zarazem nie było ono umiejscowione w żadnym konkretnym miejscu jego ciała...

Czuł słoną słodkość, niczym wydzielonej spermy. Czuł nie językiem, nie nosem; czuł świadomością. Czuł zapach feromonu śmierci:..

— Teraz. Ale nie umieraj. Przenieś się. Opuść swe żywe ciało. Pozostaw je. Niech czeka na twój powrót. Będzie połączone z twym duchem srebrną nicią. Nić owa może rozciągnąć się na miliony mil i nie pęknie. Uwolnij swe stopy od swoich stóp cielesnych, jak uwalniałeś je od butów. Uwolnij swoje ręce od cielesnych rąk, jak uwalniałeś je od rękawiczek. Zdejmij bluzę z ramion. Zdejmij spodnie z nóg. Ściągnij kamizelkę z piersi. Uwolnij motyla z poczwaraki — pozwól mu ulecieć!

Jim otworzył oczy.

W tej samej chwili uczynił to również Weinberger. Spoglądali w dół na samych siebie — ale ich kopie nie oddawały ich spojrzeń. Dwa nieme, nieruchome ciała-zwłoki leżały poniżej z zamkniętymi oczyma.

Ani z lewej, ani z prawej strony nie było lustrzanych odbić, jedynie puste pudła, których kontury wyznaczały delikatne woskowe, skrzące się lekko błony rozpuszczające się powoli w złotej mgłę. Dwójka mężczyzn uniosła się we wnętrzu złocistego plastra miodu o czarnej podłodze. Ściany poszczególnych komórek tego plastra stanowiła potężna, choć niewidzialna, sieć elektryczności klatki Faradaya, odbita w nieskończoności. Sieć energii.

I natychmiast prawie czerwone stworzenie, Śmierć, usadowiło się w klatce piersiowej Jima — tego na dole. W tej samej chwili złote ściany rozbłysły jak zachodzące słońce, a dookoła rozniósł się szum jakby roju pszczół — szum zwiększonego napięcia elektrycznego.

Śmierć zniknęło i po chwili krótkiej, jak mgnienie oka, pojawiło się ponownie, tym razem na piersi Weinbergera. Wyciągnęło swój dziób w stronę jego szyi i natychmiast cofnęło go, sprawiając wrażenie oszołomionego i dezorientowanego spotkaniem podwójnej śmierci — podzielonej i zsynchronizowanej — nie będącej, co więcej, nawet autentycznym zgonem. Bez wątplenia było zdumione i zaszokowane. Pojawiając się i znikając, krążyło między dwojgiem nieruchomych ciał. Lecz chwile jego nieskończoności były bez porównania krótsze niż chwile pobytu. Najwidoczniej — wbrew pozorom — było tutaj cały czas, nie opuszczało tego miejsca, nigdzie nie znikало; owo migotanie i nieoczekiwane zmiany miejsca były tylko kwantowymi skokami z jednej pozycji w drugą, bez rzeczywistego przechodzenia tymczasem w niebyt.

Ale gdzie się podziały wszystkie odbicia? dziwił się w myśli Jim. Musimy być sami rodzajem odbić. A odbicia nie jest w stanie dostrzec innego odbicia. To może dostrzec wyłącznie substancja — oryginał. Lecz stale widzimy wszystkie klatki. Wobec tego Śmierć jest w nich nadal uwięziona. Przez nas i przez elektryczność.

Tej nocy Śmierć nie sprawiało już tak przerażająco drapieżnego wrażenia. Przeciwnie, stworzenie posiadało jakąś niesamowitą, nieziemską grację i piękno. Choć niewątpliwie było to — okrutne piękno.

— Co to jest w ogóle? — zapytywał samego siebie Jim. Przemówił, nie zastanawiając się nawet, w jakim ośrodku rozchodzi się jego głos. Słyszał jednak swe słowa wyraźnie, tak jak usłyszał Weinberger, który zamachał gwałtownie rękami.

— Jesteśmy na górze! Jesteśmy poza ciałem! Jim, udało się! — ściśniętym ze wzruszenia gardłem chrypiał Nathan.

Najwidoczniej mniej się przejmował naturą samego zjawiska. Był po prostu szczęśliwy wisząc ponad Śmiercią jak jastrząb nad uwięzionym w sidłach ptakiem. Rozpostarł swe chude, kościste ramiona — jak ptak rozwijający skrzydła — jakby unosiło go ciepło wydzielane przez jego własne, nieruchome ciało na dole. Jego wyciągnięta ręka szturchnęła w pewnej chwili, niezbyt mocno, unoszącego się nieopodal Jima. Gdyby poruszała się żwawiej, wniknęłaby w jego ciało, a ich substancje wymieszałyby się ze sobą, przenikając się nawzajem jak dwie ameby.

Jimowi, który przymknął oczy, wydało się naraz, że potrafi dostrzec srebrzystą nić łączącą unoszącego się jak latawiec Weinbergera z jego pozorującym śmierć, spoczywającym nieruchomo na dole ciałem. Podobna nić łączyła go również z „martwym” oryginałem poniżej.

Gdy automatyczny przełącznik czasowy wyłączył zasilanie złocistych obwodów klatki, w otoczeniu dokonała się raptowna zmiana.

Już nie dryfowali w przestrzeni. Już nie było pastelowych barw półprzeźroczystego, złocistego wosku. Otaczała ich biała jak mleko mgła, z której sączyło się światło; jakby mgła emanowała ów blask z samej siebie. To nie jest właściwie żadna mgła — błysnęło Jimowi w głowie. To tylko złudzenie, źle ustawione ognisko w oczach; jak u krótkowidza, któremu nagle spadną z nosa okulary. Jeśliby przysunął się bliżej, w którąkolwiek stronę, powinien rozpoznać naturę mglistego światła...

A jednocześnie był świadom obecności cieni — ogromnej piramidy cienia. Ponad nimi majaczył, egzystujący w normalnym świecie, Dom Śmierci. Za fantomową budowlą było Egremont. Egremontcień. I dalej jeszcze — cała reszta widmowej planety.

Jim zdawał sobie sprawę, iż równie dobrze może wybrać się w ową mglistą realność świata, jak i pograć w białych otchłaniach mgły. Oba światy istniały równolegle, jakkolwiek były rozdzielone i całkowicie różne..

Gdyby odlecieli w krainę cieni, znaleźliby się w normalnym świecie, mogliby odwiedzić jezioro Tulane lub Gracchus, lub każde inne miejsce. Bez kłopotów przenikaliby przez najgrubsze mury i najszczelniej zamknięte drzwi. Mogliby podglądać płomienych kochanków, odwiedzać dawno zapomniane miejsca i starych przyjaciół. Mogliby być podglądaczami i świadkami — niewidzialni, niewyczuwalni przez ludzi żyjących w

swych ciałach w normalnym świecie. A srebrna nić byłaby ich linią życia — bez względu jak mocno by ją naprężali.

Świat cieni w dalszym ciągu wydawał się bardziej swojski niż tajemnicza kraina spowita mlecznym oparem. Przyciągnął ich tą swojskością. Przecież nie umarli! Przecież żyją!

Mogą też wybrać kierunek przeciwny i wniknąć w mgłę. Podążyc ku źródłu dziwnego, przyzywającego światła... Dokąd więc?

Świat cieni był im znany i pociągający; mgła natomiast obca, nieprzenikniona, groźna.

Poniżej czerwone Śmierć przeskakiwało z jednego ciała na drugie. Jego wyostrzony dziób, ostre jak skalpel haczyki na fantastycznych skrzydłach z łatwością mogły przeciąć ową srebrzystą nitkę życia. Jeśliby ją odnalazło. Jeśli jej właśnie szukało...

Przestało nagle polować. Przestało przeskakiwać z jednego ciała na drugie.

Jakby uświadamiając sobie, że nic go już tutaj nie trzyma, Śmierć śmignęło nagle migotliwym refleksem w ich stronę. Weinberger zagarnął rękoma powietrze próbując pochwycić stworzenie. To jednak, błyskawicznym skrzętem, cisnęło się w bok unikając rozwartych palców człowieka. Kryształowe oczy Śmierci rozbłysły na widok ich unoszących się, lustrzanych odbić — rejestrując ich obecność — i jakby tracąc wszelkie zainteresowanie. Poszybowało w mgłę. Nie do cieni. Właśnie w mgłę.

Gdy wsiąkało stopniowo w opar, w niepojęty sposób stabilizowało się, przestawało migać. Tam — „poza” — stało się już całkiem realne i stałe. Leciało w cudaczny sposób, zwalniając i przyspieszając, zataczając łuki to w tę, to w tamtą stronę, jakby nie potrafiło lecieć po linii prostej.

Weinberger z irytacją machnął pustą ręką. Była to jego lewa ręka. Najwidoczniej w prawej czuł jeszcze poprzedni raz.

— Gońmy to, Nathan! Nie pozwólmy mu uciec! Nie stracimy tego z oczu!

Stworzenie rozpływało się już we mgle. Jego kształt był już trudny do określenia: czerwona plamka miotająca się w różne strony; jak tańczący na fali spławik, coraz słabiej widoczny, coraz głębiej tonący.

Obaj mężczyźni zanurzyli się w mgle jednocześnie. Sami, nie zdając sobie sprawy, jak to robią — instynktem, wolą... — wniknęli gładko w mgłę.

XVI

Bardzo szybko przekonali się, że nie mogą lecieć prostym kursem, że muszą kluczyć tak samo, jak robiło to poprzedzające ich stworzenie. Mgła bowiem okazała się w rzeczywistości olbrzymim skupiskiem brył: graniastosłupów i wielościanów o najróżnorodniejszych kształtach, proporcjach i barwach, unoszących się we wszystkich możliwych kierunkach. Te wszystkie „mgielne kryształy” posiadały taki sam mniej więcej rozmiar: były nieco mniejsze niż sama klatka na Śmierć. Były to ogromne klejnoty dryfujące, potracające się wzajemnie i wirujące w trakcie swego bezwładnego lotu.

Gdyby lecieli w linii prostej, niechybnie zderzyliby się z którymś z nich — i w wyniku tego zapewne pograżyli w jego wnętrzu. Kryształy bowiem, z pozoru twarde i szkliste, w rzeczywistości zdawały się być płynnej konsystencji. Co prawda, większość z nich odpychała ich delikatnie, niemniej spotykali również na swej drodze takie, które wabiły ku sobie, przyciągały, przyzywały...

W chwili obecnej, gdy trafili już w sam środek ogromnej hordy kryształów, mgła przestała już być mleczna; zalegała jeszcze hen, daleko, na krańcach zasięgu ich wzroku (jeśli byli w samym środku? Być może znajdowali się zaledwie na samym skraju). Najbliższe im kryształy były kolorowe; dalsze zatracaly stopniowo swe barwy zlewając się w jedno białe światło. Tuż obok nich przetaczał się właśnie wielki rubin, trochę dalej — szafir, powyżej — granat, a w dole — szmaragd...

— Zaczekaj!

Zaciekawiony Jim krążył wokół wielkiego rubinu, obracającego się powolnym, nieważkim ruchem dookoła swej osi. Wyciągnąwszy ostrożnie rękę, nacisnął go lekko. Rubin zdawał się stawiać opór. Był w jakiś przedziwny sposób nieszkodliwy, jakkolwiek... Nie, wcale nie miał zamiaru wchłonąć w siebie Jima (w jaki sposób kryształ mógłby „mieć zamiar” cokolwiek uczynić?).

Nieopodal czekał niecierpliwący się Weinberger, który jednak nie odważył się polecieć dalej sam. Tak czy owak, prawie doścignęli Śmierć. Mogą zatem pozwolić sobie na chwilkę zwłoki.

Nieoczekiwanie, gdy Jim zmienił kąt patrzenia próbując wniknąć wzrokiem do wnętrza rubinu, klejnot rozwarł się przed nim; Jim jednak intuicyjnie wyczuł, że w dalszym ciągu ze strony kryształu nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. Wnętrze rubinowej bryły rozłożyło się przed jego oczyma niczym talia kart; jak przez obiektyw „rybie oko” ujrzał świat: świat w miniaturze. Ale świat pełny, świat całkowicie rozwinięty.

Była to kraina kryształowych turni, potrzaskanych odłamów skalnych i jezior stężonej lawy. Bąble i kratery zakrzepłej erupcji wulkanicznej zastygły w kształcie gigantycznych kieliszków do jajek. Porywisty, niosący tumany ostrego piasku wiatr smagał powierzchnię tego zaklętego w rubin świata. Na niebie wisiało olbrzymie, konające już, malinowe słońce zalewając cały świat czerwoną poświatą. Ludzie gnieździłi się w kraterach zastygłej lawy, szukając tam schronienia przed piaskową burzą, dzikimi podmuchami wiatru, szukając odrobiny ciepła, którego tak skąpiło im czerwone, dogorywające słońce. Kraina nie sprawiała wrażenia idyllicznego, szczęśliwego świata.

— Widzisz? Nie patrz tam jednak zbyt długo. Widzisz ?

Jima ogarniał trudny do wytłumaczenia lęk, że jeśli będzie spoglądał zbyt długo we wnętrze klejnotu, to mimo jego miękkości, mimo odpychania, może znaleźć się w jego wnętrzu.

— Nie... co? Wielkie nieba, tak!

— Lećmy więc dalej.

Znów pognali za Śmiercią, lecz po jakimś czasie, gdy drogę zagroził im przydymiony granat, zatrzymali się i odnajdując odpowiedni kąt widzenia, ujrzeli w jego wnętrzu dwa bursztynowe słońca. Słońca były owalne, połączone ze sobą wygiętym, złocistym łukiem opasującym je w obwodzie. Świat zamknięty w granacie był krainą dzikiej, przepastnej, bagnistej dżungli i bujnej, nieokiełznanej roślinności. Gigantycznych rozmiarów różowe i białe dzbaneczniki rozdziawiały szeroko swe chciwe gardziele, jak rzędy głodnych, upstrzonych plamami karpi stojących pionowo na ogonach. Gąszcz nadnaturalnie wybujałych rośniczek rozległymi płacami pokrywał ziemię, skrząc się swymi pokrytymi lepkiem płynem wnętrzami. Pnącza rozprzestrzeniały się wokół i ślizgając jak żmieje czyhały na siebie, by dusić się nawzajem węzowymi splotami. Kolibry z dziobami jak sztylety krążyły w tym sanktuarium (tylko dla nich sanktuarium!) zawilców, których przyssawki chwytaly nieostrożne ptaki i wysysały je. Owe śmigłe ptaki jak strzały pikowały z nieba rozciągniętego ponad krainą śmierci, przygważdzając duże, niesamowite motyle. Gdzieniegdzie z kolei czechrzyca wystawiała swe lepkie macki-pułapki oczekując kolejnej ofiary.

Naga kobieta stała na jedynym pozbawionym roślinności skrawku ziemi, wywijając przed sobą wyrastającymi z piersi ramieniem-macką: jak trzecia, wydłużona i ruchliwa pierś. Posuwała się wzdłuż cypla machając przed sobą piersią-wypustką; gdy tak szła, lepkie kleksy rośniczek cofały się w popłochu schodząc jej z drogi, dzbaneczniki za-

mykały panicznie swe okrutne paszcze, a lepkie języki czechrzycy chowały się i kobieta mogła je bezpiecznie przekraczać i omijać, jakby to były zwykłe, martwe i nieruchome kamienie. Widocznie w jakiś sposób, dzięki swej macce, posiadała władzę nad roślinnością drapieżnej dżungli. W pewnej chwili kobieta wzniosła ku niebu twarz i zawyła; i zaczęła śpiewać...

— Obce światy — szepnął wstrząśnięty Jim. — Do nich właśnie trafiają dusze zmarłych?

— Wątpię. Obce światy wypełnione są obcymi duszami, nie ludzkimi.

— A ta kobieta? Czy ona nie jest człowiekiem?

— Nie wiem. Ale sądzę, że jest nim na tyle, na ile może.

W trakcie śpiewu dżungla gięła się wokół, waliła, łamała; rośliny otwierały swe złowrogie, wygłodniałe ryje pożerając się wzajemnie, połykając, dusząc, rozrywając na kawałki, rozpuszczając jedno drugie. Po chwili pagórek był już oczyszczony z roślinności. Wtedy kobieta wyciągnęła swe nagie ciało na ziemi i zapadła w sen.

— Jeśli tak postępuje, kiedy jest zmęczona i senna, to boję się myśleć, co robi, gdy jest wypoczęta, rześka i pełna wigoru! — wykrzyknął Weinberger.

Kobieta posiadała w sobie jakąś potworną, niszczącą moc.

— To jest jej świat, nie zapominaj o tym, Nathan — odezwał się Jim. — Ona ten świat kreuje własną wolą, kreuje świat na miarę swego obłędu. Masz rację, to nie jest obca planeta. To jest świat imaginacji. Jej imaginacji.

— Albo naszej. Być może to my właśnie wyobrażamy sobie ten świat i tę kobietę.

— Nie sądzę. Ale możemy to sprawdzić wnikając w ten kryształ.

— O nie, wielkie dzięki! Śmierć unika wszelkiego kontaktu z tymi kamieniami.

Ruszyli dalej.

Wewnątrz trzeciego kryształu — żółtego cyrkonu — był świat aksamitny. Ogród z ciwowymi parkami i żywopłotami, altany i zagajniki, ozdobne budowle ogrodowe o wsporniałych kolumnach podtrzymujących drewniane kratownice z winnym gronem. Ogród rozciągał się na rozległym wzgórzu hen, aż po horyzont, po odległą, zieloną dolinę. Plugawe rzeźby i pomniki wykute w czarnym kamieniu okalały rozległe zieleńce i sterczały z gęstych zarośli. Na jednym z trawników trwała właśnie rozpasana orgia. Wszyscy jej uczestnicy byli w ten czy inny sposób zdeformowani fizycznie, posiadali nadnaturalnie rozwinięte lub umieszczone na niewłaściwym miejscu organy seksualne. Jeden z mężczyzn paradował z wielkim penisem zamiast nosa, inny miał monstrualnego członka z oczyma, nosem i ustami — zamiast głowy. Jeszcze bardziej absurdalnie przedstawiał się sam ruchomy penis na nogach, który wyglądał, jakby go ktoś wydarł olbrzymowi z kroczka i puścił samopas. Jedna z kobiet miała w miejscu ust wargi sromowe a zamiast oczu — sutki. Oczy umiejscowione były na czubkach piersi...

Dłuższą chwilę oglądali groteskowy świat cyrkonu, mimo że klejnot stawał im opór,

próbował odepchnąć ich od siebie. Czerwony stwór odfrunął już tak daleko od nich, że zanim oderwali się od kryształu, prawie znikł.

Ruszyli spiesznie jego tropem, omijając kryształowe światy. Natychmiast jednak zorientowali się, że tym razem większość z nich stara się właśnie zbliżyć do nich, wciągnąć w swe wnętrza. Jim nie był tego tak zupełnie pewien, lecz bał się ryzykować i sprawdzić swe przypuszczenia; zdawało mu się jednak, że kryształy usiłujące ich pochwycić w swe wnętrza są czyste, puste w środku, nie zawierają jeszcze w sobie żadnego świata, „pragną”, by ktoś w nie wszedł i wycisnął swe piętno na niestworzonym jeszcze terytorium.

I wówczas na boku przykuło jego uwagę coś drobnego — nie było to Śmierć.

— Spójrz!

Niewielkie, trzepoczące się brunatne stworzenie... nie potrafił go dokładnie rozpoznać. Lecz zjawiało się tam również Czerwone Śmierć — inne, nie to, które ścigali; tamto było daleko w przedzie. To Śmierć wymknęło się nagle spoza ławicy kryształów i zbliżało pikującym lotem ku trzepoczącemu stworzeniu. Nagle zmieniło kierunek — akurat w chwili, gdy brązowy stwór uderzył w złocisty kryształ. Kryształ zadrżał i rozszczerpił się na dwie złote bryły oddalające się powoli od siebie. Jeden z nich pozostał „czysty”, drugi zagrał pełną gamą kolorów i przekształcił się w zasiedlony świat.

Śmierć odleciało natychmiast pełną szybkością; jak starodawny samolot bombowy, który zrzucił ładunek — trzepoczące się, brązowe stworzenie.

Weinberger krzyknął coś o Tybetańczykach.

— Tybetańczycy? Jacy znów Tybetańczycy? Oni wyginęli podczas wojny. Rosyjskie bomby, chińskie bomby, promieniowanie...

— Starzy Tybetańczycy twierdzili, że jeśli dusza po śmierci pójdzie w kierunku niewłaściwego świata, skończy w jakimś obrzydliwym, obcym świecie. Tym są właśnie te kryształy — sam widziałeś, jak obce i odrażające są ich wnętrza. Muszą ich być nieprzeliczone krocie — wystarczająca ilość dla wszystkich mieszkańców Ziemi. W przeszłości, teraźniejszości i w przyszłości. Dla każdego człowieka jeden.

— Dla każdego jeden? Przecież w pierwszym kryształcie było więcej osób. A co powiesz o świecie orgii? Nie wiem, czy to wszystko byli ludzie, ale...

— Skąd masz pewność, że widziałeś więcej niż jedną prawdziwą osobę? Może cała reszta to były tylko zmaterializowane wizje aktorów i aktorek spektaklu — wyposażenie, umeblowanie świata należącego do martwej duszy?

Jim poczuł zimny dreszcz biegnący po krzyżu. O ileż lepiej będzie, jeśli dusza umrze wraz z ciałem, niż gdyby mówiła. Mamiona przez całą wieczność!

Mamiona? Raczej twórcza! Tworzyć cały świat tylko dla siebie? Świat, jaki kto sobie wymarzy i wybierze?

— Przecież muszą gdzieś tutaj istnieć racje.

— Muszą istnieć racje? Och, zapewne. Może i kiedyś były i sądzę, że będą nadal. Ale

kto dzisiaj wierzy w niebo? A jeśli nie wierzysz, to z całą pewnością nie trafisz do niego. A poza tym, kto powiedział, że to wszystko istnieje dla dobra człowieka? No powiedz, Jim, kto?

— Jeśli ktoś zna odpowiedź na to pytanie, to tylko te martwe dusze.

— Jim, pojmuję Śmierć jako łowcę dusz, który umieszcza je w pustych kryształach — zapładniając je nimi. Aby Śmierć mogło się nimi żywić. Aby mogło się nimi bawić... Do diabła, widzieliśmy jak to drugie Śmierć tego dokonało! Cisnęło tam duszę!

— Jeśli to trzepoczące się stworzenie rzeczywiście było duszą... Śmierć było jak bojowy samolot, rozsiewający pociski. (Czy tak naprawdę było? Czy naprawdę tak się działo?)

— Śmierć jest pasożytem; najpotężniejszym pasożytem. A my mszycami dostarczającymi mleka. Tutaj jest plaster miodu, a my właśnie jesteśmy miodem. Nasze złudzenia, nasze cierpienia, wszystkie nasze sny i zwidy ucieleśnione. Karmi się tym zamykając nasze trwanie w kryształach — mówił Weinberger.

— Jeśli oczywiście nas pochwyci. Bo co z tymi nagłymi, przypadkowymi zgonami, które są zbyt szybkie, by Śmierć zdążyło je zagarnąć? Co dzieje się z duszami osób, które nie dały sygnału? Gdzie, do cholery, one idą?

— Być może one właśnie osiągnęły jedność, osiągnęły światłość zaświatów, gdzie by ona nie była? Pokój, jedność... widziałbym raczej Śmierć jako...

— Ja tam Śmierci w ogóle nie widzę. Nigdzie. Gdzie to się podziało, co, Nathan? Straciliśmy je już dawno z oczu.

Przyśpieszyli znów, próbując trafić na zgubiony trop. Nie odnaleźli śladu. Zatrzymali się więc.

Nie mając przed sobą ściganego celu zagubili się w tym ruchomym, trójwymiarowym labiryncie. Nie potrafili określić, ani gdzie jest gniazdo Śmierci, ani gdzie wyjście z labiryntu. Nie mieli w ogóle pewności, czy jakiegokolwiek wyjście istnieje. Białe światło mogło być wszędzie, w każdym kierunku, we wszystkich kierunkach. Kraina rozpychających się kryształów zdawała się ciągnąć bez końca. Teraz, gdy stracili już cały swój impet, skupili uwagę na tym, by uniknąć coraz bardziej agresywnych kryształów, które ciągnęły ich w swoją stronę. Starali się też nie oddalać zbyt daleko od siebie.

— Tam, w górze! Spójrz! — krzyknął nagle Weinberger wskazując kierunek.

Kolejna czerwona plamka, zataczając łuki, zbliżała się w ich stronę.

Było to kolejne Śmierć. W dziobie trzymało coś szarpiącego się. Robaka? Nie, to było takie samo brązowe stworzenie, jakie już raz widzieli — lecz tym razem Jim nie miał najmniejszych wątpliwości.

Była to ludzka dusza; ukształtowana jak robak miniatura człowieka z najnormalniejszą, choć pomniejszoną, ludzką twarzą. Szamotało się to rozpaczliwie w strasznym uścisku dzioba. Sprawiało wstrętne wrażenie czegoś, co wypłynęło ze stosu pacierzowe-

go, plemnika wijącego się w labiryncie... ku niezapłodnionemu jeszcze, kryształowemu jaj; by wniknąć w nie, zapłodnić. Ta dusza jednak nie miała wolnej drogi. Śmierć wlokło ją do wyznaczonego już dawno, przeznaczonego miejsca... Jakżeż ta dusza walczyła! Jak rozpaczliwie! Jak beznadziejnie! Gdybyż tylko zdołała się wyrwać z dzioba Śmierci — popłynęłaby z pewnością natychmiast poprzez labirynt ku rozkoszy, ku szczęściu, ku jedności. Śmierć jednak trzymało mocno.

*Nasza dusza jest jak robak,
A trochę jak sperma,*

pomyślał Jim, nieświadomie parodiując Normana Harpera. W następnej chwili pojawiło się całe stado czerwonych stworów zataczających esyfloresy, pikujących, nagłymi skrętami, jak stado jaskółek, wymijających kryształy. Każde niosło w dziobie robaka.

Jedno ze Śmierci przeleciało tak blisko, że Jim wyraźnie dostrzegł twarz schwytanego robaka. Było to oblicze starszej kobiety. Jej małe oczy, wysadzone z orbit, wyrażały najwyższe zaskoczenie i zgrozę.

Każde ze Śmierci pędziło jak błyskawica wlokąc w dziobie duszę — by wepchnąć ją w któryś z kryształów, aby sfermentowała w upajający, jadowity świat, którym będzie się można potem delektować, spijać go małymi łykami, jak wino, upijając się obłądnymi snami duszy.

Dwójka mężczyzn pognąła za stadem Śmierci, lecz one frunęły różnymi drogami. Gdy Jim i Weinberger próbowali gonić wszystkie na raz, nie rozdzielając się zbyttno, wpadli na siebie. Odbicia ich przeniknęły się.

Owo przeniknięcie się odczuli w ramionach, nogach, tułowiach jak haust gorącego, jakby wymieszanego z miodem dymu.

Zanim zdołali się rozdzielić, na ich drodze wyrósł kryształ z diamentu. Przyciągnął ich natychmiast do siebie. Gdyby zdołali, uniknęliby jeszcze kolizji.

Uderzyli w kryształ, złamali jego powierzchnię, jak dwaj nurkowie przecinający taflę wody, i znaleźli się w jego wnętrzu.

Kryształowa mgła znikła natychmiast...

XVII

W diamentowym kryształe był świat...

Była to kraina rozległych polan porośniętych błękitnym mchem i kępami białych, pierzastych drzew. Rosły one wokół polan niczym wielkie, białe gęsie pióra wbite na sztorc w ziemię. Cały pejzaż tego świata był dwubarwny: biały i niebieski; całkiem jakby ścienna panorama oceanu i lodowych gór z pokoju Weinbergera przekształcił się w mech i drzewa — te same kolory, lecz inne kształty.

Właśnie wschodziło słońce i pierwsze, nieśmiałe jeszcze promienie porannego światła nadawały przenikliwie chłodnemu powietrzu barwę i połysk pereł. Na niebie lśniło jeszcze kilka pulsujących gwiazd: rubinowych, topazowych, szafirowych. Gwiazdy te musiały być po prostu innymi kryształami, niezmiernie stąd odległymi.

Świat sprawiał wrażenie zadziwiająco pustego. I niewykończonego — jakby w głównych tylko zarysach. Nawet drzewa wyglądały, jak wetknięte po prostu niedbale w grunt. Ale na pierwszy rzut oka kraina zdawała się być pozbawiona wszelkich groźnych atrybutów, w jakie wyposażone były inne, widziane przez nich kryształowe światy. Jedynym utrapieniem mógł być brak pożywienia lub monotonia. Wokół panowała cisza.

— Przyjemne miejsce w porównaniu z tymi innymi — mruknął Jim rozglądając się bacznie dookoła. — Ale w sumie mało ciekawe, prawda?

— Dlatego, że zbyt mało daliśmy z siebie w ten świat! Poza tym wciąż jesteśmy żywi. A może też dlatego, że trafiliśmy tu we dwójkę i nawzajem wykluczamy swoje życzenia? Bo skoro normalnie na jedną duszę przypada jeden taki senny świat, to w przypadku uwikłania weń nas dwóch albo znaleźlibyśmy się w świecie dziwacznych i szalonych absurdów, albo w takim jak ten — miniświatku. W każdym razie jest rzeczą pocieszającą, że Śmierć nie ma specjalnie czego szukać w tym naszym nowym świecie!

Słońce wyprysnęło nagle zza horyzontu, zalewając wszystko białym, niezwykle intensywnym światłem. Tutejsze słońce było niezwykle odległe i znacznie mniejsze niż Słońce widziane z Ziemi — rozmiarami zbliżone do pozornej wielkości Wenus, jakkolwiek nieporównywalnie jaskrawsze niż ziemskie. Niebaczne spojrzenie w tarczę białe-

go słońca oślepiło Jima i Weinbergera; przez dłuższą chwilę przed oczyma tańczyły im purpurowe kręgi. Nie można było ani sekundy patrzeć gołym okiem w to oślepiające, maleńkie słońce.

Ruszyli spiesznie do najbliższych drzew, bowiem ich zdolność unoszenia się w powietrzu znikła.

Gdy jednak uczynili parę kroków, powierzchnia błękitnego mchu zafalowała pod ich stopami marszcząc się niebezpiecznie. Z każdym kolejnym stąpieniem podłoże drżało i ugięło się pod ich stopami, jakby kroczyli po łożu wodnym. Grunt leżał jedynie cienką warstwą na powierzchni wody, jakby nie miał jeszcze czasu okrzepnąć.

Stopy Weinbergera zapadały się nagle w mchu. Nathan zachwiał się, wyrwał natychmiast z bagniska nogę i zostawiając za sobą głębokie, zachodzące wodą dziury, zaczął sadzić ogromnymi susami w stronę najbliższego drzewa-pióra. Tam złapał się kurczowo jego pnia.

Jim dotarł do swojego drzewa w podobny sposób i również schwycił się go kurczowo. Obaj mężczyźni, oddzieleni od siebie wąskim paskiem zdradliwego mchu, stali długą chwilę spoglądając na siebie w ponurym milczeniu.

— Który z nas wyśnił sobie to miejsce? — krzyknął Jim. — W jaki sposób stąd wyruszymy?

— Może podbiegniemy...? Miejmy nadzieję, że to cholerne bagno nas nie pochłonie — z nadzieją w głosie odparł Weinberger.

— Pod spodem mogą żyć jakieś stwory. Głodne stwory.

Stworzyli ów świat razem (a raczej, zdaniem Weinbergera, wykluczyli nawzajem marzenia). Ale w związku z tym, że świat ten musi być również częściowo tworem Jima, przychodziło mu do głowy, że tylko z góry wyglądał on na jasny i oświecony, gdy faktycznie był pusty i fałszywy, a pod jego cienką powierzchnią czaiła się zdradziecka, nieokreślona, bezkształtna głębia. Tak samo, jak jego własny świat dobrej śmierci i oceanicznego spokoju był pusty — i taki był chyba zawsze?

Natychmiast odrzucił ten pomysł. Świat jest kruchy dlatego tylko, że ani on, ani Weinberger nie są naprawdę martwi. I to wszystko.

— Spróbujmy się toczyć — doradzał Weinberger. — Korzystniej rozłożymy ciężar naszych ciał.

— No dobrze, toczyć się jak kłody drewna. Ale dokąd?

A może woda podskórna tej krainy jest właśnie oceanem jedności i spokojem? Trudno było to ustalić, ponieważ cały ten błękitny mech...

— Musimy znaleźć coś bardziej materialnego, Jim!

A jeśli nawet znajdą, to co? Jeśli nawet poprzez to poszukiwanie stałości wymuszą stałość tego świata?

— Wtedy dopiero ugrzeźniemy w pułapce. Czy tego nie rozumiesz? To nie jest miej-

sce dla nas. Musimy je opuścić — porzucić ten świat natychmiast.

— Pokaż mi jak, a ja natychmiast ruszam za tobą. A tymczasem; toczysz się do mnie?

— To może ty do mnie?

— Tchórz.

Obaj roześmieli się, ciesząc się zarazem z tego, że mogą się jeszcze śmiać.

Gdy niewielkie rozpalone słońce pełzło po nieboskłonie, za intensywnym blaskiem przyszedł nieznośny upał. Pióra-drzewa zaczęły zwijać swe liście wokół pni. Po chwili obaj mężczyźni chronili się już tylko pod wysmukłymi szpikulcami, niewiele grubszy-
mi od kościstej nogi Weinbergera.

A Jim pomyślał: skoro mają tu umrzeć z gorąca, pragnienia i wyczerpania; jeśli srebrne włókno łączące ich z Egremont pęknie — czy ten świat natychmiast zyska trwalsze oblicze? Czy woda wycofa się — lub wyparuje — odsłaniając pod sobą stały grunt?

Srebrna nić! Oczywiście!

Próbował szarpnąć ją, jakby nawijając na szpulkę, i przeciągnąć się po niej na wodne łożo w Egremont. Poczuł nieznaczny ubytek wagi, lecz nic ponadto się nie wydarzyło.

Słońce grzało coraz ogniościej i mech pod ich stopami zwolna brązowieł. Najpierw na pojedynczych kępach, potem wszędzie. Gdy już wysechł, zaczął zapadać się w rosna-
cych kałużach, które łącząc się, utworzyły w krótkim czasie jedną rozległą toń błękitnej wody.

Najwidoczniej mech wyrósł nocą — dwunastogodzinne zjawisko płodności, które powtarzało swój życiowy cykl każdej nocy — między zmierzchem a świtem. Obecnie, rozsiawszy zarodniki, wszystko schło i ginęło pod palącymi promieniami słońca.

Piki drzew zaczynały się powoli chylić, spadać do wody i unosić swobodnie na fa-
lach. Niektóre, widocznie mocniej zaczepione pod powierzchnią płataniną korzeni, zachowały jeszcze przez pewien czas swą pionową pozycję, ale inne leżały już, przewrócone na wodzie. Prawdopodobnie „drzewa” nie były niczym innym, jak pierzastymi ło-
dygami lub słupkami błękitnych, wodnych mchów. Być może był to tylko jeden gatunek roślin...

Jak rozbitek chwyta się rozpaczliwie unoszącego falami masztu okrętu, tak obaj męż-
czyźni uczepili się pni pierzastych drzew. Nieuchronnie jednak, już niedługo, waga ich ciał przeważy i kłody, których się trzymają, zatoną. Już teraz, z każdą upływającą minu-
tą pogrążały się głębiej i głębiej.

Jima ogarnęło przygnębienie i rezygnacja: był to jednak ten jego bezkresny ocean. Utoną w nim. Jim utonie po raz drugi.

Weinberger zaskowyczał. On nigdy jeszcze nie tonał.

Pogrążali się coraz głębiej: po pas, po piersi...

Spokój, pomyślał Jim puszczając drzewo. Wzniósł obie dłonie nad głowę i zanurzył

się cały w topieli.

Poczuł gwałtowne szarpnięcie. Jak gumowa piłka padł na elastyczny...

XVIII

Noel Resnick, Alice Huron, Ananda i Jakiśtamson, tłocząc się wokół otwartych na oścież drzwi klatki, gapili się na wodny materac i spoczywających na nim ludzi. Szklane ściany były już zdepolaryzowane, a płyta od strony wejściowej wisiała na zawiasach — otwarta. Sally Costello odsunęła się, ściskając w palcach strzykawkę.

— Witam obu panów — odezwał się cierpko Resnick.

— Mam nadzieję, że mieliście słodkie sny — złośliwym głosem dodała Alice. Jej podbródek sterczał komicznie, gdy nie chcąc się schylić spoglądała przez oczka drutu ponad drzwiami. Ze zmarszczonymi brwiami spoglądała w dół swego wydatnego nosa jak przez staromodne lorgnon.

Jim usiadł.

— Sny? O nie, to nie były sny...

Spoczywający obok Weinberger usiadł również.

— Zatem wizje, prawda? A ty, Kliencie Weinberger, wierzę, że zbliżyłeś się już do szlachetnej sztuki umierania?

Ananda uspokajającym ruchem położył dłoń na ramieniu Alice, podczas gdy Resnick przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie zakłopotany.

Weinberger, mrużąc oczy, spoglądał to na Alice, to na Mistrza; nagle po prostu wybuchnął śmiechem.

Alice skinęła głową w kierunku Anandy, jakby odpowiadając w ten sposób na uścisk jego dłoni. Obracając nerwowo pierścionki na palcach, postąpiła krok do tyłu.

Resnick szerokim gestem wskazał ułożone na krzesłach ubrania.

— Może obaj panowie się ubiorą? — rzekł, po czym zwrócił się do Jakiegośtamsona:

— Kiedy Klient Weinberger będzie już gotów, proszę go odprowadzić do pokoju.

— Która godzina, Noel? — spytał Jim. Swój zegarek zostawił w kieszeni marynarki.

— Dochodzi jedenasta. Jedenasta rano, dodam... gdybyś już tak zupełnie stracił poczucie czasu.

— Cholera, to znaczy, że przespałem dwie wizyty...
— Zgadza się. Lecz nie chodzi już tutaj o dwie przegapione wizyty, które są...
— Kwestią życia i śmierci? — wpadł mu kwaśno w słowa Weinberger.
— O ile sobie przypominam — Resnick w ogóle nie zwrócił uwagi na złośliwy wtręt Weinbergera — to właśnie ty twierdziłeś, że każdy przypadek śmierci człowieka jest ważny.

— A ty obiecałeś się nie wtrącać — odpalił Jim. — Dałeś słowo.

— Dałem? No, może... — skrzywił się Resnick.

— Rzecz w tym — brutalnie wtrąciła Alice przerywając Resnickowi — że spędziliście tutaj blisko dwanaście godzin. I wyglądało na to, że zamierzacie tu pozostać na zawsze — aż się wasze ciała rozpadną — rzuciła drwiące spojrzenia na Weinbergera ubranego w szorty i podkoszulek.

— I nie wiń Sorensena, proszę — dodał szybko Resnick. — On jest już w połowie drugiej zmiany. I tak dał ci dużo czasu.

Zdyscyplinowany pracownik Sorensen ziewnął ostentacyjnie.

— Ależ nie do dyżurnego należy decyzja...

— Bądź rozsądny, Jim. Jest tak, jak powiedziała Alice. Faktycznie pozostalibyście tutaj na zawsze.

— Jak dwie Śpiące Królowny — dodała słodko Sally Costello.

— Zaczarowani, pogrążeni w transie... fakt! — uśmiechnął się wdzięcznie Resnick.

Obaj mężczyźni wypełzli z klatki i zaczęli się ubierać. Alice Huron usiadła natychmiast na jednym ze zwolnionych krzeseł. Główny sędzia zajął miejsce, pomyślał cierpko Jim. Za drugim natomiast krzesłem stanął Resnick, położył na jego oparciu dłonie i zaczął się bujać w tę i w tamtą stronę, jak nerwowo pogromca lwów.

Zdaniem Alice Huron, intymność przestała już być potrzebna. Gdy więc tylko wprowadzono Weinbergera, Jim poddany został bezlitosnemu przesłuchaniu. Resnick kiwał w dalszym ciągu krzesłem, nie mając zamiaru się wtrącać.

— Zadziwiający przypadek niebezpiecznych zainteresowań fantazjami i urojeniami — powiedziała na koniec. — Czego się u diabła spodziewałeś, zażywając Neo-H wraz z tym pomyłonym Weinbergerem?

— Prawdy — odparł zimno Jim. — Wyłącznie prawdy.

— I sądzisz, że ją znalazłeś? — parsknęła. — Czyżbyś odkrył mistrzowski plan Śmierci, o którym nikt więcej nie ma zielonego pojęcia?

— Znalazłeś to miejsce, gdyż go szukałeś — wtrącił delikatnym głosem Ananda. — Lecz nie było to żadne miejsce. Było to wyobrażenie tego miejsca, iluzja miejsca zrodzona w twoim własnym umyśle. Obaj przecież pozostaliście żywi. Jim, gdybyś naprawdę umarł, nie miałbyś podobnych złudzeń. Pewien filozof powiedział: „Śmierć nie jest

doświadczeniem życia, śmierci nie da się przeżyć”. Ty również jej nie przeżyłeś. Nie powróciłeś też do życia. Zamknięty w tym urządzeniu, żyłeś przez cały czas; w jaki więc sposób możesz cokolwiek wiedzieć o śmierci?

Jim wzruszył ramionami.

— O śmierci nic nie możemy wiedzieć, gdyż śmierć jest niczym — ciągnął Ananda. — Jest ona poza możliwościami naszego poznania. Dlatego też nie ma czego się obawiać lub dowiedzieć.

— Weinberger nakładł ci głupot do głowy — warknęła Alice.

— To aż nazbyt możliwe — skinął głową Resnick. — Sądzę, że już nadszedł czas, byś rozmontował to kretyńskie urządzenie — zabujał gwałtownie krzesłem, jakby chciał cisnąć nim w szklane ściany klatki, roztrzaskać je, zniszczyć na zawsze filigranową plecionkę przewodów.

— Ależ to nie jest wcale kretyńskie urządzenie — gwałtownie zaprotestował Ananda. — Nie, tego bym tak w żaden sposób nie określił. Przeciwnie! Nadaje ono śmierci dużo głębszy sens, jako czemuś, co podlega doświadczeniu. Urządzenie to może być ścieżką wiodącą do prawdy. Och, oczywiście, może stać się ścieżką prowadzącą donikąd — jeśli potraktujemy je jako drogę w głąb projekcji złudzeń własnego umysłu! Ale może też być drogą właściwą, jeśli będziemy odtwarzać wszelkie nasze kroki, cofać się wstecz samego siebie — i odkryjemy samego siebie również jako złudzenie.

— Piękne słówka! — warknęła Alice, a Jim przesłał mu oczyma nieme podziękowanie; jeśli oczywiście Lama Ananda chciał mu pomóc. Jim wierzył, że tak właśnie jest.

— Czy pozostało ci więcej tabletek Neo-H? — obojętnym niby głosem spytał Resnick.

— Nie — skłamał Jim, jakkolwiek miał ich jeszcze w kieszeni pół tuzina. Pohamował się, by nie wygładzić marynarki lub nie zdradzić się w jakiś inny sposób.

— Ciekawe... — Alice zawiesiła głos; nie chodziło jej jednak wcale o pigułki. — Zastanawiam się nad jednym. Wizja śmierci w ujęciu Klienta Weinbergera dała mu obraz jego ścieżki, jak to ujął Lama Ananda: drogi ratunku i bezpieczeństwa. Jeśli więc Klient Weinberger nie stanie się „zdobyczą” śmierci, jeśli umrze „zaskoczony”, będzie bezpieczny. Oczywiście w jego pojęciu. Zgadza się, prawda? W takim razie, dlaczego nie mielibyśmy — za jego oczywiście przyzwoleniem — zaaranżować mu niespodziewanej śmierci? W chwili, której nie będzie znał. Śmierć, która przybędzie nagle, jak wystrzał z karabinu. Moglibyśmy ubić z nim interes, Noel. Jeśli Klient Weinberger odprawi publiczną pokutę — pokaże się światu pogodzony — to potem, w chwili nikomu nie znanej za wyjątkiem... — Alice zawahała się.

— Z wyjątkiem Dr Menottiego? — spytała ostro Sally.

Alice potrząsnęła przecząco głową.

— Zwyczajna eutanazja jest zbyt „wolna”...

— Czyli za wyjątkiem zabójcy — bez ogródek odezwał się Resnick. — Lecz kto nim będzie? Jim? Ty osobiście? Alice, przyłożyłabyś mu lufę do serca i pociągnęła za cyngiel?

— Przy okazji, gdzie jest broń Weinbergera? — odpowiedziała pytaniem Alice.

— Oddałem ją Urzędnikowi Spokoju — odrzekł Jim. — Byłem blisko podium, a wszyscy inni sprawiali wrażenie sparaliżowanych.

— Masz w tym wszystkim coś dziwnie dużą rolę. Czy to nie ty przypadkiem przewiołeś broń z Gracchus i wcisnąłeś ją w dłoni Weinbergera?

— Bredzisz.

— Zatem broń znajduje się w Oktagonie? Szkoda. Chyba szkoda.

— Ależ nie możemy strzelać do ludzi — zaprotestował bez przekonania Resnick. — Cóż to byłaby za dobra śmierć?

— „Żeby tylko nikt się o tym nie dowiedział” — zaszydziła Alice.

— Szczerze mówiąc, zachowujesz się jak agent provocateur: nawet jeśli przemknęło ci to tylko przez myśl — odezwał się Jim z niezwykle zadowoloną miną.

Alice odwróciła twarz w jego kierunku.

— Och, cwany jesteś. Dobrze, więc posłuchajcie mnie wszyscy. Weinberger nie umrze inaczej, jak przez zaskoczenie. I z tym musimy się pogodzić. Więc skoro takie jest jego pojęcie dobrej śmierci, to czy nie powinniśmy mu w tym przypadku wyświadczyć tej przysługi?

— Ależ można to będzie interpretować jako akt zemsty — odezwał się łagodnie Ananda. — Oko za oko.

— Ale nie o mnie tu przecież chodzi — zniecierpliwiła się Alice. — Powiem ci, kto powinien, logiczną kolejną rzeczą, dokonać tego. Noel już go wymienił jako pierwszego kandydata, a jest on też zaufanym przewodnikiem Weinbergera, tym samym, który czule pielęgnując jego fantazje, sprawił, że tak wspaniale i bujnie rozkwitły.

— Kwiat, aby przekwitnąć, musi najpierw zakwitnąć — sentencjonalnie odparł Ananda. — Nigdy na odwrót.

Alice zignorowała aforyzm Anandy, o ile miał to w ogóle być aforyzm.

— Skoro przewodnik, o którym mowa — ciągnęła — bierze za dobrą monetę takie brednie, możesz być pewien, że bez wahania pociągnie za spust. Zrobi to w imię interesów swego klienta.

— Byłby to przerażający precedens — odezwał się Resnick. — Rolą przewodnika jest przyjacielskie pośrednictwo. Reszta należy do eutanazera.

Jim wybuchnął niepojętym gniewem.

— Ja mam uczynić ten precedens? Ja? Gdybym choć tylko coś takiego sugerował, a nie... Dobrze sobie! Precedens! Powiedziałbym raczej, że za dużo tutaj biurokracji. Był czas, gdy człowiek uzdrowiony w tak cudowny sposób zasługiwał na pewien rodzaj...

no dobrze, mniejsza z tym. No wiem, Weinberger jest w dalszym ciągu mordercą. Lecz były również czasy, kiedy nawet mordercę — jeśli w chwili popełnienia zbrodni był niepoczytalny — po prostu izolowano od społeczeństwa. Aż do chwili, gdy mógł, już uleczony, powrócić...

— ...na autostradę morderstw — zakończyła Alice. — Tak, jak gdyby miał tylko zdar-
te opony, które wymagały przebieżnikowania.

— Czy nie cofnęliśmy się przypadkiem do czasów Rzymian? Weinberger przyrów-
nał obecne piramidy śmierci do starożytnego Egiptu. Lecz Egipt był całkiem chybio-
nym porównaniem. Starożytni Egipcjanie opętani byli ideą życia pozagrobowego, kra-
iną żyjących zmarłych. Podczas gdy w czasach współczesnych... Może nie mam racji?
Zamiast bogów — Państwo, społeczeństwo. Odchodzimy, gdy wydaje się, że już nasza
pora. Komponujemy ody pożegnalne, rymowane dwuwierszem, bo takie jest tworzyć
najłatwiej, i wstępujemy do gorącej kąpieli w towarzystwie wiernej brzytwy. Jak w Rzy-
mie.

— Nie twierdzisz przypadkiem, że wszyscy w tym Domu jesteśmy mordercami?
— spytała cicho Alice.

— To ty pragniesz zmienić przewodnika w kata!

Była to bardzo niefortunna odpowiedź. Wszyscy, nawet Ananda, popatrzyli na niego
ze zdumieniem, jakby okazał się przybyszem z Kosmosu w ludzkiej skórze.

— Dr Menotti nie jest katem! — krzyknęła Sally Costello, wzburzona.

— My tylko o tym dyskutujemy, Jim — odezwał się spokojnie Resnick. — Najwi-
doczniej obce są ci demokratyczne sposoby podejmowania decyzji: swobodna wymia-
na opinii, po której ustala się wspólną politykę. Może u was, w większym Domu, było
inaczej. — Umilkł, a po chwili dodał:

— Trafieś w sedno. Jesteśmy społeczeństwem Rzymian. Dobre porównanie. A Nor-
man Harper był najwybitniejszym patrycjuszem. Istnieje tylko jedna różnica. W obec-
nych czasach każdy jest patrycjuszem.

Wzmianka o poecie okropnie zirytowała Jima. Z jego ust, jak czkawka wydarły się
słowa wiersza:

*Aztek czynił to siekierą
A Rzymianin brzytwą.
My robimy srebrną igłą
— Igły wolniej tępią się!*

Urwał i dodał z ironicznym uśmiechem:

— Jeśli on był poetą, to i ja nim jestem. W takim samym stopniu. Na równi i demo-
kratycznie!

Resnick ze smutkiem pokiwał głową.

— Wygląda na to, że zupełnie obcy ci jest duch ludzkiej wspólnoty.

— Moim zdaniem, mamy pilniejsze sprawy niż literackie kwalifikacje poety Todhuntera — odezwała się Alice.

— Ach, tak — odparował Jim. — Mamy przecież zaplanować morderstwo. W porządku. Bardzo dobrze. Brawo! Podzielę się naturalnie z Nathanem Weinbergerem radosną nowiną, że szykujemy dla niego niespodziankę jego życia. A on, w odpowiedzi — wdzięczny — sam skomponuje dla nas pożegnalną orację. Czy to cię zadowoli, Alice? Wszak wszyscy pragniemy, byś była szczęśliwa, prawda? — potoczył wzrokiem po zebranych.

— Jim — warknął Resnick ostrzegawczo.

— Mówię poważnie. Proszę mi wybaczyć tylko uczucie drobnej urazy, jaką czuję za to, że nie pozwolono mi wypełnić obowiązków przewodnika w sposób, jaki uważałem za najlepszy.

— W innych przypadkach wywiązywałeś się jak najlepiej.

— Za wyjątkiem tych kilku przespanych lub przegapionych wizyt.

— Za wyjątkiem.

— To co, może na początek rozbierzemy tę stertę? Kto mi pomoże?

— Zajmie się tym któryś z pracowników, Jim. Przyślę go zaraz po lunchu.

— Zatem żadna publiczna pokuta mnie nie czeka — roześmiał się Jim. — To dotyczy wyłącznie Weinbergera. Moja pokuta będzie zupełnie innego rodzaju. Prywatna. Pociągnięcie cyngla głuchą nocą. O ile dostanę tę broń z powrotem!

— Dam ci list do Oktagonu. Udasz się tam z nim po południu. Ale poza tym... my o całej sprawie nic nie wiemy, pamiętaj.

— Ale i tak więcej, niż Nathan. A może głucha noc jest porą zbyt oczywistą? Może głuchy dzień będzie bardziej zaskakujący?

— Tego nikt nie wie. Tu nie ma precedensu.

— Aha, teraz już wszystko rozumiem. Ja, któremu zupełnie jest obcy duch ludzkiej wspólnoty, spełnię rolę osoby postronnej, która nie może uczynić takiego precedensu.

Doskonale, pomyślał Jim. Po zastrzeleniu Weinbergera, pozostanie mi tylko do zrobienia jedno: skierować broń przeciw sobie! Przytknąć lufę... gdziekolwiek... i przerwać łańcuch morderstw, zanim rozprzestrzeni się jak wirus. A tak nawiasem mówiąc, gdzie powinienem przytknąć sobie lufę? Do czoła? Do żeber? Prosić Weinbergera o poradę? Nathan, skąd wiedziałeś, w które miejsce ugodzić Normana Harpera? Czy nie było ryzykowne celować mu w gardło dlatego tylko, że nie znosiłeś jego wierszy? Przecież to taki mały cel? A może strzelałeś na ślepo i miałeś szczęście?

— Lepiej przyślij tutaj dwóch pracowników — mruknął do Resnicka. — To cholerna kupa złomu. Już ja wiem najlepiej...

— To urządzenie należy jeszcze do klienta — pouczył Ananda tonem radcy prawnego. Resnick zatarł dłonie.

— Już niedługo, na szczęście.

— Nie, Weinberger nie będzie już tego potrzebował — zgodził się Jim.

Naprawdę nie będzie potrzebował. Potrzebne będą wyłącznie hipnotaśmy i tabletki, których wystarczającą ilość ma teraz w kieszeni. Klatka jest już nieaktualna. Kto chciałby zamknąć w niej Śmierć, skoro można udać się wprost do rodzinnego gniazda Śmierci? Raz już tego dokonali — prawie dokonali... Zachowanie się wszelkiego stworzenia w klatce jest zupełnie inne niż na wolności.

Pozłacana klatka jest już niepotrzebna. Weinberger został uwięziony w klatce oznaczonej symbolem „pokój 302”, a Jim wpadł w sieć intryg i okoliczności. Niech Dom zatem rozbierze sobie tę klatkę na kawałeczki. To ich uspokoi. Dla Jima i Weinbergera istnieje obecnie całkiem inny problem: jak uciec ze swych obecnych klatek.

— Zastanawiam się, jak wyglądało życie i śmierć w tamtych dniach w Chinach i Rosji — i w innych miejscach? — spytał impulsywnie Jim.

— Masz na myśli dawne, minione miejsca — poprawił Resnick. — Powiedziałbym: było gorące — od izotopów. Chude — od przymierania głodem. Krostowate jak na powierzchni Księżyca — od chorób. I ciche. Zupełnie cicho wokół... Nie możesz tego nazwać „miejscami”, Jim. One wypadły już z mapy.

Ciekawe, gdzie się znalazły, zastanowił się Jim.

XIX

Jim towarzyszył Resnickowi do biura, gdzie Mistrz na papierze firmowym Domu sklecił pospiesznie list, który wsunął następnie do koperty nie zaklejając jej.

— Oddasz to Toni Bekkerowi — rzekł wręczając Jimowi list.

Jim schował go do kieszeni.

— Bekker? Już go poznałem.

— Naprawdę? Kiedy?

— Oddałem mu broń Weinbergera, tam, podczas ceremonii.

— I zdążył ci się przedstawić?

— Nie, potem, gdy poszedłem do Oktagonu zameldować się. Zapytałem go przy okazji o parę rzeczy na temat Weinbergera...

— No, no...

— Tam skierowano mnie właśnie do Bekkera, gdyż był osobiście w poprzednim mieszkaniu mego klienta. Był przekonany, że trafił tam na melinę zbrojca seksualnego. Ta klatka, te ekrany i w ogóle wszystko.

Resnick parsknął.

— Melina zbrojca do złudzenia przypomina tę klatkę, prawda? Ale nie zbrojca seksualnego, lecz zbrojca śmierci.

— Przy okazji, Bekker przesyła ci pozdrowienia. Zapomniałem je przekazać od razu.

Oczy Resnicka zwęziły się.

— Szybko działasz, Jim, prawda? Parę dni w Egremont i już znasz wszystkich w mieście. Zdążyłeś nawet złożyć wizytę życiu pozagrobowemu. Doprawdy, szkoda byłoby utracić tak wszechstronnego przewodnika.

— Słuchaj, po prostu staram się wykonywać mój zawód. Ale stale odnoszę wrażenie, jakbym brał udział w przedstawieniu „Księcia” Machiavellego nie znając w dodatku tekstu.

— Zawsze twierdzę, że pozór niewinności jest dla wielu najlepszą tarczą.

— Dotąd twierdziłeś zazwyczaj coś innego, Noel: „żeby no tylko nikt się o tym nie dowiedział”. Alice świetnie to wychwyła. — Nie zważając na rosnący gniew Resnicka dodał:

— O czym ma się nikt nie dowiedzieć?

— Niech cię szlag trafi z twoją impertynencją! Zostałeś tutaj wetknięty, nieprawdaż? Przez Gracchusa. O nie, nie przez Gracchusa — to sprawa dużo, dużo poważniejsza! Kim ty naprawdę jesteś, Jim?

— Nie rozumiem. Nazywam się Jim Todhunter i jestem najnormalniejszym pod słońcem przewodnikiem. To wszystko.

— I pozwalasz sobie na podchwytliwe żarty z fundamentalnych zasad rządzących naszym społeczeństwem! Wszyscyśmy to słyszeli.

— A ja z kolei słyszałem, jak ty właśnie perorowałeś o wolności przekonań i ich publicznym głoszeniu.

— A co więcej, sączysz cały ten twój jad w Weinbergera, który i bez tego jest klientem nad wyraz trudnym i grymaśnym.

— To ty prosiłeś mnie, bym... To czyste szaleństwo! Nie kto inny, lecz ty właśnie poleciłeś mi prowadzenie Weinbergera.

— Och, byłem zmuszony przez okoliczności. Nie miałem nikogo innego pod ręką. Kogóż innego jeszcze mogłem wybrać? Kto inny przybył właśnie w ten dzień — w tę dosłownie godzinę, na którą Weinberger przygotował ową upiorną niespodziankę dla nas? Zupełnie jakby twój przyjazd był dla niego sygnałem! Biedny Norman, był najbardziej prostodusznym, czystym i niewinnym człowiekiem pod słońcem...

— Jeśli też i jego tarczą była niewinność, to z całą pewnością nie była to tarcza kuloodporna — rzucił zapalczywie Jim. Zaraz tego pożałował, ale zło się stało.

— Więc uważasz, że Norman nie był dla ciebie dość dobry i czysty? A jednocześnie kryjesz się razem z tym skurwysynem Weinbergerem budując jego szaloną maszynę! Aranżując jego cudowne uzdrowienie! Jak tego dokonałeś, co? Naprawdę został uleczony, muszę ci to przyznać. O ile ta choroba, rzecz jasna, nie była od początku udawana.

— Udawana? Tyś chyba zwariował, Noel. Gdybym był... Co ty chcesz mi wmówić...?

— No właśnie, co? No co? Nazwij to, nie krępuj się.

— Że jestem agentem do zadań specjalnych — lub spiskowcem — który próbuje...

— Mów, mów.

— Próbuje zniszczyć strukturę społeczną naszego świata.

— Tak, a czyj to byłby agent?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— No właśnie, tak najlepiej. „Nie wiem, nie mam pojęcia”. I rzeczywiście nie wiesz, rzeczywiście nie jesteś w stanie go wydać... Jim, czemuś pytał o Chiny i Rosję?... Nie, to

była tylko taka dywagacja, by zmienić temat rozmowy. A Kościół, Jim? Jeśli ludzie poczują lęk przed śmiercią, natychmiast rozpoczną modły! Ale kto dzisiaj dba o Kościół? Może istnieją jakieś tajne sekty? Różokrzyżowcy? Illuminati?

Władza: o to w sumie chodzi, prawda? Siła? Złam strukturę tego świata, tego społeczeństwa, a natychmiast będziesz potrzebował cholernej dyktatury zamiast tego, co posiadamy obecnie! Zamiast tego wszystkiego, co z takim trudem i takim kosztem osiągnęliśmy po latach załamania i lęku! A jakiż jest lepszy sposób na zniszczenie tego społeczeństwa, niż zaszczepienie każdemu człowiekowi strachu przed śmiercią? Stara groza! Tylko potwór mógłby to zrobić! Szatan!

Jim spoglądał na Mistrza zdumiony. Resnick majaczył. Lecz była w tym majaczeniu jakaś myśl i przedziwna samokontrola, która oszałamiała Jima. Normalnie potrafi tak bredzić... A więc była to w takim razie komedia; przedstawienie, z którego profit miał wyłącznie odnieść ktoś inny — jakaś wyimaginowana osoba, która ma usłyszeć sprawozdanie Jima.

A więc Resnick próbował wpędzić Jima w pułapkę i dociec jego rzeczywistych „władców”. Macał jednak po ciemku, jakby zadawał ciosy na oślep. Alice z całą pewnością działałaby dużo subtelniej. Ale Resnick chciał to zrobić po swojemu, by podeprzeć swój autorytet — starał się w ten sposób uzasadnić swoje Mistrzostwo.

A ja uważałem Nathana za paranoika! pomyślał. Nathan jest najrozsądniejszym człowiekiem jakiego znałem. No, może poza Mike’iem Mullenem. I mną, jak sądzę.

Resnick stracił jednak panowanie nad sobą — jak aktor, który w środku przedstawienia, zamiast roli, zaczął wykrzykiwać o własnych problemach.

Gestykulował rękami, jakby dawał Jimowi jakieś sekretne sygnały. Zginał się, prawie klękał, wykręcał nadgarstki, zginał palce. Wyglądał, jakby dostał ataku epilepsji lub nadawał szyfrem znanym tylko wtajemniczonym. Ale Jim nie znał tego szyfru i nie mógł odpowiedzieć na hasło.

Zachowanie się takie można było wyjaśnić tylko w jeden sposób. Okropnej prawdy o czerwonych stworzeniach żerujących na duszach od dawna już domyślała się — a nawet była jej pewna — jakaś grupa wybranych osób, z którą w taki czy inny sposób Resnick był związany. Co więcej, byli to ludzie z najwyższych kręgów hierarchii Domów! Starali się usilnie ukryć tę prawdę. W przeciwnym bowiem razie całe to zintegrowane społeczeństwo dobrej śmierci uległoby kompletnemu rozpadowi, a dalej, w wyniku nasilających się gwałtów, wojen domowych i ataków raketowych doszłoby do zagłady ludzkiej rasy w ogóle. (Czyż ta machina Sądu Ostatecznego została naprawdę zniszczona? Wyglądało na to, że została tylko włożona w naftalinę, by doczekać innych czasów!).

Czy owi ludzie — Władcy, jak ochrzcił ich w myślach Jim — świadomie posyłają dusze do kryształowych piekieł i czyściców w imię tylko ochrony rasy człowieka na Ziemi przed samozagładą? Dla samych siebie natomiast, owi anonimowi Władcy zawsze byli

w stanie wyreżyserować niespodziewaną, gwałtowną śmierć... Taką samą, jaką umarł Norman Harper! Ale bardziej wyrafinowaną, a przede wszystkim w całkowitej tajemnicy.

Poeta nie należał do Władców. Był zbyt czysty i niewinny. Tak powiedział Resnick. Jeśli uda się Mistrzowi zgrabnie uporać z obecną aferą, ma nadzieję zostać jednym z Władców. Osiągnąwszy już Mistrzostwo Domu, odkrył nagle, że istnieje kolejny, jeszcze wyższy wierzchołek, zasłonięty dotychczas przez szczyt piramidy Domu.

Marionetki... i lalkarze... To, co zakładał Weinberger, mogło być prawdą: czerwone stworzenia faktycznie mogły oddziaływać na umysły tych, którzy są u władzy — a poprzez nich na całą resztę ludzkiej społeczności, zabezpieczając sobie w ten sposób swobodny dopływ umierających radośnie dusz... Być może stworzenia zwane Śmierć odwdzięczały się swoim faworytom, swym marionetkom, rajem po śmierci i swobodnym dostępem do krainy białego światła — jeśli stworzenia te oczywiście dotrzymują danego słowa. I jeśli, rzecz jasna, są w stanie takie słowo dać.

Ale... niewiele osób może dostać się do tej uprzywilejowanej kasty. A jeśli nawet, to muszą uprzednio przejść niesłychanie rygorystyczne wtajemniczenie. Warunkiem wstępnym dostania się do elity, jest zapewne uświadomienie sobie, że taka grupa w ogóle istnieje. Resnick o tym wie i ma aspiracje dołączyć do niej. Lecz — jak dotąd — nie zdaje sobie sprawy, że sekret, którego strzegą, jest tą samą tajemnicą, na której trop wpadli Jim z Weinbergerem. A może przeciwnie: właśnie domyśla się i to doprowadza go do szaleństwa. Właśnie to, oraz lęk, że może jest już w tak przemyślny sposób testowany na lojalność — lub na coś o wiele istotniejszego.

Maszyna Weinbergera i jego spółka z Jimem zdają się Resnickowi przebiegłym testem! Nie wiadomo czemu. A Mistrz boi się sfuszerować tę próbę. Alice Huron, być może, już należy do tych bezimiennych Władców, a Resnick, popierany przez Alice, ma nadzieję dołączyć do niej... Być może Władcy uwikłani są w wewnętrzne spory o władzę. No bo o cóż tacy mogli konkurować? Resnick, protegowany Alice, zawiedzie; ona sama narazi się na spore kłopoty.

Może i tak być, myślał Jim. Nie mam jak się dowiedzieć. Wszystko na co mnie stać, to wytopienie i poznanie natury Śmierci. Takie jest moje przeznaczenie.

Resnick, na którego twarzy malował się wyraz odrazy i gniewu, opadł na fotel.

Jeśli ja miałbym być jego egzaminatorem, nie może się spodziewać, że go zda. Może więc być dla mnie niezwykle niebezpieczny.

Jak poprzednim razem, tak i teraz Jim oparł mocno dłonie o blat biurka zdając sobie jednocześnie sprawę, że to niefortunne posunięcie. Sugerował w ten sposób, że jest ważny, dużo ważniejszy niż w rzeczywistości. Że wie wszystko lub prawie wszystko...

— Postaram się zapomnieć o twoim... wybuchu, Noel — to było również całkowicie zbędne. — Jestem po prostu przewodnikiem i mam dla swego klienta korzystny interes

— poklepał się po kieszeni. — Lecz najpierw muszę pojawić się w Oktagonie. Więc chyba zrezygnuję z lunchu.

— Hmmm — mruknął Resnick wyraźnie niezdecydowany, czy Jim odrzucił niewypowiedziane jeszcze zaproszenie z uprzejmości tylko czy z jakiegoś innego powodu.

Natychmiast po wyjściu z biura Jim pospiesznie zjechał do błękitnego pokoju w podziemiach Domu. Rzucając bowiem klatkę Weinbergera na pożarcie Resnickowi zapomniał o czymś niesłychanie istotnym, dużo istotniejszym od odtwarzacza kaset, które zabrał już wcześniej.

Wpełzając już po raz ostatni do klatki, odłączył rozpylacz feromonu z odrobiną substancji, za pomocą której już dwukrotnie udało się im oszukać Śmierć. Pracownicy Domu, których niebawem przyśle tutaj Mistrz, nie domyślą się, że coś takiego wchodziło w skład wyposażenia klatki. Żałował wprowadzić aparatury do pomiaru rytmu thanatos; jej brak jednak z całą pewnością zostałby zauważony, a poza tym była zbyt maszynowa i ciężka do transportu oraz wymagała odpowiedniego zasilania.

Będziemy musieli improwizować, myślał. Ale jakoś sobie poradzimy. Postanowił nie zaprzętać już sobie dłużej głowy Resnickiem, Alice, Domem w Egremont i Władcami. Bez wątpienia nie byłoby całej sprawy, gdyby postąpił zgodnie z ich żądaniem i zastrzeżił Weinbergera. Z drugiej jednak strony, mogło to nic nie dać. Być może wszystko prowadzi nieuchronnie do jego przedwczesnego odejścia. A potem, utrzymując szczegóły „skandalu” w ścisłej tajemnicy w murach Domu, będą twierdzić, że Jim po prostu oszalał...

A właśnie czuł się teraz szczególnie rozsądny i zrównoważony. Czyż ponadto nie wpadł na trop — trop kręty, mylny, niewyraźny — ukrytych Władców? Podobnie jak wytropił ukrytą krainę Śmierci, hen, daleko, poza kryształowymi kazamatami oczekującymi na dusze.

Jeśli nawet nie mogę sprostać intrygom... to mogę stawić czoła Śmierci, szepnęła do siebie. I to jest moja przygoda.

Wjechał na swoje piętro, wszedł do mieszkania i natychmiast schował do walizki rozpylacz trupiego potu i odtwarzacz. Potem wyglądając oknem przypomniał sobie o nie przeczytanym jeszcze liście spoczywającym w kieszeni marynarki.

Sięgnął więc do niej wyjmując niezaklejoną kopertę.

List Resnicka zawierał tylko trzy słowa:

„Daj mu to”.

Jakkolwiek podpisany był tylko inicjałami, charakter pisma Resnicka był nietrudny do rozpoznania. Pisząc, wyginał litery w ten sam dziwny sposób, jak swoje ciało gdy mówił; zupełnie jakby i litery się jękały, zaś stojąc spokojnie byłyby nieczytelne.

Jim gapił się w pismo długi czas, bardziej rozbawiony niż zdziwiony. „Daj mu to”.

List był po prostu czekiem in blanco. Niewiarygodne, by na podstawie tak lakonicznej wzmianki ktoś wręczył mu śmiertcioną broń — nawet mimo tego, że był przewodnikiem w Domu Śmierci. Och, jak to wyglądało na ukartowane, nawet jeśli Resnick udawał, że jest przeciwny pozornie spontanicznej propozycji Alice. Na początku był przeciwny.

Tak, istnieją Władcy — i terminatorzy Władców, których lojalność wobec systemu musi być wszechstronnie i wnikliwie sprawdzona; choćby nawet kosztem przypadkowego klienta, a nawet przewodnika...

A, cholera, pomyślał. Pocisk uderza tego, w kogo jest wymierzona broń. Lepiej strzelać niż być celem. W sensie metaforycznym, oczywiście. Nigdy serio nie myślał o tym, by zrobić z broni użytek. Nathan może by tak postąpił, ale Nathan zachowywał się ryzykownie w tych sprawach. Był niepewny.

Albo diabelnie pewny.

Wsuwając kopertę do kieszeni Jim ruszył do Oktagonu. Pogwizdywał pod nosem.

„Kości rzucone”. Kości? Tak, trupia czaszka i piszczele...

Jednak gdy tak szedł, wbrew wcześniejszej decyzji nie potrafił odgonić natrętnych myśli o Resnicku i zagadkowej z nim rozmowie.

Co, u diabła, wyprawia się w Egremont? W co uwikłani są Resnick, Alice, Urzędnik Bekker i Śmierć tylko wie kto jeszcze?

Gdyby tylko potrafił dotrzeć do źródła paranoicznej furii Resnicka... Czuł, że tym źródłem jest... on sam, Jim. To było po prostu śmieszne. W jaki sposób on może być odpowiedzialny za to, co Resnick mówi lub co sobie wyobraża? A rzeczywistość bliski jest nerwowego załamania. Mistrz pysznił się przed samym sobą, że tak wysoko zaszedł po szczeblach hierarchii społecznej, oczekiwał nagrody za swe wspaniałe rządy w Domu. A tu ta nagła śmierć Normana Harpera stała się przysłowiowym kubłem zimnej wody wylanym na jego rozgorączkowaną głowę.

A najgorsze było to, że pomimo najprzeróżniejszych układów i stosunków panujących w Domach, tutaj ostatecznym panem życia i śmierci był Resnick. Panem każdego, nie wyłączając Jima.

Ostatecznym panem Śmierci, zaśmiał się sarkastycznie Jim. Jak mało Resnick wie; jak niewiele wie każdy z nich. Prawdę znają tylko Jim i Nathan. Tylko oni pogonili za Śmiercią. Tylko oni dotarli w tamtą krainę.

Jakkolwiek toczy się tutaj jakaś niezwykle skomplikowana gra polityczna, to z całą pewnością żadna z sił uwikłanych w tę rozgrywkę nie orientuje się, jakie jest rzeczywiste oblicze Śmierci. Gdyby jakaś grupa poznała Śmierć, a mimo to nadal utrzymywała Domy, byłoby to potworne. Resnick wierzy, że jest z tych czy innych racji politycznych kuszony, toteż uczyni wszystko, by sprostać zadaniu i nie stać się tylko przynętą...

A inni ludzie? Inni posłuchają. Zapewne. Chyba.

Gdy Jim kroczył dziedzińcem rozciągającym się przed gmachem Oktagonu, obuwie głośno chrzęściło na żwirze. Skłoniło go to do zastanowienia się nad wytrzymałością butów na twardszym terenie. Nie czuł jednak ostrych, drobnych kamyków przez gumową podeszwę, toteż uznał, że to obuwie wystarczy.

Zgłosił się przy głównym biurku. Służbę pełniła ta sama urzędniczka, co poprzednio, ubrana w biały mundur. Ale do gabinetu Bekkera prowadził go już inny goniec.

— A, to znowu ty — niezbyt gościnnie przywitał go Bekker.

Jim wyciągnął nad blatem biurka dłoń z kopertą.

— Tym razem przychodzę z polecenia Resnicka.

Bekker wyjął z koperty list i uważnie studiował go dłuższy czas. Następnie odwrócił go, jakby spodziewał się ujrzeć na odwrocie inne jeszcze adnotacje lub wyjaśnienia. Ale nie; Bekker po prostu odłożył list na biurko — zapisaną stroną do spodu. Tak że teraz była to tylko jedna z wielu białych, nie zapisanych kartek, walających się po blacie. Jakby list w ogóle nie istniał. Jakby nikt go nie widział ani nie czytał.

Bez słowa Bekker dźwignął się z miejsca i podszedł do wmurowanego w ścianę sejfu. Wyjął z niego niewielką paczuszkę i wręczył ją Jimowi. Ten ważył ją chwilę w dłoni, po czym wsunął w kieszeń.

Usiadłszy ponownie za biurkiem, Bekker po raz pierwszy uśmiechnął się.

— Piękny dzień dziś mamy, nieprawdaż! — Ponieważ w oknach były mleczone szyby, zabrzmiało to szczególnie obłudnie. — Miło mi, że wpadłeś.

— Widzę, że jesteś strasznie zapracowany.

— Fakt. Niestety.

Bekker uśmiechnął się ponownie i Jim wyszedł. Do Domu dotarł Wagonikiem Beadway, czując się jak bandyta z morderczą bronią w kieszeni.

XX

— ...więc musimy się stąd wydostać, Nathan.

— Rozumiem. Serio sądzisz, że flaszka z feromonem i hipnotaśmy wystarczą?

— Muszą wystarczyć. Nie będziemy się już bawić w łapanie motyli. Jedynym problemem jest synchronizacja czasu naszego transferu w drugie ciała. Potem już pogonimy przed siebie. Lecz tutaj tego nie możemy już dłużej robić — tutaj jesteśmy zamknięci w klatkach.

Schylając się, Weinberger zaczął wywoływać kolejne obrazy na ściennym ekranie: pustynię porośniętą gigantycznymi kaktusami, wyspy kumulusów na bezkresnym niebie, jesienne pola i rozległe ścierniska. Zakończył przegląd znanym już Jimowi z pierwszej wizyty pejzażem rozległych lasów.

— W młodości wiele czasu spędzałem na włóczędztwie i dobrze znam okolice ciągnące się na północ, aż do Barnaby — ciągnął. — Teren pokryty jest tam lasem, w którym rozmieszczone są magazyny z żywnością. Zawsze były i nie sądzę, by coś się zmieniło. Oczywiście, Służba Spokoju zna te wszystkie miejsca, lecz pośród lasów i gór są również setki innych dogodnych miejsc: stare kopalnie, chatki wędkarskie, wieże strażackie. Muszę ci tylko powiedzieć, że jakkolwiek czuję się dużo silniejszy, to nie wiem, jak będzie z moją wędrownką. Od wylegiwania się w łóżku kondycji nie przybywa! Tak więc... to co, ruszamy na północ?

— Na początek pojedziemy autem. Pełne baterie wystarczą na jakieś trzydzieści pięć — czterdzieści mil. Potem samochód ukryjemy.

— Do granicy pozostanie jeszcze jakieś sto mil — a za nią kolejne Domy Śmierci.

— Lecz żyją tam inni ludzie, panują inne stosunki polityczne i społeczne. Tam, być może, nie będzie potrzeby tak się kryć. Tamten kraj jest przypuszczalnie swobodniejszy, a ludziom wolno więcej.

— Takie też miało być Egremont. Pamiętaj, że zawsze pozostanę zbiegłym mordercą. Zabiłem Czerwonego Kogucika. Zastrzeliłem poetę nadwornego.

— Dopadniemy Śmierć w samym gnieździe. Wydostaniemy się poza obszar zajmo-

wany przez kryształy. Zdobędziemy pełną wiedzę o tamtym świecie. A ponieważ w Egremont nikt nas nie chce słuchać, dlatego biegniemy za granicę, do tamtych.

— Nie, Jim, nie biegniemy. Idziemy! Powoli. Mając głęboką nadzieję, że nas wysłuchają. Czy sądzisz, że naprawdę wysłuchają? Niby dlaczego?

— Bo przyniesiemy im prawdę. Weinberger westchnął ciężko.

— Przyniesiemy im prawdę? Przecież nawet ty dotąd jeszcze nie wierzysz w zupełności, prawda? Pomimo tego, czego razem doświadczyliśmy. Twój umysł ciągle się waha, jest rozdwojony. Jakaś jego część uwierzyła już bez zastrzeżeń, druga natomiast wątpi, nie wierzy, bierze to wszystko za ułudę, halucynację. Uciekasz stąd, bo musisz. Bronisz własnej skóry.

— To też prawda — zgodził się Jim. — Ale jeśli nawet... Wiesz, Resnick będzie przekonany, że uciekłem do Gracchus i tam znalazłem kryjówkę. Wybierając więc kierunek północny naszej ucieczki, będziemy bezpieczni.

— Bezpieczni jak Domy. Skoro wspomniałeś już o bezpieczeństwie, to ja ci przypomnę, co mówiłem o bombie wodorowej — że jest najlepszą ochroną przed Śmiercią, bo ludzie wyparują w jednej chwili nawet o tym nie wiedząc. Pamiętasz? Mówiłem ci o raczej w sposób chaotyczny i dziki...

— Tak było.

— Lecz od tego czasu wiele myślałem o tym, co się dzieje z ofiarami konającymi wolno od oparzeń i radiacji. Mój problem obecnie polega na czymś innym: skoro prawda jest taka, jaką poznaliśmy — a jest taka — to w jaki sposób człowiek może uchronić się przed Śmiercią? Czy przemienić wszystkich przewodników w bractwo morderców, skrytobójców? Rozprowadzić ich w sekrecie pomiędzy ludzi i kazać strzelać, zabijać nagle — tak nagle, że ludzie, nim pojmą, co się święci, będą już martwi? Zawrzeć w tym celu sojusz z Biurem Spisowym i Urzędem Spokoju? Och, to by wręcz przewróciło świat do góry nogami! Z drugiej strony — już za mojego życia — świat został postawiony na głowie i w związku z tym nic mnie już nie zdziwi. Ale do tego potrzebowalibyście więcej niż Normana Harpera, by wysławił ten reżim!

*Jasna Śmierć czyha wysoko na niebie,
Przychodząc nagle po mnie i po ciebie.
W huku wystrzałów tak mocno wierzymy,
Że dziś i jutro, i każdej godziny
Śmierć w szpony nie porwie nikogo już z Was
To rola dla nas.*

— Dlatego też potrzeba nam więcej danych — odparł Jim. — Musimy wytropić norę Śmierci.

— W lasach, na wzgórzach. Dobrze, i tak nie mamy innego wyjścia. Ale cieszę się, że przynajmniej próbujesz przekonać samego siebie.

Jim poklepał się po kieszeni marynarki. Uśmiechnął się lekko.

— Jeśli oni nas wytropią, nie wezmą nas łatwo. Będziemy się bronić.

— Bronić! — parsknął Weinberger. — Tymi sześcioma nabojami, które pozostały?

— Możemy spróbować. Nikt nie będzie wdawał się w dyskusję z nabitym rewolwerem. Aha, przy okazji, jak się z tym najlepiej obchodzić? Jeśli „najlepiej” jest właściwym słowem! Nie chodzi mi o to jak pociągać za spust — to jest oczywiste — ani w jakim celu mam użyć tej broni! Po prostu...

Weinberger stuknął się w pierś.

— Tutaj — wskazał palcem. — Serce jest tutaj. I nie ciągnie się cyngla, Jim. Naciska się go. Inaczej nic z tego nie będzie. I nie zapomnij o bezpieczniku; ani o tym, że broń kopie. Mimo, że nie sądzę, abyś tego używał — dodał sarkastycznie.

— Zobaczysz... I jeszcze jedno... tak pytam z czystej ciekawości...

— No co?

— Jak ludzie zabijają samych siebie? Czy należy broń trzymać odwróconą, o tak? — wykręcając nadgarstki, dotknął palcami piersi.

— Spróbuj zrobić to z bronią, a zobaczysz, że nie jest to takie proste. Nie, nie tak.

— Weinberger włożył wskazujący palec do ust, po czym wyszarpnął go gwałtownie z głośnym mlaśnięciem. — Tak. Lufa lekko uniesiona w górę, inaczej strzelisz sobie tylko w gardło... Myślę, że tak. To było już tak cholernie dawno.

— Jeśli mówisz o sobie, to dziesięć dni temu!

— Mam na myśli informacje o zabijaniu. Seriale, słuchowiska. Słuchaj, Jim, prowadzimy kretyńskie rozmówki. Albo wybieramy się razem w lasy, albo mnie zabijasz i koniec; jedno z dwojga.

Jim podniósł dłoń, potrząsnął głową.

— Mnie chodzi o coś innego. Czy mógłbyś sam siebie zastrzelić przez zaskoczenie? Wystarczająco szybko, pod wpływem impulsu?

— A skąd mam niby to wiedzieć? Sądzisz, że zrobię to dla próby? Mogę powiedzieć tylko jedno: ludzie nie popełniają samobójstwa pod wpływem impulsu. Zadałeś niemańdre pytanie. Ale generalnie masz rację: musimy pozostać przy życiu. A to nie uda się tutaj!

Weinberger wpatrywał się dłuższą chwilę w panoramę ściennego ekranu.

— Lepiej to wyłączyć. Widok lasu może zdradzić nasze zamiary. Szkoda, że nie ma tutaj miejskich widoków.

Pochylił się i lasy zniknęły ustępując miejsca krajobrazowi arktycznemu. Góry lodowe skrzyły się w promieniach słonecznych, wpadających przez okno.

— Wyruszamy jutro w nocy — odezwał się Jim. — Powiem Resnickowi, żeś już się

prawie zgodził na publiczną pokutę, że się pokażesz...

— I się pokażę. Ale wyjdę tak, że nikt nie zobaczy nawet koniuszka mego nosa. Udowodnię w ten sposób, że część prawdy jest największym kłamstwem ze wszystkich. Och, to będzie cudowne. Do jutra będę żarł jak koń.

— W takim razie teraz ja ci powiem: *bon appetit*.

— Nie, nie. Ja po prostu będę żarł jak koń. To wszystko.

XXI

O oznaczonej porze Jim bezszelestnie wślizgnął się do dyżurki. Sorensen siedział tyłem do drzwi czytając swój nieśmiertelny magazyn. Na malutkim ekranie, Weinberger leżał na łóżku ignorując zupełnie skierowane na siebie oko kamery.

Sorensen obejrzał się nagle. Ujrzał Jima i wycelowaną w siebie lufę rewolweru.

— Nie rób najmniejszego hałasu — ostrzegł Jim zamykając za sobą drzwi. — I niczego nie dotykaj. Nie ruszaj się, lub umrzesz — zamordowany.

Sorensen poruszył się nawet jeszcze bardziej — po prostu zadygotał.

— Jeśli strzelisz, narobisz hałasu.

— Ale będzie to dźwięk twojej śmierci. Ty w każdym razie już go nie usłyszysz.

— Oszalałeś, kurwa! Oszalałeś!

— Być może. Lecz jeśli nie wykonasz dokładnie tego, co ci powiem, staniesz się pierwszą ofiarą mego szaleństwa. A poza tym, już ci mówiłem, żebyś zamknął mordę!

Czemu w ogóle wdaje się z nim w rozmowę? Czy nie lepiej warknąć krótko? Czuł do siebie złość za to, że jest głównym aktorem i reżyserem tego absurdalnego melodramatu. Co gorsza, trzymanie człowieka na muszce było jak balansowanie brzęczącą, ogromną, szklaną kulą lub gigantyczną bańką mydlaną. Gdy już kula taka uniesie się w powietrze, nie można jej położyć, bo rozprysnie się pod własnym ciężarem. Tak samo i on — z chwilą wejścia tutaj z odbezpieczoną bronią, spalił za sobą mosty i nie ma odwrotu.

— Niech pan tego nie robi, panie Todhunter... Wiem, to dlatego, że wezwałem Resnicka. Ale musiałem tak postąpić.

— Zamknij dziób! — ryknął Jim, czując, jak jego szklana kula drży od wewnętrznej wibracji. — Jeśli wypełnisz dokładnie to, co ci powiem, nie zabiję cię. — Jim czuł się jak przerosnięte dziecko wepchnięte nagle w niepojęty świat dorosłych; zmuszone robić to, czego nie rozumie. Pokiwał bronią.

— Przesuń się z krzesłem do ściany... tam, do tej rury.

Sorensen posłusznie zaczął posuwać się komicznymi, drobnymi skoczkami krzesła. Robił mnóstwo hałasu.

— Unieś trochę krzesło, idioto! Nie za wysoko, troszeczkę tylko. Tak, dobrze. Usiądź. A teraz łap to.

Jim rzucił w stronę mężczyzny wyciągniętą z kieszeni grubą rolkę plastra. Sorensen wyciągnął niezgrabnie ręce i rolka prześlizgnęła się mu między palcami, poturlała po podłodze.

Nie spuszczać oczu z więźnia, Jim podszedł do szpulki i kopnął ją lekko czubkiem buta. Potoczyła się wolno wprost pod nogi Sorensena.

— No, podnieś ją, rozwiń trochę i zalep sobie plastrem usta. Tak... bardzo dobrze. Teraz przymocuj swoje kostki do nóg krzesła...

— Wyśmienicie. Teraz lewą rękę do oparcia...

To już nie było takie proste, ale ostatecznie Sorensenowi udało się skrępować lewy nadgarstek. Rolka jednak zwisała luźno na rozwiniętej taśmie klejącej, ponieważ mężczyzna nie potrafił jedną ręką przerwać grubego plastra. Poczerwieniały z wysiłku, mruzczał spod knebla przepraszająco.

Jim zbliżył się do niego ostrożnie, rozerwał taśmę, po czym niecierpliwymi, szybkimi ruchami uwięził prawy nadgarstek strażnika. Położył broń na podłodze i już dokładnie nakładał mu na usta, nogi i ręce kolejne warstwy plastra: tak długo, aż zużył cały. Następnie wyjął z drugiej kieszeni kłębek mocnego sznurka i okręcił nim tułów Sorensena, krępując mocno do oparcia krzesła. Potem delikatnie przewrócił krzesło do tyłu i przywiązał je dla pewności do kaloryfera. Sorensen przyjął pozycję starodawnego kosmonauty oczekującego, aż rakieta uleci w niebo. To znaczy, aż uleci w niebo rozwścieczony Resnick.

— Mmmm — mmm — mamrotał Sorensen. Było mu niewygodnie? Zbyt mocno grzała rura? Napływała krew do głowy?

Jim zastanawiał się przez chwilę, czy dla pewności nie ogłuszyć go. Zaniechał jednak tego; nie miał pojęcia, jak mocno należy uderzyć... lub jak słabo. Zadowolili się więc tylko pogrózką:

— Nie próbuj żadnych sztuczek. Będę jeszcze jakiś czas niedaleko i jeśli zaczniesz ćwierkać, będę zmuszony przyłożyć ci w głowę. A to mogłoby ci wyrządzić krzywdę, na przykład rozwalić czaszkę.

Zdjął klucz do tylnych drzwi Domu i po cichu opuścił dyżurkę. Przed drzwiami, w korytarzu, czekała na niego spakowana walizka.

Gdy sprawdzał wcześniej główny hall, siedziała tam jedna z dyżurnych, zajmująca się wyszywaniem wzoru barwnymi pasami włóczki. Obrazek przedstawiał kaszalota unoszącego się na falach oceanu. Kobieta najwidoczniej zamierzała siedzieć tak tam całą noc. Jim miał nadzieję, że Sorensen i dyżurna nie są kochankami, którzy telefonują do siebie lub składają nawzajem ukradkowe wizyty. Lecz czemuż by akurat miało tak być? Nie każdy jest kochankiem każdego.

Bez wątpienia, czynność unieszkodliwienia szpicla-strażnika była przykrą. Ale czy Jim mógł inaczej postąpić? Nie mógł już więcej żądać wyłączenia kamery. A przynajmniej przygoda z rewolwerem, nawet jeśli nie wykazał w niej mistrzostwa, dawała mu poczucie bezpieczeństwa.

Godzinę później elektryczny ranbout z mozołem piął się stokami masywu górskiego oddzielającego jezioro Tulane od Egremont. Światło księżycy i zimny blask gwiazd nadawały krajobrazowi lekko błękitny krajobraz; nie tyle rozjaśniały, co nieznacznie rozrzedzały mrok. Silne żarówki przednich reflektorów omiatały drogę smugami jaskrawego światła, wyławiając z ciemności kształty przydrożnych drzew. Dolina za nimi była niecką ciemności: nawet perłowa pajęczyna światełek zgasła już jakiś czas temu.

Jim rzucił okiem na tarczę zegarka. Nie zdążył jednak dostrzec, która godzina, musiał bowiem uważnie spoglądać przed siebie. Orientacyjnie tylko wiedział, że jest nieco po północy.

— Tutaj skrećimy w prawo — latarka-paluszek Weinbergera rzucała żółty krążek światła na pogrążoną w mroku płachtę mapy. Była ona im przydatna tylko teraz, w wydostaniu się z Egremont. Potem, gdy zechcą się tak zgubić, by ich nikt nie znalazł, będzie już bezużyteczna.

Wkrótce po skrećie w prawo Jim dojrzał — i rozpoznał — w prześwicie między okalającymi drogę drzewami bungalow, w którym odbyło się pamiętne pieczenie pstrąga z okazji jego przybycia do miasta. W jednym z okien paliło się światło. Jeśli właśnie w tej chwili Resnick, Alice i Mary-Ann uprawiali swoje ćwiczenia, to ucieczka Jima i Weinbergera nabierała przez to dodatkowego, pikantnego smaku!

Lecz czemu miałyby to być akurat Resnick i jego damy? Może był to inny, bliźniaczy domek, w którym przebywał samotny, cierpiący na bezsenność żeglarz...

Jestem opętany seksem, pomyślał ponuro Jim. Nie byłem jeszcze w Egremont z nikim w łóżku. Dzieliłem tylko wodny materac z Weinbergerem, a to się nie liczy. Czyżby moją jedyną rzeczywistą partnerką było Śmierć? A wszystkie inne kochanki to wyłącznie echa i cienie? Czy każdy akt poczęcia nie jest zapłodnieniem łona, a wyłącznie jednego z tych kryształowych więzień — przez moją duszę? Idę więc, jak pełen samozaparcia mnich, jak opętany święty Antoni na pustynię, by odnieść triumf tam nad kryształowym kuszeniem — albo mu ulec...

Tak, jest mnichem. Od lat spał w swej trumnie lub blisko niej. Taką trumną, którą oni wszyscy zamieszkują jest bowiem Dom Śmierci. A jaką z tego czerpią satysfakcję! Jak radują się ze swej znajomości sztuki umierania...

Z wyjątkiem jego. Gdzieś, w jakiś sposób zgubił był swoje samozadowolenie. Może wtedy, gdy tonął? Rozkosz tonięcia była doznaniem po stokroć intensywniejszym od rozkoszy, jaką dawało tonięcie w ciałach kobiet...

— Trzymajmy się tej drogi — szepnął Weinberger, jakby wyczuł jego zamyslenie i nie chciał go zmącić, lecz mimo to chciał w nim uczestniczyć.

Metalizowana droga się skończyła; dalej wiódł wyboisty i nierówny trakt. Elektryczny ranbout posuwał się swoją maksymalną prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę.

Po godzinie jazdy silnik zaczął stopniowo zwalniać.

Pojazd trząśnięty na wybojach leśnej przecinki, która — ku ich zadowoleniu — zdawała się prowadzić znikąd donikąd. Generalnie jednak na północ. Dawno już byli na terenach, których nie obejmowała miejscowa mapa. Ukrycie samochodu jednak nie było wcale tak prostą sprawą; czarne jodły rosły zwartą ścianą wzdłuż leśnej drogi.

Chmury pokrywały już większą część nieba i księżyc z rzadka tylko wynurzał spoza nich swą siną jak kość twarz. Jim zwolnił szukając wzrokiem jakiejś przesieki w splątanej gęstwie otaczającego ich lasu. Wyobrażał sobie, że za chwilę wynurzy się z boku niewielkie, głębokie jeziorko o oleistej wodzie, w której zatopią ranbouta. Ale nie był w stanie stwierdzić, czy jakieś jeziorko znajduje się w promieniu pięćdziesięciu jardów. I tak nie istniała możliwość dotarcia doń samochodem.

W końcu dostrzegł w świetle czołowych lamp nikłą wyrwę między drzewami i natychmiast skierował tam pojazd. O szyby zadudniły donośnym łomotem gałęzie. Z głośnym zgrzytem otarli się podwoziami o pień drzewa. Koła zabuksowały i silnik zgasł. Wydostali się drzwiami obok kierownicy, gdyż druga strona wozu była zablokowana. Gramolącego się na zewnątrz Jima chlasnęła po twarzy porośnięta szpilkami gałąź.

— Nikt nie powinien się tutaj pojawić w ciągu dobrych paru dni — rzekł z nadzieją w głosie Weinberger.

Przedarli się przez chaszczę i wyszli ponownie na drogę.

Pięć minut później Jim przełożył walizkę do lewej ręki. Po dalszych pięciu próbował nieść bagaż na ramieniu, a po kolejnych pięciu zarzucił go sobie na grzbiet jak plecak, przesunawszy ramiona przez ucha walizy. Lecz niebawem potłukł sobie dotkliwie kręgosłup kantem pakunku, a w barku chwycił go kurcz. Wziął więc ponownie walizkę do prawej dłoni.

Wkrótce stanęli na skraju wielkiej polany. Powalone drzewa słały się na stoku pagórka niczym zapałki wysypane z pudełka. Na szczycie wzgórza stała drewniana chatka, ciemna i opustoszała. Droga wiodła do jej drzwi, gdzie się kończyła.

— Mam już dwa metry dłuższe ręce — poskarżył się Jim.

— Tak, ale tutaj nie możemy się jeszcze zatrzymać. Uszliśmy zaledwie kilka mil! — pokręcił głową Weinberger.

Teraz, gdy wiatr przegnał chmury, księżyc koloru kości dawał więcej światła. W jego widmowym blasku zagłębili się w głuszę.

Ku zaskoczeniu Jima, Weinberger przejawiał zdumiewającą siłę i energię. Zupełnie jakby cały ból rozdzielony przez Śmierć przeistoczył w jakiś nektar energii dla komórek swego ciała.

Teren stawał się skalisty, co raczej ułatwiało im wędrówkę, bowiem skupiska kamieni i skał rozdzielały gęsty las i nie musieli tracić tak wiele sił i czasu na przedzieranie się przez gęstwinę.

Po pół godziny takiego marszu Weinberger zwałił się na trawę, pod niewielką skalną turniczką.

— Już nie mogę. Jestem wykończony — jęknął.

Jim cisnął niesiony ciężar i próbował rozprostować zbolące palce.

— Szedłem i spałem — oznajmił.

— W porządku. Możemy tu się przespać.

— Gdzie? — spytał Jim rozglądając się wokół.

— To całkiem proste w teorii. Zwierzęta jednak zawsze tak sypiają. Po prostu kładą się, zwijają w kłębek i śpią.

— Wesoły jesteś!

Jim wyjął z walizki dwie lekkie peleryny, które zakupił tego ranka w Egremont. Rozłożył je na ziemi, a Weinberger położył się na jednej z nich, za poduszkę mając podłożone pod głowę ramiona. Jim poszedł w jego ślady, zastanawiając się tylko, jak będą wyglądały ich ubrania, gdy wreszcie dotrą do granicy. A ta była wciąż niesłychanie odległa.

Trawa, na której rozłożyli peleryny, była miękka, lecz niebawem chłód — którego Jim nie czuł idąc — zaczął się dawać porządnie we znaki. Po chwili wahania przytulił się do Weinbergera, który w przeciwieństwie do niego zasnął natychmiast. Wcisnął krzyż w brzuch śpiącego, a w zgięcia kolan wziął jego kolana. Uprzednio, w Egremont, byli Śpiącymi Królewnami; teraz natomiast Dzieciakami z Lasu. Szczękającymi zębami, podstarzałymi dziećmi.

XXII

Jim wciąż jeszcze zastanawiał się, czy zdoła w tych warunkach zasnąć, gdy uświadomił sobie, że na dworze jest już jasno.

Spał płytkim, nerwowym snem i dręczyły go ciężkie koszmary: gorączkowe goni-twy umysłu wokół problemu, jak przetrwać ów oszalały pęd. Istniał cały labirynt wyłączników, którymi mógł uciszyć swój umysł. Gdy jednak tylko naciskał któryś z nich, powstawał natychmiast kolejny labirynt do przebycia; w końcu labirynty i przełączniki piętrzyły się górą sięgającą nieba.

Lecz obecnie niebo było jasne i świeciło poranne słońce. Jim mrugał oczyma i zamroczone jeszcze sennymi widziadłami zastanawiał się, gdzie też mogła się podziąć owa upiorna sterta labiryntów i wyłączników. Przecież nie upchnął jej pod czaszką? Upchnął! Godziny snu spędził jak szczur w starodawnym laboratorium tortur, które okazało się jego własnym mózgiem.

Posłanie Weinberga było puste.

Usiadł. Zawirowało mu w głowie. Ptak — nie znał się na ptakach, więc był to po prostu „ptak” — świergotał na gałęzi. Nagle odleciał, a z gęstwiny wynurzył się Weinberger.

Pociągnął nosem, jakby wachał wilgotne, żywiczne powietrze.

— Cudowny ranek, Jim. Jak się to mówi, życie jest piękne.

Jim potrząsnął głową, opróżniając ją z ostatnich przełączników i labiryntów. On też wciągnął w płuca potężny haust powietrza, które było jak chłodny, zielony napój. Kichnął donośnie. Zaraz potem znów. I jeszcze raz.

Weinberger zachichotał.

— Przestań. Od leżenia na ziemi nie mógłbyś się przeziębici. Katar to przecież wirus.

Jim zadygotał i kichnął ponownie.

— No, przestań!

Zadziwiająco, Jim rzeczywiście przestał kichać.

— Kiedy się obudziłeś?

— Mówiłem już, że nie potrzebuję dużo snu. Zrobiłem rozpoznanie terenu. Tam, poniżej płynie strumień. Cudowna woda, orzeźwiająca. Odśwież się, załatw potrzebę, a potem otworzymy jedną z tych puszek, które zabrałeś. Och, czuję się jak za starych, dobrych lat — brakuje tylko namiotu i ogniska. Ale o tym nie ma nawet mowy. Nie ma ognia bez dymu. No, wstawaj już i idź, ruszaj się! I tak dałem ci długo pospać.

W południe, gdy pokonali dalszych sześć czy siedem mil, zatrzymali się, by otworzyć kolejną konserwę i zjeść trochę czekolady. Byli nieludzko wygłodniali, a Jim dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę, jak niewiele żywności zabrali z Egremont, że jej zapasy z trudem wystarczą na następny dzień. Gdy wspomniał o tym Weinbergerowi, ten machnął tylko niefrasobliwie ręką i odparł, że będzie łowić ryby na haczyki i żyłkę, którą Jim również, z jego polecenia, zakupił. Obiecował też wyśmienite grzyby, posypane z wierzchu jeżynami, dorównujące smakiem najwyborniejszym befsztykom. Lecz na razie Jim widział wyłącznie świerki i sosny, trawę i niebo.

Posiłek spożywali siedząc na porośniętym świerkami stoku. Mimo lejącego się z nieba żaru, wiał orzeźwiający wietrzyk. Ruda wiewiórka, trzymając w pazurkach jakiś łup, przysiadła ponad ich głowami przypatrując się bacznie intruzom, gotowa w każdej chwili umknąć na drugą stronę drzewa. Przed nimi leżały zielone, strome zbocza doliny, zaś uszu ich dobiegał szum niewielkiego wodospadu, spadającego w jakieś ukryte między drzewami jezioro.

Słyszac warkot, obaj schronili się za drzewo wiewiórki, która przeskoczyła na inne.

W odległości mili, po zachodniej stronie, pojawiła się biała plamka jednopłatowca, który krążąc zataczał szerokie koła i łuki.

— Samolot Służby Spokoju — mruknął Weinberger. — A to oznacza, że natknęli się na naszego ranbouta i poszukiwanie prowadzą w tym kierunku. Ha, trudno. Ale to strata czasu — szukać z powietrza kogoś, kto ukrył się w tej puszczy! Nawet gdybyśmy wdrapali się na drzewo i wymachiwali czerwoną płachtą, musieliby mieć sporo szczęścia, by nas dostrzec.

Samolot stopniowo oddalał się.

Kolejny jednopłatowiec przemknął z donośnym szumem motoru dokładnie ponad ich głowami i oddalił się w kierunku północno-wschodnim. U dołu skrzydeł miał tym razem pływaki zamiast kół.

— Ten jest z Barnaby — oznajmił Weinberger. — Stąd te pływaki, w okolicach Barnaby roi się od jezior. A to, że przeleciał tak blisko nas, to czysty przypadek. Niczego nie zauważyli.

— A kiedy zauważą...

— Wtedy zrzucą swych ludzi na spadochronach, jak to czynią w wypadku pożaru — odparł Weinberger obserwując uważnie horyzont zaciągający się już czarnymi, kłę-

biastymi chmurami. — Nie przejmuj się, Jim. Za godzinę lub dwie pogoda popsuje się całkowicie. Chodźmy nad jezioro. Nasza pływająca jeszcze kolacja powinna odróżnić parę kropli deszczu od wijących się dżdżownic.

Parę kropli deszczu. Było to monstrualne niedomówienie. Gdy kilka godzin później z szarego, zaciągniętego po horyzont welonem ciężkich, burych chmur rozpadało się na dobre, obaj przemokli kompletnie mimo peleryn, którymi się okryli. Gdy ociekając wodą i szczękając zębami dotarli wreszcie do jeziora, jego powierzchnia zdawała się tylko nasileniem tej wilgoci, która wypełniała już powietrze.

Choć przygnębiony i zmęczony, Jim mimo to — w strugach deszczu — uświadomił sobie pewne zaniedbania w przygotowaniu do ich ucieczki. Kupili żywności na drogę, sprzęt wędkarski, peleryny i wiele innych przedmiotów. Lecz wszystko to było niewystarczające na tak długą wędrówkę — aż do granicy. Oznaczało to, że wcale nie zamierzali dotrzeć do granicy. I dopiero teraz, gdy tak włókł się zziębnięty, uświadamiał to sobie naprawdę. Granica bowiem była tylko wymówką, chytrym wykrętem. Przygotowali się do sprintu, a nie do maratonu. Byli przygotowani na dwu, najwyżej trzydniową wędrówkę.

„Dajcie nam dwa lub trzy dni, a udowodnimy — udowodnimy, cholera — że to my mamy rację!” A tym, co potem, zajmą się nieistniejący Bogowie; może Sprawiedliwość, albo Los; a nawet — niewiarygodne — Prawda. Nieświadomie zupełnie skorzystali z tej okazji: z tej magicznej, infantylnej okazji.

Jim przypomniał sobie staroniemiecki wiersz, niezwykle popularny w Domach; wiersz Friedricha Holderlina *Do Losu*. A ściślej, popularny był ów poemat w wersji Normana Harpera. Jim jednak z ciekawości zdobył w Gracchus oryginał. Poeta błaga w nim Los o darowanie mu jeszcze jednego lata i jednej jesieni życia, by jego pieśni mogły w pełni dojrzeć. Na wyczucie Jima oryginał niemiecki brzmiał bardzo samochwalcze, ale „przekład” Normana Harpera był cokolwiek przekręcony, delikatnie mówiąc...

Norman Harper zatytułował swoją wersję *Owoc strącony wiatrem*, a stanowiła ona jedno z jego rzadkich odejść od poezji rymowanej. Jim szeptał w duchu z goryczą to „tłumaczenie”, starając się jednocześnie przypomnieć sobie oryginał, którego prawidłowy sens leżał pogrzebany, niczym Troja, pod wierszydłami Harpera.

*Czy pozwolisz, bym umarł porą jabłek jesiennych,
Moja dobra, Wszechmocna Potęgo?
Moje wiersze dojrzeją
Złotą słodyczą miodu
Dopiero za rok — dopiero następną jesienią.*

*Witaj Ciszo, Spokoju, witaj Cichy Bezruchu
Będę jednak szczęśliwy, nawet gdy nie usłyszę
Już głosu mego mówiącego wiersze.
Bo na swój sposób żyłem tak, jak Goethe.
Lecz wiesz, przejrzałe jabłka w końcu gniją...
Więc czemu nie podniesiesz mych wierszy?*

Istniała konkretna różnica intencji poety i Normana Harpera. Harper zmagał się nie z Przeznaczeniem, lecz z Państwem. Układał się nie o odrobinę dłuższe życie, lecz właśnie o dobrą śmierć. Za to ich pobyt tutaj był zmaganiem się z Holderlina: parę godzin wolności więcej, by coś stworzyć.

Jim otrząsnął wodę z włosów.

— Musimy jak najprędzej ruszyć tropem Śmierci — odezwał się. — Trzeba nam tylko odpowiedniego schronienia. W taką pogodę z pewnością nikt nas tutaj nie wytropi. A potem — zobaczymy.

Weinberger skinął głową, rozpryskując przy tym fontannę wody; jak psiak po wyjściu z kąpeli. Zdawało się, że ma takie samo, jak Jim zdanie o całej eskapadzie. Wyruszyli, by przekroczyć granicę, ale zupełnie inną; przekroczyć ją i wrócić, i przynieść prawdę; przynieść dowody na poparcie tej prawdy. Taki był rzeczywisty powód ich wyprawy, a nie groteskowa włóczęga.

— Wydaje mi się, że widzę po drugiej stronie jakiś domek. Widzisz, Jim?

Stojąc nad brzegiem rozległej toni jeziora spoglądali na drugi, zamglony deszczem brzeg. Ćwierć mili od nich w linii prostej, po drugiej stronie majaczył niewyraźnie garbaty kształt jakiegoś szałasów czy bungalowu. Milla albo i więcej do przebycia ścieżką wiodącą wokół nerkowato ukształtowanego jeziora. W tamtej właśnie budzie mieli nadzieję znaleźć schronienie i obeschnąć.

Do chaty dotarli po półgodzinnym uciążliwym brnięciu przez rozmiękłe wertepy. Podczas marszu ślizgali się w rozmiękłej ziemi, zapadali w grząskie błoto, obchodzili doły i zbutwiałe pnie ogromnych, powalonych drzew.

Wewnątrz domku znaleźli dwa, zwalone jeden na drugi, materace. Były zbutwiałe, a z poprutego materiału wyłaziły całymi garściami kłaki włosów. Jedną ze ścian zajmowały puste, na wpół spróchniałe, pokryte kurzem i pajęczyną półki. Dach w wielu miejscach przeciekał, a jedyne okno wychodzące na sieczone deszczem jezioro pozbawione było szyb. Na szorstkich deskach podłogi leżało krzesło z trzema nogami; czwarta dawno już gdzieś odmaszerowała. Lecz mimo tych niewygód, w obecnym położeniu chatka była schronieniem, a nawet, w pewnym sensie, luksusem.

Jim połamał do reszty krzesło, po czym zaczął zbierać wszystko, co nadawałoby się na ognisko. Wyrwał nawet półki, a także połamane deski z podłogi; tkwiące w nich przerdzewiałe gwoździe ruszały się, jak zęby ofiary promieniowania radioaktywnego. Z dziur po wyrwanych deskach nazgarniał suchego piasku robiąc z niego coś w rodzaju paleniska, po czym zaczął łamać drewno na szczapy. W trakcie tych czynności natknął się na stertę pożółkłych czasopism doskonale nadających się do zapalenia drzazg, które z kolei rozpałały większe kawałki drewna.

Weinberger, zgodnie z obietnicą, wyszedł na deszcz z żyłką i haczykami.

Gdy w dwadzieścia minut później wrócił, ubranie siedzącego przy ognisku Jima parowało, a przez wybite okno wydostawał się na zewnątrz dym mieszając się natychmiast z mgłą i kroplami deszczu.

Weinberger uśmiechnął się szeroko. Podszedł do Jima i wyciągnął z za siebie dłoń z dużym, cętkowanym pstrągiem o szeroko rozwartym — jakby w zdumieniu — pysku.

— Trzy funty, co do uncji! — oznajmił z dumą.

Wypatroszył rybę, nabił na patyk i wręczył siedzącemu przy ogniu Jimowi. Ten niezwłocznie przystąpił do pieczenia pstrąga.

— Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą whisky!

Ale nawet i bez whisky biesiadowali po królewsku, parząc sobie palce i usta gorącą rybą. Potem przysunęli materace do ogniska. Ogień przygasał z wolna, razem z tonącym w pomroce deszczu dniem. Zapadał zmierzch.

XXIII

Ranek wstał ponury i dżdżysty; na taką pogodę właśnie liczyli. Ziemia, jezioro i niebo, spowite całunem mgły, zlewały się tworząc jedną bezkształtną całość — zupełnie jakby świat cofnął się do stanu pierwotnego.

Ponieważ poprzedniego wieczoru zużyli już cały zapas suchego drewna, obecnie musieli zadowolić się puszką wołowiny na zimno. Gdy konserwa została już opróżniona, Weinberger wystawił ją na zewnątrz, by nałapać wody ściekającej z okapu dachu.

Na wbitym w sufit ćwieku Jim zawiesił rozpylacz z feromonem, tak by bez trudności można było doń sięgnąć z materaca. Następnie włożył do magnetofonu świeże baterie, a na dłoń wysypał z papierowej tutki dwa pomarańczowe serduszka Neo-Harmaline-MDA. Na jego zegarku była już siódma trzydzieści.

Gdy Nathan wyjął zza okna puszkę w części napełnioną deszczówką, Jim włożył do ust pigułkę. Przełknąłby ją na sucho, lecz było coś tak uroczystego w geście Weinbergera, który — jakby wznosząc toast — podał mu puszkę, że Jim, rad nie rad, popił pastylkę obrzydliwą papką deszczowej wody wymieszanej z resztką tłuszczu po konserwie.

Tym razem już grubo odziani, położyli się na zbutwiałych materacach. Jim wyciągnął rękę w stronę magnetofonu i izbę wypełnił monotony głos Mike'a Mullena.

Później — jak dużo później, Jim nie miał najmniejszego pojęcia — jego dłoń odruchowo sięgnęła do zatyczki rozpylacza feromonu.

Później — a może wcześniej? — chata zmieniła się w widmo chaty, a on z Weinbergerem unieśli się w górę, ku dziurawemu sufitowi. Szara wilgoć zalegającego w chacie powietrza przemieniła się w chmurę: świetlistą chmurę skażoną brudnymi cieniami. Cieniami drzew okalających jezioro, cieniami całego zwyczajnego świata.

Jim wpatrywał się jak urzeczony w nieruchome ciała, niczym dwóch zmarłych z chłodu włóczęgów, spoczywające poniżej na brudnych, odrażających materacach. Spoglądał na te pozorne zwłoki również z jakimś uczuciem zachwytu. Był to ów dawny zachwyty tonięcia w oceanicznej jasności — jasności, której naturę już zgłębił, jasności roz-

siewanej przez nieprzeliczone miriady kryształowych graniastosłupów reprodukujących się przez rozszczepienie, by wchłonąć kolejne dusze ludzkie.

A ponieważ tylko znajdował się poza ciałem, był tylko pozornie martwy, zwyczajny świat rzucał silny cień oddzielając go od owej skalnej jasności. Cienie złudnego lasu pociągały go, zachwycały, by wniknął w tę krainę kniei i poszybował dalej, aż do samego Egremont. Kołysał się jak balon popychany raz cieniem wiatru w stronę świata cieni, to znów jakimś innym powiewem popychającym go w kierunku białej mgły.

Śmierć pojawiło się nagle jak czerwony, chybotliwy ognik na piersiach owych włóczędzów na dole. Stwór przeskakiwał z jednej figury na drugą. I z powrotem.

Tym razem dużo szybciej żeglowali poprzez mgłę z barwnymi kryształami zataczając kręgi i łuki, trzymając się ściśle ogona Śmierci.

Czasami między kryształami otwierała się większa przestrzeń, w którą wpływało Śmierć. Czasami jednak klejnoty były tak ściśnięte, że pozostawało im niewielkie pole manewru. A kraina kryształów rozciągała się i rozciągała, wciąż i wciąż, aż po granicę widoczności: bezkresny ocean, w którym bryły kolorowego lodu unosiły się dryfując na wszystkich poziomach. Tworzyły obłądny labirynt setek tysięcy dróg i nieprzeliczoną gęstwą ślepych uliczek — zaułków Śmierci — których przepastnych otchłani nigdy nie zdołaliby przebyć o własnych siłach. Lecz musi przecież istnieć jakaś granica, musi istnieć jaśniejsze, bliższe światło poza... lecz światło to tak było rozproszone, tak pozalamywane w kryształach, że wytyczenie kursu, określenie kierunku i miejsca owego krańca, owego białego, prawdziwego światła, przekraczało ludzkie możliwości.

Tym razem Śmierć nie ignorowało ich obecności. Przeciwnie, im głębiej zanurzali się w kryształowej mgle, tym bardziej reagowało na ich obecność. Odwracało się, rzucało swymi lśnącymi, rubinowymi niczym miniaturowe kryształki oczyma szybkie spojrzenia na ścigających je mężczyzn. Nie wydawało się rozgniewane, że je ścigali. Ani przestraszone. Tak, najwyraźniej nie chciało im umknąć, zniknąć w najbliższym, wąskim przesmyku między kryształowymi globami. Przeciwnie: wabiło ich, trzymając się w pewnej odległości, ale nigdy zbyt daleko.

Jim zastanawiał się chwilę, jaka jest ostateczna granica elastyczności ich srebrzystych nici życia. Czy srebrne pasmo może osiągnąć krytyczny punkt naprężenia, po którym pęknie? Czy wtedy Śmierć zagarnie ich natychmiast? Z tego, na ile zdołał się zorientować, prowadzeni byli zrećnie i chytrze, planowo zataczali kręgi i koła, omijali...

— Czy to się nigdy nie skończy? — wykrzyknął Weinberger.

I wtedy właśnie — zupełnie nagle — skończyło się. Wypłynęli, kurczowo trzymając się ogona Śmierci, poza ostatni kryształ — w błyszczącą, świecąca pustkę, która była zupełną negacją przestrzeni: białą próżnią. Przestrzeń wypełniona była oślepiającą jasnością emanowaną w siebie przez samą pustkę, nie przez jakieś konkretne źródło blasku. W świecie tym istnieli wyłącznie oni dwaj — i czerwone stworzenie szybujące bez prze-

rwy w przedzie.

A za ich plecami kryształowa mgła stała się ścianą dzielącą ten wszechświat na połowy. Wyrwawszy się z mgły Jim poczuł się naraz... „niepoczęty”; i on, i Weinberger byli po prostu jak dwa plemniki opuszczające olbrzymie jajo złożone z nieprzeliczonego mnóstwa barwnych komórek — ogromne, szkliste kukułcze jajo?

Im głębiej wnikali w białą pustkę, ściana utkana z mgły oddalała się, stawała się coraz gładsza, gładka jak kula bilardowa. I w pewnej chwili zaczęła się wybrzuszać, zaginać. Była to monstrualnych rozmiarów kula.

To właśnie dom miliardów światów umysłu, miliardów wyobrażeń dusz — piekieł i czyściców. Tutaj natomiast istniała wyłącznie jasna nicość... Jim zaczął się nagle obawiać gorszego niebezpieczeństwa — że Śmierć pozostawi go tu, w otchłani. Czyżby ta właśnie pustka była tym samym, co „czyste Nic” Anandy? Nie, tutaj istniało przecież światło. I tylko tego był pewien, gdyż poza jasnością nic więcej w tym świecie nie egzystowało. I tylko z tego zdawał sobie sprawę, bo nie istniało tutaj nic więcej, z czego mógł sobie zdawać sprawę.

— Gdzie my jesteśmy? — wykrzyknął jego towarzysz.

— Obserwuj Śmierć, Nathanie! Nie spuszczaaj z niego oka! Ono nie może nam umknąć!

Poza mknącym naprzód, małym stworzeniem, w polu widzenia nie było nic. O ile Śmierć faktycznie mknęło... Może stało w miejscu, podobnie jak oni.

Jak zawsze, gdy zbyt długo skupia się uwagę na niewielkim przedmiocie, tak i obraz czerwonego stworzenia zaczął najpierw lekko drżeć, a następnie jakby rozplątywać się. Ich oczy wymażą je, przestaną je rejestrować, w końcu zniknie zupełnie. Zgubią je.

Jim — lub jego umysł — zapragnął gorąco, by ta pustka stała się czymś. Błądził wokół gorączkowym wzrokiem poszukując jakiś plam, barwnych płaszczyzn, załamania, nierówności lub cieni; pragnął napotkać jakąkolwiek strukturę lub nieregularność, która zmąciłaby upiorną, mleczną, wszechogarniającą pustkę. I rzeczywiście, niebawem dostrzegł niewyraźne, trudne do określenia, otaczające ich ze wszystkich stron... ściany. Za nimi znajdował się oczywiście sferyczny mur mgły: kryształowej mgły. Zapewne i ponad ich głowami rozciągała się ściana. Nieograniczona bowiem przestrzeń nie istnieje, nie istnieje nic rozciągające się w nieskończoność. Nawet wszechświat zwiija się i zatacza ponad samym sobą łuk, zamykając niejako samego siebie w sobie, zakreślając w ten sposób swoje granice... swoje własne ściany, niczym wstęga Möbiusa posiadająca tylko jedną stronę. Lśniaca pustka zatem musi również zataczać taki łuk ponad samą sobą...

Płynęli poprzez niewyobrażalnych rozmiarów salę o wielce dziwacznych ścianach. Byli jednocześnie wszędzie i nigdzie. Olbrzymi pokój stawał się nieskończonością „małych” pokoi koegzystujących ze sobą w czasie i przestrzeni. Pośród tego bezliku pokoi wybrać sobie było można jeden, i jeśli się tylko zapragnęło, zamieszkać w nim. Już nie

w chaosie nieskończoności; po drugiej stronie ścian — a właściwie po tej samej stronie jednostronnych ścian — znajdują się wszelkie inne możliwości pokoi i przestrzeni. Lecz to miejsce tutaj również było nieskończone, choć ograniczone. Nie istniało „gdzieś indziej” — wyłącznie wiekuiste „tutaj”: rodzaj trwania tutaj jakkolwiek z dostępem do „wszędzie”.

Wewnątrz kryształowej mgły, którą zostawili poza sobą, pochwycone dusze również wybierały kształt swego ostatecznego świata — swych pokoi — modelując je i kształtując na obraz swych marzeń, snów i lęków. Z tą tylko różnicą, iż w tamtym świecie dusze były raz na zawsze oderwane od siebie. Tutaj natomiast, ten „pokój” był Wszystkim w Jednym. Pozwalał na nieograniczony dostęp.

Gdy tylko Jim to pojął i wybrał coś, pokój stał się konkretnym miejscem o określonej architekturze, konturach, wyposażeniu...

Przekształcił się w olbrzymi, rokokowy hall, którymi szli on i Weinberger. A ponad nimi szybował punkcik Czerwonego Śmierci, kierując się w stronę odległego krańca olbrzymiego korytarza.

Obaj mężczyźni z uwagą rozglądali się po nowym otoczeniu.

Podłoga wyłożona była gładkim, wypolerowanym parkietem. Pod ścianami były porostawiane złożone krzesła, szerokie, obite brokatem sofy i okrągłe stoły o blatach z kontrastowego marmuru. Sufit tworzyły połączone ze sobą kopuły pomalowane na wzór błękitnego przestworu nieba pokrytego wełniastymi, białymi obłokami. Ściany, zdobione płaskorzeźbami, pokryte były przepyszną tapetą. Wzdłuż nich ciągnął się szereg wnęk czy też maleńkich przedpokoi z zamkniętymi na głucho dwuskrzydłowymi drzwiami o przepięknych zwieńczeniach w kształcie głów cherubinów, trytonów, centaurów i kiści winogron wyrzeźbionych w złożonym drewnie. Wszystko w tym hallu, sięgając aż po fałszywe niebo, było niezwykle misterne: złożone, rzeźbione girlandy, woluty, fryzy, architrawy. Natomiast nigdzie nie było okien: tylko w każdej z alków znajdowała się ciężka, ornamentowana rama; i choć w żadnej nie było obrazu — tylko puste miejsce — w jakiś sposób zdobiły tę salę. Światło było jednostronne; trudno było określić, skąd płynie, ale widać było, co oświetla.

Śmierć wleciało do ostatniej wnęki na samym końcu hallu i przysiadło na rzeźbie wieńczącej dwuskrzydłe drzwi.

Nie spuszczać ze stworzenia oka, czujny na każdy jego ruch, Jim zbliżył się do najbliższych drzwi. Zacisnął kurczowo dłonie na rzeźbionych, złocistych klamkach i mocnym szarpnięciem otworzył wrota...

XXIV

Za drzwiami rozciągał się gęsty, bukowy las. Drzewa były wielkie, o gładkich, zwężających się ku górze pniach zwieńczonych zielonymi koronami. Ziemię otulała błękitna mgiełka dzwoneczków. Środkiem tego kwietnego dywanu wiła się ścieżka niknąca pośród drzew.

Kudłaty wilk o długim, wąskim pysku z wywalonym ozorem, po którym ściekała ślina, stał dysząc na zadnich łapach, przednimi opierając się o pień drzewa. W jednej z nich ścisnął bukciek liliowych dzwoneczków. Sprawiał wrażenie stworzenia, które ukończyło właśnie długą gonitwę i tę nonszalancką pozę przyjęło dopiero przed chwilą.

Ujrawszy dwójkę przybyszy wilk, szczerząc zapraszająco swe oślinione kły, oderwał się od drzewa i wciąż na tylnych łapach, ruszył w ich stronę. Nadal trzymał w przedniej łapie bukciek kwiatów. Jim pospiesznie zatrzaskał drzwi.

— Otwórz jeszcze raz — odezwał się Weinberger.

— Co?

— Coś mi przyszło do głowy. Otwórz.

Jim ostrożnie uchylił drzwi, po czym otworzył je na oścież. Bukowy las i pokryta dzwoneczkami polana zniknęły. Ich miejsce zajmował potężny, otoczony fosą zamek wzniesiony na polanie pośród dębowego lasu. Za ciemną linią boru, skrząc się oślepiąco w słońcu, piętrzyły się strome, potrzaskane turnie z lodu lub ze szkła. Przypominający dinozaura smok wybiegł w podskokach na polanę ziejąc ogniem. Z zamku natomiast, na ogromnym rumaku dudniącym kopytami po belkach zwodzonego mostu, wyjeżdżał rycerz. Pochylony w siodle, z wysuniętą kopią pędził na spotkanie potwora. Zaś w oknie najwyższej wieży stała królowna. Z jej wysokiego, spiczastego nakrycia głowy spływała zwiewna mgiełka welonu.

— Kraina Czarów! — wykrzyknął Weinberger. — Wszystkie baśniowe krainy...!

Jim zatrzaskał drzwi, zanim jeszcze rozpoczął się pojedynek rycerza ze smokiem. Po chwili znów otworzył podwoje.

Ogromna pieczara z przepływającą jej środkiem rzeką... Na kamiennej podłodze wa-

łały się kości. W klatce uplecionej z wikliny uwięziona była płacząca, załamująca ręce dziewczica. Olbrzym, trzymający na ramieniu nabijaną gwoździami maczugę, wyciągnął natychmiast wolną rękę w ich stronę. Jego pięść z łomotem wyrznęła w drzwi, na które Jim i Nathan rzucili się jednocześnie całym ciężarem swych ciał. Chwilę zmagali się z napierającym olbrzymem, aż w końcu udało się im zatrzasnąć wrota. Napór z tamtej strony natychmiast ustał.

Weinberger chwycił Jima za rękaw marynarki i poprowadził szybko do następnej wnęki z podwójnymi drzwiami

Te Weinberger otwierał już dużo ostrożniej.

Przed ich oczyma przemknął biały królik ubrany we frak i gorączkowo spoglądający na kieszonkowy zegarek...

I znów: odrażająca, limonowozielona, o okrągłych, wytrzeszczonych oczach ropucha pełzła niezdarnie brzegiem porośniętej pierzastymi zaroślami wierzb, przewijającej się zakolami rzeki. Żaba paradowała w słomkowym kapeluszu ze wstążką w barwne paski, krzykliwej marynarce w kratę i musztardowożółtej kamizelce. Paliła ogromne cygaro...

Ruszyli do kolejnej wnęki.

Tutaj otwarte drzwi wprowadziły ich w jakieś miasto przyszłości lub zgoła z innego świata. Stanęli, patrząc w dół, na platformie umieszczonej na szczycie wysokiej, smukłej wieży. Mosty o pajęczej konstrukcji spinały odległe brzegi purpurowoczerwonych kanyonów. W powietrzu unosiły się dziwaczne pojazdy machające na podobieństwo ptaków metalowymi skrzydłami. Słońce stojące wysoko na niebie miało kolor amarantowy i było przerażająco rozdęte. Gdy w chwilę później ponownie otworzyli te same drzwi, szkliste pająki rozmiaru kamienicy unosiły się pod fioletowym niebem ponad brązową pustynią. W ich rozległe, zwisające pajęczyny wpadały kanciaste, białe ptaki...

— To drzwi do poszczególnych rodzajów literatury — odezwał się Weinberger. — Zestawy fikcji. Wyobrażenia. Płody swobodnej imaginacji. Żadne piekła, żadne czyścice, lecz wyobrażenia. Wyobrażenia ludowe, osobiste.

Lecz za kolejnymi, podwójnymi drzwiami znaleźli najnormalniejsze w świecie periferie wielkiego miasta z drewnianymi domkami o bielonych ścianach i stromych dachach pokrytych zieloną dachówką, okolonych wdzięcznymi trawnikami i żywopłotami. Uliczkami osady ciągnęła właśnie barwna i szumna parada z dziewczętami w roli doboszów i orkiestrą dętą...

— To chyba wspomnienie codzienności — monotonii i szarości życia?

— Zapewne — roześmiał się Jim. — Donośna to monotonia.

— Czyż więc jest to miejsce, do którego wraca się na noc, po tych walkach ze smokami i oswoadzaniu dziewczyc?

— Sądzę, że może być to raczej miejsce uprawiania seksu grupowego, lub czarnych mszy.

— Możesz być pewien, że każda czarna msza, która by się tutaj odbyła, przyniosłaby oczekiwany skutek.

— Więc może to Horrorville? Lub Sexville!

To, na co natknęli się za kolejnymi drzwiami, było po prostu niezrozumiałe, jeśli traktowałoby się to inaczej niż czystą abstrakcją. Bezlik kolorowych, pulsujących ostrym blaskiem światełek roił się wokół olbrzymiego, trójwymiarowego liczydła, a całą przestrzeń wypełniała lawina zmieniających bezustannie natężenie i barwę tonów muzycznych...

— A gdyby tak przejść na drugą stronę tych drzwi? — spytał Weinberger. — Czy moglibyśmy wrócić?

— Czy ja wiem? — wzruszył ramionami Jim. — Może. Prawdopodobnie. Ale nie przybyliśmy tu dla podziwiania pięknych widoków!

Rozmawiając zbliżali się zwolna ku ostatnim drzwiom, przy których oczekiwało Śmierć. Przyśpieszyli więc kroku iż niebawem stanęli przed podwojami, a siedzące na portalu Śmierć płaczliwie zapiszczało.

— Chce wejść do środka — mruknął Weinberger. — Ale kto w takim razie zazwyczaj otwiera mu drzwi?

Czujny na każdy ruch stworzenia ponad głową, nie spuszczać zeń oczu, Jim sięgnął do klamki w kształcie baranich rogów. Pociągając do siebie oba skrzydła drzwi otworzył je na oścież, dając jednocześnie krok wstecz. Śmierć natychmiast śmignęło na drugą stronę, do krótkiego, szerokiego korytarzyka.

Po około trzydziestu stopach korytarz kończył się w perłowej przestrzeni. W jej środku unosiło się coś, co wyglądem przypominało dziecięcy rysunek płonącej niewielkimi, czerwonymi płomykami korony rozłożystego, rosochatego drzewa lub korzeni wyrwanego z ziemi i odwróconego do góry nogami krzewu. Obserwując dłużej ów dziwny twór spostrzegli, że niektóre „liście” odrywają się i odlatują jak czerwone meteory zostawiając za sobą czerwone smugi. Inne z kolei, niczym ogniste strzały, nadlatywały gdzieś spoza perłowej przestrzeni. Nie były to jednak ani liście ani ogniki. Były to roje — setki, tysiące — czerwonych Śmierci bądź to opuszczających swe grzędy w tej dziwnej ptaszarni, bądź powracających do niej. W każdej chwili kilkanaście stworzeń ulatywało w przestrzeń; w każdej chwili kilkanaście z nich wracało na swoje miejsce.

W połowie korytarza wznosił się złocisty bambusowy parawan przywodzący Jimowi na myśl piszczałki kościelnych organów. Spoza tej zasłony wyłonił się wysoki, czerwony anioł.

Nie był to anioł w ludzkim pojęciu; nie był to ani mężczyzna, ani kobieta z białymi skrzydłami.

Liczył sobie ponad sześć stóp wzrostu. Jego ciało i członki były cienkie i sztywne,

przywodzące nieodparcie na myśl groteskowego owada, a wyrastające mu z grzbietu skrzydła były skrzydłami ćmy zwanej trupią główką. Głowa była nieproporcjonalnie masywna w stosunku do reszty ciała, o wielkich, złożonych oczach i niewielkiej chrząstce zamiast ust. Emanowała od niego jakaś niepojęta moc i siła — i światłość. A czerwony był jak Śmierć.

— Nie bójcie się — rzekł anioł ćwierkającym głosem, lustrując ich bacznie swymi niesamowitymi oczyma.

— Postać, w jakiej przed wami stoję, nie jest dokładnie taką, jaką posiadamy w rzeczywistości. Mogłem też wprawdzie ukazać się w postaci całkowicie ludzkiej, lecz to mogłoby doprowadzić do nieporozumień. Dużo lepiej, gdy widzicie mnie w obcej postaci. To powinno ułatwić wam zrozumienie sytuacji.

— Jakiej sytuacji? — spytał Jim. — Kim jesteś?

Już gdy zadawał to pytanie, wiedział, że jest to tylko automatyczna, odruchowa reakcja na słowa obcego. Jak długo ta istota nie próbuje się do nich zbliżyć, są bezpieczni. Tymczasem.

W perłowej przestrzeni czerwony rój pulsował nieustannym ruchem na unoszącej się w powietrzu sieci. Bez przerwy, jakby na dźwięk słyszalnych tylko dla nich sygnałów, jedno lub dwa stworzenia odlatywały, a inne pojawiały się zajmując opuszczone miejsca... A więc anioł był ich Mistrzem: prawdziwym Mistrzem Domu Śmierci, lub przynajmniej jednym z Mistrzów.

— Czy moglibyśmy sobie gdzieś przysiąść? — spytał bardziej praktyczny Weinberger. I wskazując głową na przestrzeń pełną rojących się Śmierci dodał:

— Gdzieś dalej od tego.

— O tak. Jeśli wrócić do Długiego Hallu, który samiście ukształtowali, pójdę z wami. W przyzwoitej odległości.

— Czy naprawdę istniejesz? — zapytał Jim, obawiając się odwrócić plecami do istoty.

Anioł zafalował skrzydłami, może zniecierpliwiony, a może ubawiony pytaniem.

— To zbyt wielki problem, by mówić o nim w korytarzu, skoro twój przyjaciel umiera z pragnienia, by usiąść...

Czy „umiera, by usiąść” miało być żartem? Jeśli tak, jeśli anioł potrafił żartować, to przypuszczalnie można mu zaufać. Ale jeśli był Mistrzem Śmierci, który więził dusze...

— Jeśli chcecie wszystko zrozumieć — dodał anioł — musicie mi wprawdzie opowiedzieć o sobie. Musicie dokładnie wyjaśnić, jak dostaliście się do mnie — dlaczego i w jakim celu.

— Ale czy starczy nam czasu?

— Czas! On pyta mnie o czas! Nawet nie wiecie ani co to czas, ani co nieczas! Albo przestrzeń i nieprzestrzeń, jeśli już o to chodzi. Czy po to przebyliście tę całą drogę

— pytam was poważnie — by natychmiast wracać, poznawszy wyłącznie to, co spodziewaliście się zobaczyć i poznać?

— W porządku. Przepraszam, chodźmy zatem i usiądźmy.

Jim ruszył za Weinbergerem w kierunku długiego hallu; za Jimem podążał anioł.

Podczas gdy dwaj mężczyźni zajmowali miejsce na jednej z wybitych brokatem sof, anioł zbliżył się do ściany i zaczął ją z uwagą opukiwać nasłuchując bacznie, jakby sprawdzając jej solidność. W jednym miejscu ściana odpowiedziała pustym echem i anioł przekreślił jakiś występ. Zawieszona na ukrytych zawiasach płyta opadła odsłaniając wnękę z kwartową butelką whisky, trzema szklaneczkami i wiaderkiem lodu.

— Jak podać truciznę? — spytał anioł.

— Czystą — odparł Weinberger. Anioł napełnił szklaneczkę na wysokość dwóch palców i z przesadną galanterią, niemal upuszczając szklankę na ziemię, wręczył ją Weinbergerowi.

— To właśnie ta whisky, o której marzyłeś w chacie — szepnął Jim. Weinberger bez wahania przełknął połowę zawartości naczynia, zostawiając resztę na potem.

— I co z tego?

— W takim razie nie jest realna.

— Dla mnie smakuje wystarczająco realnie.

— Czystą czy z lodem? — anioł z kolei zwrócił się do Jima. — A swoją drogą to zdumiewające, jak ci, którym zależy na czasie, potrafią ten czas marnotrawić. Oczywiście, jest to miejsce, które sami ukształtowaliście. Sam i je określiliście. A ja jednak dzielę je z wami. Taka jest już natura tego miejsca: może być wspólnie użytkowane.

— Czystą, proszę — odparł Jim.

Anioł nalał i podał mu szklaneczkę, znów parodiując elegancję i dobre maniery.

— Co za marnotrawstwo lodu — zaznaczył przy tym. — Bo skoro jest, to ktoś musiał go przecież pragnąć. Może ja sam? — anioł sięgnął do kubelka i wyjął kostkę lodu. Włożył go do swych ust-chrząstki i rozgryzł. Następnie nalał sobie whisky.

A więc anioły popijają sobie ze zmarłymi?

Jego skrzydła lekko zadrżały.

— Interesujący smak — zupełnie jakbym spijał brązową elektryczność.

— Znaczy, zazwyczaj pijasz elektryczność?

— Elektryczność należy do przestrzeni, mój drogi, a tu istnieje nieprzeprzeź. Może jednak byśmy się sobie przedstawili, co? To ułatwi nam kontakt, gdyż wy, ludzie, wszystko oznaczacie nazwami.

To samo powiedział Jimowi Ananda...

— Nazywam się Jim.

— A ja Nathan.

— Mnie możecie nazywać Tulipan.

— To zupełnie bezsensowne imię! — zaprotestował Jim. — Ani trochę nie przypominaś tulipana.

— Tym lepiej! Nasze prawdziwe imiona są znakami naszego istnienia i wszelkie słowo jest tu bezużyteczne. Lecz może masz rację... Jak myślisz, jakie imię najbardziej by do mnie pasowało?

— Ćma Trupia Główka.

— Zbyt dużo słów — jak tego lodu. Jak myślisz, czy...?

— Al — zasugerował naraz Weinberger. — Od alienacji.

— A może... Lal? Czemu nie? Będę więc nazywał się Lal. A więc teraz wyjaśnijcie mi dokładnie, jak tu dotarliście, po co, i jakie wyciągacie wnioski?

— Ty jesteś twórcą klatki, Nathan. Ty mu powiedz.

Gdy Weinberger wyjaśniał, Lal stojąc ze szklanką zaciśniętą w swej szponiastej łapie, drugą rękę położył na półce z trunkami. W trakcie opowieści kilkakrotnie napełniał swoją szklaneczkę.

XXV

Gdy Weinberger skończył, Lal rozdzielił do trzech szklanek tę odrobinę whisky, która pozostała w butelce. Anioł przestał już dbać o zachowanie dystansu między sobą a ludźmi. Wręcz przeciwnie, usiadł obok nich na skraju sofy obejmując swym cienkim ramieniem szyję Weinbergera. Ten, co trzeba mu zapisać na plus, nawet się nie uchylił.

Anioł się urznął, pomyślał Jim. To ci dopiero historia: wyobraziliśmy sobie, i tym samym powołali do życia, obcego, pijanego anioła.

— No tak, teraz już wszystko jasne — odezwał się Lal. — Postawiliście całą sprawę na głowie odwracając na dodatek tyłem do przodu. Niemniej muszę przyznać, żeście w sposób nader sprytny trafili tutaj, a wymyślając to „tutaj”, sprawiliście zarówno sobie, jak i mnie, bardzo dużą radość.

Uniósł wolną rękę z toastem.

— Wasze zdrowie, istoty ze zwyczajnego życia, które dotarły żywe aż do tego miejsca! Więc uważacie te czerwone stworzenia za pasożyty tuczące się konającymi świadomościami ludzi? Sądzicie, że ciskają one dusze zmarłych, niczym nawóz, w kryształową mgłę po to, by zapładniać nimi owe kryształy? Pytam więc: po co miałyby to robić? Jaką by z tego odniosły korzyść? Co, Nathan?

— Odzierają schwyte dusze z uczuć i emocji żywiąc się tymi fałszywymi zdarzeniami, które dusze te same sobie wytwarzają. To jest właśnie nektar tych czerwonych stworzeń. To ich zabawa, rozrywka.

— A więc kim jestem ja? Wypada z tego, że głównym aranżerem tego przedstawienia! A może to w ogóle my, aniołowie właśnie, żywimy się i czerpiemy radość ze zgonów ludzkich, podczas gdy owe czerwone maleństwa pełnią wyłącznie funkcje chłopców na posyłki, rajfurów w kryształowych burdelach? Stworzenia te, nawiasem mówiąc, są naszymi własnymi, sztucznymi dziećmi. Tak, przyznaję to. My nimi kierujemy.

Jak się słusznie domyśliliście, gdy istota ludzka umiera niespodziewanie, nasz czerwony posłaniec nie dociera do niej w porę, mimo że jest szybki! Istota ludzka bowiem, która umiera nagle, nie wytwarza feromonu śmierci, który jest — jak wy dwaj, jedy-

ni zresztą z całego waszego gatunku, prawidłowo określiliście — psychochemicznym aspektem umierania. To on rzeczywiście ostrzega inne żywe stworzenia o zagrażającej śmierci. Lecz w rzeczywistości jego rola jest jeszcze istotniejsza dla osoby umierającej! Odrywa bowiem umierającą duszę od cieni zwyczajnego świata neutralizując ów czar zwyczajności i swojskości. Feromon otrzeźwia duszę — w przeciwnym razie może ona po prostu zostać uwięziona na ziemi jako upiór, jako duch.

— W takim razie ileż takich nieotrzeźwionych duchów musi nawiedzać Rosję i Chiny — mruknął Weinberger.

Lal pogroził mu palcem.

— Rzecz jasna, nie każdy, kto umiera gwałtowną śmiercią, automatycznie staje się duchem. W takim bowiem przypadku już od dawna wasz świat byłby nimi przepełniony. W rzeczywistości los taki spotyka tylko niewielką liczbę ofiar nagłych wypadków. Widzicie, feromon jest ewolucyjnym śladem dawnych czasów, gdy wasze dusze były dużo mniej koherentne niż obecnie. W owych zamierzchłych czasach wiele z nich przechodziło po śmierci w ziemię, w drzewa, w skały, w kamienie. Stąd właśnie wzięły początek wasze duchy ziemi, magia ziemi, karni Japończyków, etcetera. Feromon wykształcił się ewolucyjnie właśnie wtedy, gdy wasze dusze były stosunkowo słabsze niż obecnie.

Tak czy owak, załóżmy, że ci nasi mali przyjaciele nie zdążą na czas. Co wtedy?

— Już chyba lepiej byłoby zapaść się w otchłań, niż przez wieczność znosić piekło lub czyściec — odparł Jim.

— Och, co za brak wyobraźni! Nic dziwnego, że wszystko, na co było was stać, to tylko ten obrzydliwy, w okropnym guście przestronny hall. Co więcej, już wcześniej ukształtowany przez was świat nie był nawet należycie okrzepnięty. Choć muszę przyznać, że spowodowane to było tym, iż trafiliście w ten kryształ żywi. Lecz z drugiej strony owemu nieokrzepnięciu właśnie zawdzięczacie, że ów świat nie zatrzęsął się na dobre — z wami w swoim wnętrzu.

Opróżniwszy szklankę, Lal odstawił ją hałaśliwie na podłogę.

— Za mało whisky, za mało — mruknął. — Stanowczo i wasz zmysł gospodarności pozostawia wiele do życzenia. Świadczy o tym również zuchwała wędrówka o głodzie i chłodzie pośród dziczy! Och, nie przejmujcie się moją bezceremonialnością. Ja tylko tak mówię. Ale wiercie mi, rozmowa z wami to naprawdę ogromna przyjemność. To takie niecodzienne. Ach, wyśpiewam to, wytańczę w nieprzestrzeni! Czy myślicie, że zachowuję się jak niespełna rozumu? Jak artysta wyższego rzędu, który rzeźbi duszę? Chyba to dobrze, że nie ma więcej whisky...

— Ale, wróćmy do pytania: gdzie — właśnie, gdzie — waszym zdaniem, udają się te wszystkie dusze zmarłych śmiercią nagłą i gwałtowną? Co się z nimi dzieje, jeśli nasze własne, małe Śmierci nie zgarniają ich przecinając im pępowinę i wiedzą — wbrew ich woli — do wybranych miejsc? Jak już wam mówiłem, we współczesnych czasach dusze

są stosunkowo silniejsze. Stosunkowo.

— Jeśli nie stają się duchami — odparł Jim — a mówiłeś, że w ogromnej większości nie stają się, to zapewne wnikają w kryształową mgłę.

— Lecz nie są w stanie jej przebyć, drogi panie. O nie! Bardzo niewiele z nich ma dość rozumu lub intuicji, by choć spróbować. Lecz nawet te, które podejmują taką próbę skazane są z góry na zatrąę. W obecnych dniach bowiem mgła jest niesłychanie rozległa.

Oczywiście słowa „dni” używam umownie! Rozumiecie chyba, że tutaj czas płynie odrobinę inaczej! Dni i godziny należą do królestwa słońc, światów i wszystkich innych zegarów zwyczajnej przestrzeni. Tak naprawdę, to przebywacie tutaj dopiero drobny ułamek sekundy, choć jeśli chodzi o czas, który tu spędziliście...

— W kryształ, do którego zabłądziliśmy, nie mogliśmy spędzić więcej jak godzinę, a jednak po powrocie...

— Nie miejcie do mnie pretensji o wasze błędzenie! Ach, ależ jestem krewki... Ale to wina tego trunku — anioł potarł czoło.

— Twierdzisz zatem, że te wszystkie małe Śmierci mają przeprowadzać ludzi bezpiecznie przez tę mgłę — która w przeciwnym razie schwytałaby ich w pułapkę? Mgła nie ma z wami nic wspólnego? Jest czymś, co właśnie nas oddziela — jest wrogiem?

— Dokładnie tak, Jim. Nie wiedziałeś tego, ale to my właśnie jesteśmy waszymi najlepszymi przyjaciółmi. Oczywiście lepiej, że tego nie wiecie. Bo cóż to by się działo! Od chwili narodzin stalibyście w kolejce do eutanazera, by w ten sposób uniknąć niespodziewanej śmierci. O, już ja znam zamiłowanie waszego małego światka do przesady we wszystkim. Zapewniam cię, że znając prawdę, szybko doprowadzilibyście do zagłady cały swój gatunek. Już dużo lepiej, gdy tylko nieliczni z was idą na zatracenie, niż miałyby zginąć cała wasza rasa.

— Już raz byliśmy niezwykle blisko tego.

— Podczas ostatniej, wielkiej wojny atomowej? Faktycznie. W wyniku tej kretyńskiej wojny przerażająco wzrósł nacisk. Mgła rozrosła się nagle do niebywałych rozmiarów. Już w poprzednich wojnach wymordowaliście dość ludzi, by przysporzyć nam poważnej troski. Ale tym razem przebraliście miarę. Nasze małe Śmierci, mimo że zwijały się jak w ukropie pracując ponad swe możliwości, nie nadążały nawet za tymi, którzy umierali powoli, jako pokłosie tej cholernej wojny. Bo musicie wiedzieć, że liczba Śmierci jest ograniczona, ustalona w oparciu o przeciętną liczbę zgonów — jak ongiś u waszych towarzystw ubezpieczeniowych... ep!...

Lal czknał. Choć jego wymowa wciąż jeszcze była płynna, to Jim odniósł wrażenie, że anioł już całym ciężarem ciała wisi na ramionach Weinbergera. Najwidoczniej whisky działała nań nadspodziewanie silnie, a Lal wypił większą jej część. Czy zdążą — nim ten całkowicie ulegnie wpływowi alkoholu — wydobyć z Lala całą prawdę o jego świecie? A

może wszystko sprowadzało się do jednego: oni nie są w stanie poznać całej prawdy?

Lal poklepywał rytmicznie ramię Weinbergera. Jak metronom.

— To całe wasze społeczeństwo Dobrej Śmierci jest jednak wspaniałą rzeczą. A co więcej, to my właśnie mamy na to wpływ. Nie możemy wprawdzie bezpośrednio stykać się z żywymi ludźmi, nie licząc oczywiście przypadków takich jak ten, moi drodzy, ale mamy wpływ imaginacyjny — jakkolwiek impuls otwierający nam tę waszą imaginację daliście sami. Myślę o wojnie.

— Nie próbuj mi wmawiać, że miałeś wpływ na twórczość Normana Harpera! — wykrzyknął Weinberger. — Nie opowiadaj, żeś jego mużą!

— Niezwykle skrytą mużą... W przeciwnym wypadku, domyślasz się chyba, unieczwilibyśmy swoje własne plany. Gdyby tylko człowiek wiedział, że istnieje poza śmiercią jakiś inny stan, a jego alternatywą jest zatopienie w kryształowej kuli — niczym muchy w bursztynie — to co, wszyscy natychmiast poddalibyście się eutanazji, prawda? Nasze maleńkie Śmierci nigdy nie podołałyby takiemu zadaniu. Byłby to stan ucieczki, hysterii. Zresztą to właśnie wasze histeryczne usposobienie popycha was do wojen. To się trzyma kupy.

— Norman Harper — jęknął Weinberger. — Ten... ten hochsztapler słowa...

— Tylko nas już nie wiń za mierny poziom estetyczny — Lal zachnął się, dotknięty uwagą Weinbergera. — Harper jest popularny, nieprawda? Ogólnie biorąc — choć przykro mi o tym mówić — wasza wyobraźnia jest, delikatnie mówiąc, mniej niż uboga. Ale do przyjęcia, do przyjęcia... Myślę, że bierze się to z waszego życia życiem przykutym do świata. Więc też nie biczujcie siebie zanadto z tego powodu. Poprawcie się z czasem — gdy uświadomicie sobie możliwości. „Skrzydła myśli potrafią latać”. Osobiście ganiłbym waszą wyobraźnię za to, że komercjalizm tak długo kalał sztukę. Wytwo-ry swej wyobraźni pakowaliście w puszki jak brzoskwinie, z barwnymi, atrakcyjnymi etykietkami na wierzchu, a słodkim syropem w środku. A z drugiej strony my, mieszkańcy całkowicie wymaginowanej krainy... ale może nie powinienem się po pijanemu przechwalać — Lal poruszył nogą przy okazji przewracając pustą szklankę po whisky. Spojrzał w dół.

— Ale do trunków to wam wyobraźni nie brak... Chyba pójde spać.

— Nie! — krzyknął błagalnie Jim.

Oczy anioła — i bez whisky czerwone — obecnie jeszcze bardziej nabiegły krwią.

— Pomyśleć tylko, że strzelając do Harpera, wepchnąłem go w jeden z tych przeklętych kryształów — mruknął pod nosem Weinberger.

— Może w jakiś kryształowy Parnas? — poklepał go pocieszająco po ramieniu Lal. — Jak więc widzicie, braciszku, wasze poszukiwania były z gruntu fałszywe. Najlepsze, co możecie zrobić, to poddać się i łagodnie umrzeć. Wtedy powrócicie tutaj w sposób naturalny, prowadzeni przez nasze maleńkie Śmierci. W ten sposób zrobicie najlep-

szy interes.

— Na czym ten interes polega? — szybko zapytał Jim.

— Powiedz mi, Jim, mój braciszku, jak ci się podobała nieprzeźren? Przez „nieprzeźren” rozumiem tę strefę, w której znajdowaliście się, zanim jeszcze wyimaginowaliście sobie ten pustawy raczej westybul.

Jim zastanowił się.

— Była to jakby nieskończona liczba możliwych miejsc — światów, pokoi, sam nie wiem jak to nazwać — które koegzystują ze sobą. Można sobie wybrać jedno z nich. Można wejść do któregośkolwiek, które...

— Które sobie wyobrażasz — przerwał mu bezceremonialnie Lal zataczając wolną ręką szerokie koło. — Ponieważ to wspólne miejsce, nie możesz nie widzieć drzwi do innych możliwości. Są one jednak za zamkniętymi drzwiami, nieprawdaż? Obrazy w ramach powinny być twoim katalogiem — twoim ekranem, twoim oknem — ale wszystkie one są ślepe, puste. Nieprzeźren, Jim, to królestwo nieskończonej wspólnej wyobraźni, w której objawiają się światy i włości jako akt twórczego geniuszu. Jest to miejsce, gdzie nigdy nie będziesz samotny, ponieważ wszystko ma dostęp do wszystkiego. Jest to miejsce, gdzie oddajesz całe światy innym; dla przygody, dla nauki, dla zabawy czy ze strachu — który też jest zresztą formą zabawy — a inni z kolei oddają ci to samo. Jest to ostateczne miejsce wolnej energii twórczej, wspólnej dla wszystkich istot. Wkrótce nauczysz się otwierać w pełni świadomie wszystkie drzwi, aż nie będziesz już ich potrzebował — a jeśli je pozostawisz, to tylko jako użyteczny konwenans. Jak wiesz, rymowany.

— A co w takim razie z tymi cholernymi kryształami?

Lal obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, jakby pytanie było co najmniej niedorzeczne.

— Przypuszczam, że ewolucja w waszej małej kieszonce istnienia sprowadza się do walki o byt, o wzajemny stosunek łupu i łupieżcy? Tak jest! Jak inaczej mogłoby się cokolwiek w pełni rozwinąć? Tylko poprzez współzawodnictwo. Czemu więc uważasz, że tutaj, po waszej ziemskiej śmierci, miałoby być inaczej? Otóż jest tak samo, mój synu. Lecz tutaj stawka jest wyższa niż w tamtym życiu. Dużo wyższa. Schwytana ofiara zostaje bowiem w tym, co wy, ludzie, nazywacie Piekłem.

— Zatem kryształowa mgła jest Piekłem?

— Żywym Piekłem, w takim sensie oczywiście, w jakim wszystko tutaj jest „żywe”. Co również oznacza, że jest ono śmiertelnie poważne — jak my wszyscy. Jak zauważyłeś, nieprzeźren składa się z nieskończonej liczby części wynikających jedne z drugich i koegzystujących ze sobą. Mgła jest również rdzennym mieszkańcem nieprzeźreni. Tu powstała, tu się rozwinęła. Jest jednak ultymatywnym rozłączeniem. Jeśli tylko jakaś jej część uwięzi cię, należysz już do niej bezpowrotnie. Nie zdołasz osiągnąć wspól-

noty nieprzeźreni. Och, ileż się tej mgły nagromadziło wokół waszego świata! Ależ się rozprzeźreniła, nim wzięliśmy sprawę w swoje ręce! Poważnie naruszyła równowagę ekologiczną nieprzeźreni. Z tego też powodu musieliśmy rozmnożyć — z samych siebie — całą naszą ptaszarnię małych Śmierci. Czyż nie jesteśmy zatem szczodrzy i altruistyczni — skoro cała nieprzeźren jest miejscem wspólnoty? Lecz muszę wyznać szczerze, iż my również mamy w tym swój interes. Mgła stawała się nad wyraz uciążliwa. Rozprzeźreniała się zbyt szeroko.

— Szczodrzy? — jak echo powtórzył Weinberger. — Szczodrzy? Jedno z waszych małych Śmierci uzdrowiło mnie. Byłem chory, nieuleczalnie chory... Tak, ja też sądzę, że jesteście szczodrzy!

Lal zdjął rękę z ramienia Weinbergera i próbował stanąć na nogach. Za drugim razem mu się to udało. Stał kilka chwil chwiejąc się na nogach. W końcu zamachał skrzydłami, by złapać równowagę i pół-lecąc, pół-idąc ruszył w stronę drzwi. Włożył dwa szponiaste palce do ust i zagwizdał przenikliwie.

XXVI

Przez drzwi, niczym świetlista błyskawica, wpadło Czerwone Śmierć. Zatrzymawszy się gwałtownie w locie, niczym sokół opadło na przegub dłoni anioła.

Lal zagwizdał jeszcze kilka razy i w hallu pojawiły się kolejne stworzenia. Wlatywały przez odrzwia i krążąc jak małe, ruchliwe płomyki przysiadły na rzeźbach, portalach i ślepych ramach obrazów.

— Jeśli chcecie znać moje zdanie — mówił Lal — to Śmierć tylko próbowało się od was uwolnić. Bo jesteście żywi i tak dalej. Uwikłaliście Śmierć imaginacyjnie w supeł waszej śmierci. Biedne maleństwo, żeby się wyswobodzić, musiało najpierw ów supeł rozwiązać. Co zamierzaliście uczynić z maleńkim Śmiercią — pokazywać w ZOO? Co za szalony pomysł: więzić Śmierć w klatce, podczas gdy to ono jest właśnie wytrychem, którego szukaliście!

Jim wodził rozbieranym, nerwowym wzrokiem za napływającymi wciąż nowymi stworzeniami.

— Lal, mówiłeś, że nieprzestrzeń jest miejscem...

— Wszystkimi miejscami, jakie tylko jesteś w stanie sobie wyobrazić.

— Mówiłeś, że jest to takie miejsce wspólnoty, ale zarazem zajadłej walki o byt. Jak to ze sobą pogodzić?

— Wspólnota walki: czyż to nie wspaniała definicja żywej ekologii? To samo dotyczy również ekologii śmierci. Sądzę, że rozumiem twój punkt widzenia. Niepokoi cię okrucieństwo i ucisk — wyzysk jednej istoty przez drugą. Zapewniam cię, że takie rzeczy tutaj się nie zdarzają. Prześcigamy się bowiem, współzawodnicząc o to, by kreacje naszego świata posiadały jak najwięcej powabów: walczymy o ich atrakcyjność, pomysłowość. Im są one lepsze, tym więcej istot pragnie je dzielić, czerpać z nich przyjemność, spełniać się w nich bez reszty, a nawet cierpieć. Kryształowej mgły natomiast jest to zupełnie obce. Ona jest jak wirus, który pragnie wyłącznie się reprodukować. Mgła skryształowała by nieprzestrzeń w oddzielne, absolutnie odizolowane od siebie komórki. Zamroziłyby wyobraźnię w nieskończoność powielających się wzorów — w autoświaty.

Lal uniósł rękę z wczepionym w nią Śmiercią.

— Ono was poprowadzi z powrotem do domu. Inne będą towarzyszyć jako eskorta. Pośpieszcie się! Mam wrażenie, że wasz czas się kończy.

— Sam mówiłeś, że czas nie gra roli.

— A czegoś chciał, wycieczki w nieskończoność? A co do czasu, to jest on różny — kurczy się i rozciąga. Raz jednak chwila jest milionem lat, a czasem jedno popołudnie — chwilą. A teraz, moi kumple od kieliszka, szklanki są już puste, a ja mam swoje ważne sprawy. Zatem wszystkiego dobrego i, jak mówi poeta: łagodnego odejścia. A ponieważ po powrocie nikt wam nie da wiary, nie starajcie się niczego tłumaczyć, zgoda? Po prostu — odejdźcie łagodnie. Wtedy wkrótce wrócić, ale już głównym wejściem.

Podrzuciwszy Śmierć w górę, Lal wspiął się na czubkach palców i zatrzepotał skrzydłami. Unosząc się w powietrzu anioł prześlizgnął się przez drzwi. Zrobił to nieco niezdarne, tłukąc jednym ze skrzydeł o framugę. Jimowi zdawało się, że posłyszał jeszcze ciche przekleństwo, zanim anioł zniknął za drzwiami.

— Żegnaj! — zawołał za nim Weinberger. — Cieszę się z naszego spotkania.

Śmierć zaczęło ich przynaglać pikując w ich stronę, zataczając kręgi. Inne wzleciały i coraz to pikowały w dół szarpiąc ubrania i włosy mężczyzn, zmuszając ich w ten sposób do pośpiechu.

— Nawet tutaj, w nieskończoności, wszystkim się spieszy... Dobrze, dobrze, już idziemy.

Dwójka mężczyzn zaczęła najpierw iść, potem marsz przeszedł w trucht, w końcu w bieg. A cały czas ponaglani byli przez niecierpliwą, czerwony drobiazg, który im cały czas dokuczał szarpiąc i skubiąc niczym stado szpaków ścigających parę sów. Im szybciej biegli, tym bardziej odległy wydawał się koniec hallu, tym szersza podłoga, tym wyższy kopulasty sufit. Albo sala rozdymała się do niebywałych rozmiarów, albo oni maleli. Po niewielu chwilach byli już tak miniaturowi, że stracili cały ciężar i unosili się swobodnie ponad podłogą.

Podłoga? Ściany? Przestrzeń rozciągała się wokół nich w nieskończoność: bezmiar przestrzeni o perłowym odcieniu.

A daleko przed nimi wybrzuszała się w całej okazałości ściana białej mgły... Czerwona eskorta zaprzestała swej nękającej taktyki formując obecnie, niczym stado dzikich gęsi, klucz w kształcie litery V, z małym Śmiercią-Przewodnikiem na czele. Otaczająca ich pustka była zupełna; ale to zupełna. Wkrótce ściana mgły przed nimi rozplynęła się przekształcając w bezlik płynących przestrzeni, potracających i przepychających się nawzajem kolorowych ziarenek...

Jim usiadł, wydając z siebie głuchy jęk. Czuł się, jakby ktoś przeciągał go za włosy przez zagon dzikich róży.

Weinberger również otworzył oczy. Natychmiast też wskazał palcem na sufit.

— Pilnuje nas.

— Niczego nie widzę... och, zaczekaj...

Coś czerwonego rzeczywiście niewyraźnie migotało ponad ich głowami, prawie poza możliwością postrzegania. Jim potrząsnął głową. Po chwili niczego już nie dostrzegął.

— Jest tam z całą pewnością.

— Może.

— Jeśli chcesz tego, to tak.

— Nasz anioł stróż?

— Nie, Lal był aniołem. To tylko to samopędne piórko z jego czerwonych skrzydeł; jedno z tych stworzeń. Chyba są tam nawet dwa takie.

Cokolwiek by Lal nie powiedział o kurczeniu się i rozciąganiu czasu, tutaj było późne popołudnie. Baterie magnetofonu zupełnie się wyczerpały, deszcz przestał padać, a jezioro i ziemia ponownie się rozdzieliły. Chmury ponownie należały do nieba; w ich powłoce tworzyły się dziury, przez które przedzierały się promienie słońca, padające na zmatowiałą jeszcze po długotrwałej ulewie toń jeziora; jak ruchliwe reflektory przeczesujące przestrzeń w poszukiwaniu chaty. Po chwili, jakby przegapiając przycupnięty nad brzegiem jego pokraczny kształt, znów przenosiły swe światło na powierzchnię wody.

Jim ponownie spojrział w górę, gdzie czaiły się — lub nie — małe Śmierci. Nie miał żadnej pewności, wyteżanie z całych sił oczu niewiele pomagało. Zapewne Weinberger miał bystrzejszy wzrok.

— Coś ci powiem, Nathan. Wydaje mi się, że nie mamy już powodów do dalszej ucieczki.

— Ponieważ osiągnęliśmy cel? Jim skinął głową.

— I cóż teraz powiemy naszym „przyjaciołom” za granicą, co?: „Ej, jeśli wpadniesz pod pociąg lub porazi cię prąd elektryczny, nieodwołalnie pójdziesz do Piekła! Dbaj więc o swoje bezpieczeństwo, a trafisz do swobodnych miejsc. A jak będziesz ryzykował, to po tobie, przyjacielu”. Lecz dla świata to żadna filozofia.

— Coś w tym jest, mój kolego od kieliszka. Lecz gdzie i w jaki sposób ludzie zdobywają odwagę, by po śmierci stworzyć coś częściowo wyimaginowanego w nieprzestrzeni — tego już Lal zapomniał powiedzieć.

— Racja. Ale on był tak zaferowany tym, byśmy się tutaj wszyscy wzajemnie nie pozabijali szybko, gładko i bez hałasu. A to właśnie my powinniśmy zrobić.

— Że co!!?

— Nie mówię, że w tej chwili. Nie chodzi mi, byśmy się zastrzelili. Jak mi się zdaje, na widok broni w człowieku zwiększa się wydzielanie adrenaliny. Tworzy się potrzeba obrony lub ucieczki i feromon śmierci się nie pojawia. Nie, powinniśmy wrócić do Egremont — wrócić do Domu. Poprosimy tam o natychmiastową eutanazję, ty i ja. Po tym, cośmy dokonali i czegośmy się dowiedzieli, to jedyne logiczne rozwiązanie. Pójdę z tym

prosto do Menottiego. Nie może odmówić Absolutnemu Żądaniu złożonemu zarówno przez przewodnika, jak i przez klienta. Poświadczę, że jesteś dobrze i uczciwie doprowadzony, Nathan — Jim uśmiechnął się przewrotnie. — Ja również. Ostatecznie byłem prowadzony przez te pięćdziesiąt mil głuszy i wertepów... co nie było zbyt proste.

— A co z Resnickiem?

— Prawda, twoja publiczna pokuta... Jeśli nawet Resnick nic o tym nie wspomniał Menottiemu, to z całą pewnością doniosła Sally Costello. Sądzę, że potrafię przekonać Menottiego o tym, że Resnickiem kierują wyłącznie względy ambicjonalne — a co więcej, zmuszanie ciebie w aktualnej sytuacji do publicznego występu, doprowadzić może do skandalu wokół naszego i wielu innych Domów. Gdyż to, co masz do powiedzenia, dosłownie zerwałoby z nich dachy. A co takiego? Ooo, tego to już im nie powiemy. Zostawimy ich w cholernej niepewności, a przy okazji zaskoczmy i przerażymy Resnicka. To mu dobrze zrobi.

— Przecież zawsze może odtworzyć klatkę i osobiście wszystko sprawdzić.

— Na to mu nigdy nie zezwoli Alice Huron. Poza tym ty masz kontrolę nad całym zapasem feromonu na świecie.

Weinberger uniósł rozpylacz, wciąż dyndający na wędkarskiej żyłce.

— Już nie. Nikt nie ma. Został cały zużyty. — Obliznął usta. — Jak to mówią, zabiorę tajemnicę do grobu.

— Więc zgadzasz się?

— Myślę, że tak. Nie posądzam cię o to, byś w ten chytry sposób chciał poprowadzić mnie taki kawał drogi ku dobrej śmierci.

— Och, Nathanie!

— Żartuję przecież. Doskonale sobie zdaję sprawę, że ciebie również to czeka u kresu drogi. No to jak, ruszamy? Zajmie nam to dobre dwa albo i trzy dni.

— Jeśli nadal poszukują nas samolotami, to dużo krócej. Wprawdzie machanie czerwoną flagą z czubka drzewa wiele nie pomoże, ale dym z ogniska zostanie z całą pewnością zauważony! Lecz tutaj jest zbyt gęsty las — musimy poszukać innego miejsca, wyżej położonego i bardziej odkrytego. Przecież nie przyślą po nas spadochroniarzy. Muszą przylecieć helikopterem, który wyląduje i z całą pompą zabierze nas do Egremont. Najpierw więc coś przekąsimy, a potem dopiero zastanowimy się, jak i kiedy wracać.

— Potrzebuję cukru. Muszę zjeść coś słodkiego.

Jim zanurzył obie dłonie w walizce i po chwili wyjął na światło dzienne dużą puszkę brzoskwiń opatrzoną jaskrawą etykietką, o słonecznych barwach.

Weinberger wysączył z puszeki ostatnie krople soku i delikatnie odstawił ją na ziemię.

— Jedną rzeź przegapiliśmy. Czy Lal i jego kumple nie mają zamiaru solidnie doło-

żyć kryształowej mgle? Czy nie mogą jej po prostu zniszczyć lub jakoś inaczej unieszkodliwić? Widzisz, zapomnieliśmy o to spytać. A za to daliśmy się wyrzucić stamtąd w sposób raczej obcesowy.

Jim zastanawiał się dłuższą chwilę.

— Odniosłem wrażenie raczej, że oni ją kontrolują — ekologicznie. Być może owe kryształowe komórki rozpadną się same po upływie miliona lat subiektywnych? I wtedy wszyscy uwięzieni tam ludzie wydostaną się. A może cała ta mgła osiągnie punkt szczytowy nasączenia się duszami po czym zamrze? Mam niejasne wrażenie, że dla Lala i całej reszty towarzystwa mgła znaczy tyle, co dla nas trochę chwastów rosnących na ścieżce między klombami. Ich zabawy odbywają się w kwiatach. Inna rzecz, że zielsko takie rozprzestrzenia się jak pożar...

— No, Lal sprawiał wrażenie całkiem fajnego, więc chyba przesadzasz.

— Ale skoro kryształy pochodzą z tamtych regionów, skąd się tam, po pierwsze, wzięły? Z ekologicznego punktu widzenia? Stosunek drapieżcy i łupu? Zapewne — ale może mgła żeruje szczególnie na duszach chorych, słabych, tych, które nie dojrzały w wystarczającym stopniu? Niczym antyciała, fagocyty. Być może, mgła właśnie oczyszcza nieprzestrzeń wychwytyjąc i wchłaniając w siebie takie właśnie dusze. Może oczyszcza je w swego rodzaju czyścicu? Ostatnio wyrwała się spod kontroli, ale to już nasza wina.

— Jak to?

Jim ssał w zamyśleniu palce; po chwili wytarł je o spodnie.

— Swego czasu, jeśli byłeś choć trochę sprytny i mądry, mogłeś z łatwością przedostać się przez mgłę o własnych siłach. A może i dlatego, że mgła była wiele rzadsza. Lecz nagle przeludniliśmy świat, a następnie zabiliśmy miliard osób w atomowym rozbłysku. Mgła wchłonęła ich wszystkich dzieląc się i mnożąc w nieskończoność jak podczas reakcji łańcuchowej. Teraz jest tak gęsta, że przechwytyje każdą duszę, do której małe Śmierci nie dotrą na czas. Długo potrwa, nim poznamy wszystkie tajemnice ekologii nieprzestrzeni.

— Anioły je znają. Martwi obcy.

— My jesteśmy dopiero uczniami, a nie dyplomantami Śmierci.

— Jeszcze nie!

— Ziemia jest naszym przedszkolem. Dlatego właśnie Lal nie chce, byśmy sobie nie odebrali życia — wszyscy.

— Ale my to zrobimy — wyszczerzył zęby Weinberger.

— Racja, już nie klient i przewodnik — ale partnerzy w umieraniu.

Za pozbawionym szyb oknem, częściowo już tylko pokryte chmurami niebo stało w tęczy barw zachodzącego słońca. Jeśli dopisze im szczęście, będzie to ostatni zachód, jaki oglądają. Dostyc już widzieliśmy ich w ciągu swego życia, myślał Jim, tak że możemy wyobrazić sobie jeszcze piękniejsze w przyszłym bycie.

Podjął w tej chwili decyzję.

— Zostajemy tutaj na noc, Nathan. Na zewnątrz ziemia będzie wilgotna. Nie ma sensu umierać z przeziębienia.

— Już ci mówiłem, że nie złapiesz przeziębienia... Jim parsknął śmiechem.

— Jak również nie złapiesz Śmierci. To ona złapie nas. Miejmy nadzieję.

— Nie czuję się śpiący.

— Ty nigdy nie jesteś. Ale skoro może to być twój ostatni sen, powinieneś jeszcze trochę się nim nacieszyć.

— A tak, ciekawe, czy zmarli śpią? Mam nadzieję, że nie. Chociaż czekaj, Lal twierdził, że jest senny, gdy whisky uderzyła mu do głowy.

— Jedną rzeczą, którą umarli robią na pewno, to śnią. Śnią na jawie. I dzielą te sny wzajemnie ze sobą.

XXVII

Był już późny ranek, gdy po żmudnym przedzieraniu się przez las znaleźli jakąś przecinkę. Jakkolwiek kierowali się z powrotem na południe, czy to dlatego, że deszcz pozacierał wszelkie ślady, czy też po prostu, że posuwali się w przeciwną stronę, szybko stracili orientację i zbczyli na wschód.

Dobłą godzinę posuwali się tą wyboistą ścieżyną, nim dostrzegli przed sobą górujący nad wierzchołkami sosen szczyt wieży przeciwpożarowej.

— No, to jesteśmy w domu. Teraz do roboty — Jim z zadowoleniem zatarł dłonie, jakby w ten sposób chciał skrzesać ogień.

Wieża stała na półakrowym skrawku wykarczowanego gruntu; była to smukła, drewniana konstrukcja z umieszczoną na wierzchołku budką obserwacyjną. Nadbudówka posiadała wychodzące na cztery strony świata okna, z których rozciągał się rozległy widok na ogromne połacie lasu. Otaczała ją przykryta dachem weranda, nad którą, niczym wysmukła trzcina — chwiał się długi bicz anteny. Dotrzeć na ową platformę można było jedynie po szczeblach znajdującej się wewnątrz wieży drabiny, kończącej się kłapą w podłodze nadbudówki.

Wspięli się w górę.

Budka była niemal pusta. Zarówno bateryjne radio, jak cały sprzęt obserwacyjny zostały zabrane. Pozostały wyłącznie łóżka, stół, dwa krzesła oraz metalowe wiadro.

— Te wieże obsadza się tylko w okresie szczególnego zagrożenia pożarowego — wyjaśnił Weinberger. — Wczesnym latem oraz trochę później. Teraz już zbyt jest późno, by ktoś tutaj przebywał.

W szafce znaleźli lampę naftową z zapasem paliwa, otwartą paczkę chrupkiego pieczywa smakującego już jak zetlała słoma oraz pakiet dobrze zaczytanych paperbacków o tematyce erotycznej.

Jim wyszedł na werandę. Obszedł wokół całej budkę obejmując wzrokiem rozległą panoramę, zapisując ją w pamięci jako tworzywo do światów jeszcze nie zbudowanych. Z wyjątkiem urwistych turni i pagórków, widok niczym się zasadniczo nie różnił od ob-

razu na ekranie ściennym w pokoju Weinbergera w Domu. Gdzieś na południu musiało leżeć Egremont, jezioro Tulane i czerwonozłoty dywan drzew liściastych porastających obrzeża doliny, macony zielenią sosen i świerków... ale było to niesłychanie odległe.

Wynieśli na południowo-wschodni róg werandy dwa krzesła, na których mogli usiąść obserwując niebo. Jim ponadto wyniósł wiadro, zbiornik z naftą oraz książki.

Wróciwszy do kabiny, ustawił na stole na sztorc walizkę, otworzył ją i wysypał jej zawartość. Cisnął walizkę przez klapę w podłodze, a sam zszedł po drabinie.

Po jakimś czasie był z powrotem na werandzie, dźwigając walizę wypełnioną suchą trawą, patykami i połamany gałęziami. Weinbergera zastał pogrążonego bez reszty w lekturze jednej z powieści, chichoczącego do siebie.

— Tutaj jest ogień, którego strażacy nie próbowali ugasić.

— Miałeś przecież obserwować niebo!

— Przypominam ci, że widzę dobrze kątem oka. Z tego powodu wdepnąłem w to wszystko i myślę, że dzięki temu z tego wyjdę.

Jim przykucnął nad wiadrem i poświęcając najmniej atrakcyjną z książek wyrwał kartkę po kartce wkładając je do kubła. Papier przykrył następnie trawą i gałęziami. Następnie rozsiadł się wygodnie na krześle opierając wyciągnięte nogi na balustradzie werandy. Sam również pogrążył się w lekturze, ale co jakiś czas unosił wzrok znad książki lustrując niebo. Książka, którą wybrał, nosiła tytuł *Dom Pożądania*; Jim nigdy takich książek nie czytał, ale musiał przyznać, że była nawet w pewien sposób interesująca. Inna rzecz, czy stanowiła ona odpowiednią lekturę dla kogoś, kto już niebawem miał przenieść się do świata pozagrobowego.

Weinberger zerwał się na równe nogi w chwili, gdy Jim zaczynał właśnie czwarty rozdział.

— Hejże! — krzyknął wyciągając w górę rękę.

Jim spojrział w kierunku wyciągniętej dłoni Weinbergera. Na południowej stronie nieba połyskiwał biały punkcik monoplanu. Niebawem doszedł do nich, stłumiony odległością, warkot silnika.

— Jeszcze nie... Och, rozpalaj szybciej!

Jim nalał pospiesznie naftę do wiadra i wrzucił zapaloną zapałkę. Buchnął złocisty płomień. Dorzucił parę garści trawy i sosnowych szyszek. Z kubła zaczęły się wydostawać kłęby dymu. Jim, wyczerpawszy całe drewno wrzucił teraz do ognia książkę za książką. Na końcu wyrwał z rąk Weinbergera powieść, którą ten czytał i również cisnął do wiadra. Był to zatem ogień krótkotrwały, ale cokolwiek sprośny.

— Leci!

Obaj mężczyźni wychylili się przez balustradę i zaczęli wymachiwać rękami.

Biały samolot Służby Spokoju okrążył dwukrotnie wieżę, pomachał skrzydłami i od-

dalił się na południe.

Obaj więc usiedli i cierpliwie czekali.

— Nic nie mamy do czytania — burknął z pretensją w głosie Weinberger. — Właśnie kiedy doszedłem do najciekawszego miejsca.

Godzinę później ponownie usłyszeli śpiewny warkot maszyny. I znów Weinberger pierwszy dojrzał samolot.

— Helikopter! Miałeś rację, Jim.

Śmigłowiec, muskając niemal kołami wierzchołki drzew, leciał wprost w kierunku wieży. Gdyby tak uderzył w któreś z wyższych drzew, myślał Jim, stanąłby w ogniu i eksplodował, a załogę — bez jej winy — pochłonęłaby kryształowa mgła.

Helikopter zbliżył się i zwolnił; wisiał teraz w powietrzu prawie nad ich głowami. Dwójka mężczyzn na werandzie wymachiwała rękami.

Coś na kształt rury pojawiło się w otwartym plexiglasowym okienku. Rozległ się suchy trzask, a jedna z desek balustrady rozprysła się na kawałki. Kilka drzazg uderzyło w lewą rękę Jima. Gdy obaj dawali nura w drzwi prowadzące do środka budki, rozprysła się szyba w oknie wychodzącym na południe.

Przycupnęli pod ścianą.

— To były pociski, Jim.

— Taak? No popatrz, a ja myślałem, że suszony groch.

— Próbowali nas zabić — przez zaskoczenie! Jeśli im to się uda... to nigdy nie prze-
drzemy się przez mgłę. Zostaniemy uwięzieni.

Weinberger z rozpaczą spojrział na sufit.

— Moje małe Śmierć — krzyknął — gdzie jesteś? Potrzebujemy ciebie!

Lecz sufit był pusty.

— Czemu oni, kurwa, strzelają? Pociski! Gwałt! Jak to się mogło stać?

— A ty masz akurat prawo protestować.

— Był powód, by zastrzelić Harpera — nawet jeśli był to powód fałszywy. Ale strze-
lać do ludzi jak do drapieżników! O co im chodzi?

— Odwet.

— Ze strony władz?

Jim ze zdziwieniem spoglądał na wbite w dłoń drzazgi. Weszły głęboko, zbyt głęboko, by mógł je wyciągnąć na poczekaniu. Jak w ogóle może zaistnieć odwet ze strony władz? To go również zdumiewało.

Kolejny pocisk trafił w dach przebijając sufit.

— Partacze! Czy myślą, że wisimy pod sufitem?

Wyciągając z kieszeni rewolwer, Jim pamiętał tym razem, by bezpiecznik był zwolniony.

— Postraszę ich.

— Zaczekaj: powinieneś broń trzymać mocno obiema rękami, o tak — Weinberger składający dłonie, by pokazać, jak należy trzymać pistolet, sprawiał wrażenie modlącego się o przybycie małych Śmierci.

— Gdy strzelałeś do Harpera, to nie...

— Bo był bliżej.

— Ale czy mamy prawo skazywać, choćby wrogów,

— Oni nie mają takich skrupułów.

Jim wystawił ostrożnie głowę przez okno. Helikopter silnie kołysząc się wisiał w powietrzu po lewej stronie w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp.

Jim natychmiast poznał człowieka trzymającego karabin. Karabin z optycznym celownikiem.

Noel Resnick.

A pilotem był Toni Bekker.

Przez krótką chwilę Jim i Resnick spoglądali na siebie. Resnick uniósł nagle do twarzy celownik i przymknął jedno oko, jakby mrugał znacząco do przeciwnika.

Wyskakując w światło dnia, ściskając silnie broń obiema rękami, Jim nacisnął dwukrotnie spust — celując w człowieka, nie w maszynę.

Resnick wystrzelił również.

Obaj chybili. Jim nawet nie trafił w helikopter. Obaj byli miernymi strzelcami.

Bekker cofnął helikopter o dalszych pięćdziesiąt stóp. Kolejna kula trafiła niecelnie w nadbudówkę.

— To Resnick strzela — poinformował Jim kryjąc się w budce. — Pilotem jest ten sam facet z Oktagonu, który dał mi tę cholerną broń. To człowiek Resnicka.

— Resnick? — krzyknął bardzo głośno Weinberger, jakby chciał, by jego głos dotarł do załogi śmigłowca. — Czyż nie równa się to utracie wszelkich praw przysługujących Mistrzowi?

— A czy Bekker nie zdyskwalifikował się jako Oficer Spokoju? Teraz wszystko rozumiem. Nasłała ich Alice Huron. „Nie wracaj bez skalpu, Noelu, lub ja cofnę wszystkie twoje przywileje: bungalow nad jeziorem, Mary-Ann, wszystko. Będziesz skończony”. O to właśnie chodzi. Powiedzą potem, że to my pierwsi stworzyliśmy ogień. Oni chcieli nas tylko spokojnie wziąć na pokład, a my wciągnęliśmy ich w zasadzkę i o mało nie pozabijali!

Jim wychylił się szybko przez wybite okno i oddał kolejny niecelny strzał.

— Oszczędzaj naboje, człowieku!

— „To już ostatni test, Noelu, kochanie. On pokaże, czy jesteś godny stać się Władcą, jak ja. Czy popełnisz okropną zbrodnię, by znaleźć się w naszych szeregach? To inicjacja, Noelu”. To ostatni egzamin.

— O czym ty gadasz?

— O prawdziwych, sekretnych Władcach. Nie wspominałem ci o nich.

— A teraz za późno, Jim. Oszczędzaj amunicję! By wydostać się stąd, potrzebować będziemy osłony ogniowej. Tak się to nazywało: osłona ogniowa. Posłuchaj mnie! Nie może być w to zaplątany cały Dom w Egremont ani cały Oktagon. Musimy więc oddać się w ręce zwyczajnych Urzędników. Jedyńm zatem wyjściem, jakie nam pozostało, jest uciec stąd i na piechotę dotrzeć do Egremont.

Kolejna kula zagrzechotała o deski nadbudówki.

— Musimy zejść po drabinie i ukryć się w lesie.

W górze z przejmującym gwizdem, przeleciał kolejny pocisk, całkiem tym razem chybiając. Najwidoczniej naciskając spust, Resnick za każdym razem podrzucał strzelbę.

— Będzie dobrze. Nie trafi nas. Zbyt silną ludzie czują awersję do strzelania do innych ludzi. To prawie uniemożliwia oddanie celnego strzału.

— Tobie nie przeszkadzało — mrukną Jim nie oddając jednak broni Weinbergerowi. Ten z kolei nie wyglądał na zmartwionego tym faktem.

— Schodzę pierwszy, Jim. Ty w tym czasie wystrzel trzy ostatnie naboje w helikopter. Nie przejmuj się, jeśli spudłujesz.

— Hej...

Ale Weinberger schodził już po drabinie.

Gdy od ziemi dzieliło go jeszcze sześć stóp, Nathan skoczył. Jednak źle ocenił wysokość, bo spadając, uderzył w ziemię nadspodziewanie silnie. Przewrócił się, a nogę przeszył mu okropny ból. Zawył, chwycił dłońmi skręconą kostkę i zaczął energicznie ją masażować. Ponad nim z gwizdem przeleciała kolejna kula. Najgorszy ból już mijał; na szczęście — nic sobie nie połamał. Dźwignął się z ziemi i ostrożnie obciążył chorą nogę. Ból był dotkliwy, lecz od biedy mógł biec — utykając.

Tymczasem trzydzieści stóp ponad jego głową, schodzący pospiesznie Todhunter zahaczył połą płaszcz o jakiś wystający gwóźdź, a może krokiew. Był za gruby, aby swobodnie zejść. W końcu mocnym szarpnięciem uwolnił płaszcz i oddał następny strzał na oślep.

Mocno utykając, Nathan zaczął biec po trawie w stronę zbawczej ściany lasu. Gdzież jest ten cholerny helikopter? — myślał z rozpaczą. Nie zwalniając kroku rozejrzał się wokół po niebie. Śmigłowiec przeleciał dokładnie nad wieżą, a z okienka wyrzucono jakiś przedmiot.

Minęła kolejna sekunda, nim Nathan zorientował się co to znaczy. Rzucił się w trawę zamykając oczy. Dynamit eksplodował.

Nathan na tyle odzyskał przytomność, by pojąć, że umiera. Coś przebiło go na wylot.

Czuł przerażający ból, a jednocześnie w niewytłumaczalny sposób to coś jakby zatrzymywało uchodzące z niego życie.

Najwyższym wysiłkiem woli skupił się zbierając myśli. Najważniejsze dla niego w obecnej chwili było, czy umiera wystarczająco powoli. Czy ma na tyle dużo czasu przed sobą, by jego konające ciało wytworzyło trupi pot alarmując Śmierć? Miał nadzieję, że tak. Lecz z drugiej strony, jeśli wcześniej dopadnie go Resnick, z całą pewnością zada mu coup de grace. Zwalczył w sobie uczucie bólu i na tyle był świadom sytuacji, by obawiać się takiego coup de grace.

Niezdarnie odwrócił głowę. Helikopter osiadał właśnie na trawie pośród szczątków pozostałych po eksplozji. Nathan nie słyszał ryku motoru; był kompletnie głuchy. Wieża strażacka nie istniała. Pozostały po niej zaledwie dwa czy trzy kikuty konstrukcji nośnej sterczące w niebo oraz sterta potrzaskanych desek, jakie zostały po niej i po kabinie. Najwidoczniej jedna z nich, odrzucona siłą eksplozji, przebiła jego ciało jak harpun.

— Bądź błogosławione! Jest już tutaj moje maleńkie Śmierć! Och, nie, nie, to nie ono, to krew, czerwona krew... sącząca się, rozlewająca czerwona plamą.

W chwilowej jasności umysłu Nathan ujrzał Todhuntera. W pierwszej chwili nie mógł po prostu uwierzyć oczom. Uświadomił sobie bowiem, że Todhunter ma urwaną głowę. Całkowicie.

Gdy łopatki rotoru zatrzymały się w końcu, Resnick wygramolił się ze środka samolotu. Rozejrzał się ostrożnie wokół i dostrzegł bezgłowy korpus Todhuntera. Natychmiast wymiotował na trawę.

— Chyba już dość czasu umieram. Prawda?

Oczy Nathana zaszyły różową mgłą. Czy to już leci po niego małe Śmierć? A może to Resnick...? Zebrał w sobie resztkę się i bluznął mu w twarz.

— Morderca!

Nie był pewien, czy wypowiedział to na głos. Właściwie, myślał, Resnick, Mistrz Domu Śmierci, jest zbawcą dusz.

Nathan zapadł się w czarną kipieli bólu.

XXVIII

Jim płynął. Lub leciał — sam dobrze nie wiedział. Zawładnęło nim uczucie nieopisanego zachwytu i uniesienia. Prawie całkowicie już utracił poczucie ciała. A przed nim...

Światła: wielkie, skrzące się, cudowne światła. Pałające blaskiem klejnoty. Barwne zwierciadła, w których mógł się przeglądać, przemienić się w to, co widzi. Był maleńki — a one olbrzymie — o tysiącu obliczy, o tysiącu jasnych, lecz pustych jeszcze twarzy, które przepęlniała tęsknota i żądza jednego: by nadał im własną twarz.

Nie wszystkie tęskniły, nie wszystkie go pożałowały. Uświadamiał sobie — prawie z bólem — że wiele z nich było już „pełnych”. I ogarnęło go nagle straszne przerażenie, paniczny lęk, że nie znajdzie żadnego pustego, który by wypełnił sobą.

Ale nie: im dalej leciał, tym więcej było jeszcze pustych. Mógł je wyczuć z daleka. Jak gdyby wypełniały przestrzeń wokół siebie przyzywającym światłem, o czarownej, kuszącej woni.

Mimo to jakaś nieokreślona potrzeba pchała go wciąż i wciąż do przodu.

Był Aladynem, co w jaskini przepęlnionej srebrnymi i złotymi monetami — z których wiele miało już wybity czyjś wizerunek — szuka czarodziejskiego ogrodu z drzewami kwitnącymi najwspanialszymi klejnotami.

Ogarnęła go fala wspomnień. Ze zgrozą przypomniał sobie maleńkie stworzenie podobne do robaka o ludzkiej twarzy, wleczone wbrew swej woli w dziobie czerwonej nietoperzaćmy!

Przerażenie minęło szybko, gdyż uświadomił sobie, kim ów czerwony potwór był w rzeczywistości. I wtedy załapała go natychmiast fala zwielokrotnionego przerażenia. Jego nie wleczono — nie wleczono ku zbawieniu!

Posiadał pełną świadomość tego, gdzie się znajduje. Wiedział, że umarł. Zginął nagłą śmiercią.

Mgła wydawała się dużo rozleglejsza niż poprzednim razem; a może to tylko on był nieporównywalnie mniejszy. Czuł „grawitację” kryształów, aczkolwiek było to raczej

przyciąganie nastrojów niż konkretnej masy fizycznej.

Kryształy wypełnione odpychały go emocjonalnie — i linia jego lotu była posłuszna owym uczuciom. Kryształy puste, jeszcze nie wypełnione, przyciągały go natomiast już z daleka. Lecz jak dotąd owa gra sił — odpychania i przyciągania — zdawała się równoważyć, co pozwalało mu swobodnie płynąć, jak chciał i gdzie chciał; nie chciał bowiem, by go pochwycono. Stopniowo jednak tendencja przyciągania brała górę, popychając go coraz gwałtowniej i natarczywiej.

Wszelkimi siłami starał się utrzymać dystans wobec owych natarczywie przyzywających klejnotów. Całym sobą pragnął tylko lecieć wprost przed siebie, bez zbliżania się do któregokolwiek.

Leciał tak całe godziny, a może tylko minuty. Nie istniał tu wszak żaden czas. Granica mgły musiała z całą pewnością być już blisko, lecz zarazem rosła tęsknota, rósł napór pustych kryształów! Im bliżej owej upragnionej granicy, tym więcej pustych kryształów.

Lecz gdzież się podziała próżnia poza nimi? Gdzież owa pałająca światłością pustka? W górze? A może w dole? Czy w ogóle istnieje?

W jednej ze stron światło wydawało się bielsze, mniej rozszczerzone...

Nie! Zawrócił.

Trafił w ślepą uliczkę, w ślepy tunel pałający lazurowymi, różowymi i złotymi górami lodu. Zawrócił podejmując jeszcze jedną, ospałą już i niemrawą próbę ucieczki. Popłynął pod prąd jakiegoś nurtu, który spychał go z wybranej drogi, spychał w bok, gdzie lód zacieśniał się...

XXIX

Gdy jednoszynowy pociąg z Gracchus zostawił za sobą mrok ostatniego tunelu porażając się w miodowym blasku słońca, Jim ujrzał zachwycającą dolinę Egremont...

Ujrzał płonące jaskrawymi barwami jesieni wzgórza, błękitne lustro jeziora Tulane, sady, farmy i kopuły fabryk, maleńkie perełki wagoników Headway i szczyt odległego Domu Śmierci.

Siedział bez ruchu zaskoczony i wstrząśnięty tym widokiem.

Jestem martwy. Martwy. A wszystko, co mnie otacza, jest moim kryształowym więzieniem.

Jestem martwy, gdyż zastrzelił mnie Noel Resnick. (Czy zastrzelił? Nie, tego nie jestem pewien. Ale z całą pewnością mnie zabił.)

Wiem, że jestem martwy. A w takim razie musi to być świat prawdy, nie fantazji, gdyż wszystko, co mnie otacza, jest wiernym odtworzeniem tamtej rzeczywistości.

Pytanie tylko, na ile jest on wierny i kompletny?

Wszyscy mieszkańcy tego odtworzonego Egremont — Marta i Weinberger, Resnick i Alice Huron — powinni być wyłącznie wytworami jego umysłu, wcieleniem jego wspomnień z poprzedniego świata. Czy będą zatem nadal kierować się swoimi własnymi motywami i zamysłami?

Siłą woli skoncentrował się na szczegółach krajobrazu za oknem pędzącego pociągu, starając się coś w nim przestawić, zmusić do przemiany w jeszcze coś innego.

Tamto drzewo! Niech stanie się fontanną!

Drzewo wciąż było drzewem, wciąż było drzewem.

Jestem władcą — och, tak, jestem teraz Władcą — lecz rzeczy nie chcą być posłuszne mej woli...

Zbliżający się do stacji pociąg zaczął zwalniać.

Odruchowo sięgnął do kieszeni mając cichą nadzieję, że — z jakiegoś powodu — nadal spoczywa w niej rewolwer. Kieszeń była pusta.

Wstał z miejsca, aby z półki zdjąć walizkę. Dlaczego w ogóle położył tam bagaż, sko-

ro jest jedynym pasażerem pociągu i mógł go ulokować gdziekolwiek? Chyba z zamiłowania do porządku. Zawsze obawiał się, by się o coś nie uderzyć.

A tym razem uderzył się o coś, co trzymać go będzie przez całą wieczność... Wieczność! Ale jakże to możliwe, skoro w Egremont obowiązuje normalny czas: minuty, godziny, dni? Nie miał pojęcia. Czuł tylko zadziwiające osamotnienie. Gdzież są owe drzwi, które mgliście sobie przypominał, wiodące do innych światów i innych możliwości? Nigdzie! Taka właśnie była natura miejsca, w które trafił.

Piekło polega na powrocie do swego świata, myślał. Jestem w Piekło, którym stało się Egremont.

Na peronie oczekiwała już pogodna, przystojna kobieta...

Oczywiście, któż jak nie ona? Ale czy będzie w stanie swobodnie mówić? Czy może zmienia swoją rolę? A on?

— Cudowny dzień, Jim! — Marta wykrzyknęła radośnie przy powitaniu. — A dla Egremont wyjątkowo cudowny!

— O tak, dzisiaj jest przecież dzień odejścia Normana Harpera, prawda?

Poprzednim razem Jim tego nie powiedział. W tamtym świecie nie wiedział o tym jeszcze. Marta jednak nie wyglądała na zbitą z tropu.

— No właśnie! Nasza D. i R. Nasza Duma i Radość. Ceremonia wkrótce się rozpocznie. Akurat zdążymy na czas.

— Przybyłem zatem w szczególnie korzystnym momencie — odparł Jim. — A kto będzie jego przewodnikiem? Podejrzewam, że Alice Huron.

— Oczywiście. Choć prawdę mówiąc, nie ma wśród nas nikogo, kto byłby odpowiednim dla niego przewodnikiem śmierci. Znasz Alice Huron?

Skinął twierdząco głową.

— Ale ona mnie nie zna — dodał.

Zaskoczona Marta zmrużyła oczy.

— Więc skąd wiedziałeś...? — zająknęła się. — Ach, sądzę, że wiem... — nie kończąc ruszyła szybkim krokiem w stronę zaparkowanego elektrycznego ranbouta.

Jim wziął ją pod rękę.

— Co takiego wiesz?

— Jim... panie Todhunter... co się z panem dzieje? Czuje się pan niedobrze?

Puścił jej ramię.

— Nie, wszystko w porządku. Przepraszam — mruknął.

Uśmiechnęła się.

— Po prostu nie chcę być wplątana w żadne... w żadne intrygi. Dzieje się tyle przyjemniejszych rzeczy. Choćby dzisiejszy dzień!

Wzięła go po prostu za kogoś innego, za jakiegoś tajnego agenta uwikłanego w roz-

grywki polityczne Domu, i myśli, że chce ją wciągnąć do gry, jako informatora.

By ją uspokoić, odezwał się mocnym, pewnym głosem:

— Ależ nic podobnego, zupełnie nic! Mogę cię o tym zapewnić, Marto. A że przewodnikiem Harpera jest Alice Huron, dowiedziałem się przypadkiem. To wszystko.

Uspokojona nieco Marta pierwsza wsiadła do ranboutu.

Gdy jechali przez miasto, wskazywała mu mijane miejsca: ulicę Harpera, spółdzielnię rolniczą, kompleks szkolny w którym była przewodnikiem, słynny Mall i restaurację „Pod Trzema Iglicami”, gdzie można było dostać najlepsze jedzenie w mieście... Odzyskała już spokój i werwę.

Zatem znów jedziemy.

Tym razem już ostrzeżony — podwójnie ostrzeżony swym wstępnym faux pas z Martą! — musi uzbroić się w cierpliwość i wybadać, jakimi atutami dysponuje Resnick. Musi ustalić dokładnie miejsce Mistrza Domu Śmierci, Alice Huron, Mary-Ann Szczepanski oraz Toni'ego Bekkera w pajęczynie intryg, jak daleko ona sięga, poznać jej słabe i mocne punkty. Wprawdzie reakcja Marty na jego na oślep postawione pytanie wydawała się spontaniczna i naturalna, jednak powstała w ten sposób sytuacja groziła utratą przyjaznego zaufania dziewczyny.

W tym Piekłe życie jest jednak bardziej skomplikowane, niż sądziłem... Czuł się samotny. Był zmęczony wyczerpującą i bezpłodną akrobacją umysłową, która miała mu zapewnić znośne „życie” w Egremont.

No i w końcu tym razem (obiecował sobie solennie) musi normalnie pójść z kimś do łóżka! Z kimś innym niż Nathan Weinberger.

Weinberger...! Harper. Ceremonia!

On, Marta, całe Egremont zmierzają nieuchronnie ku morderstwu; morderstwu, które w tak dużym stopniu stało się jego nieodłączną częścią, że uważał je za czyn zwyczajny i oczywisty — morderstwu, któremu był w stanie jeszcze zapobiec.

Lecz jeśli zapobiegnie, Weinberger nieodwołalnie pozostanie pod opieką Mary-Ann Szczepanski, a co za tym idzie, w szponach Resnicka. A Jim nie wybaczyłby sobie nawet tego rodzaju współpracy z nim.

— ... nie powinnam ci tego mówić, lecz dzisiejszego wieczoru organizujemy nad jeziorem takie „spotkanie zapoznawcze” przy pieczonym pstrągu.

— Brzmi to zachęcająco — odparł automatycznie Jim.

— Nie cieszysz się?

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Będzie wino! Nie piłeś jeszcze tutejszego białego wina z Vinehouse!

— Już się na to cieszę, Marto. Mówię szczerze. — Z tym tylko, że piknik odbędzie się nie dzisiaj, a dopiero w piątek. Tymczasem wszystko ulegnie zmianie.

Będą pracował z Nathanem — po co?

Jak to — żeby zbudować klatkę na Śmierć.

Tak, przede wszystkim trzeba skonstruować klatkę, by złapać jedno z tych małych, czerwonych stworzeń. Zmusi je wówczas, by zabrało go z tego kryształowego więzienia — odtworzonego Egremont. Czerwone Śmierć zawiedzie go w nieprzestrzeń, ku wolności.

Musi się to udać. Wszak jestem martwy.

Lecz czy będzie to prawdziwe Śmierć? Czy naprawdę będzie to małe, czerwone Śmierć, a nie — jak wszystko w tym świecie — wyłącznie wytwór wyobraźni Jima?

Czy muszę budować klatkę? Wszak potrzebuję tylko taśm Mike'a Mullena, które już posiadam. Potrzebuję tabletek Neo-H, które bez kłopotu wezmę z magazynu leków. No i wreszcie, rzecz jasna, feromonu. Feromon jest w posiadaniu Weinbergera, a konkretnie w jego opieczętowanym mieszkaniu, do którego bez rekomendacji się nie dostanę. Cóż mi zatem pozostaje innego? Odegranie całej komedii od początku: przede wszystkim budowa klatki...

Lecz czy może pozwolić, by za pół godziny, albo za godzinę zostało popełnione morderstwo? Czy ma moralne prawo pozwolić, by poeta zginął śmiercią nagłą i tym samym skazać go (i jego poezję) na wiekuiste Piekło?

— ...a to Oktagon, nasz Urząd Spokoju.

W Egremont, rzecz jasna, nie ma ani jednego kościoła. Egremont jest bowiem modelową, światłą, doskonale przystosowaną społecznością...

Z drugiej strony, tutejszy Norman Harper jest tylko częścią świata wytworzonego przez umysł Jima. Jak również i Weinberger czekający w tej chwili z ukrytą w kieszeni bronią.

A jednak Marta — i przypuszczalnie wszyscy w tym świecie — sprawiają wrażenie zupełnie żywych. Jeśli uszczypnie Martę, ona piśnie, a potem Jim będzie musiał ponieść wszelkie konsekwencje tego czynu.

Gdyby ją uszczypnął, zaskoczona mogłaby stracić panowanie nad kierownicą. Mogliby ulec wypadkowi.

Co prawda, bezpieczna szybkość piętnastu mil na godzinę nie wyrządziłaby zbyt wielkich szkód, lecz powiedzmy, że jechaliby dużo, dużo szybciej? Czy można umrzeć będąc już martwym? A co w takim razie z samobójstwem?

Czy wracaliby za każdym razem, wciąż i wciąż od nowa do jednoszynowego pociągu zmierzającego z Gracchus do Egremont?

Ponad ich głowami piętrzyły się bliźniacze, spowite wiszącymi ogrodami piramidy Domu Śmierci i Szpitala.

Być może to wszystko już się Jimowi przytrafiło wiele razy? Z tą tylko różnicą, że tym razem, wyjątkowo, pamięta!

Jeśli tak, to pijany anioł imieniem Lal, maleńkie Śmierci i cała kryształowa mgła też

są tylko wytworem umysłu Jima.

Ach, jakżeż ten kryształ, w którym tkwi, musi się rozkoszować jego nieszczęściami i wątpliwościami! O ile kryształ taki w ogóle istnieje...

Możliwe też, że kiedyś istniał „prawdziwy” świat — dawno temu i daleko stąd — zupełnie inny niż Egremont, Gracchus i całe społeczeństwo śmierci? Jim próbował sobie wyobrazić, jak tamto jego życie mogło wyglądać:

Byłem kapłanem, który utracił wiarę — albo nigdy jej nawet nie posiadał. Kapłanem o rozchwianym, sfrustrowanym libido. A Marta, Weinberger i pozostali byli moimi parafianami, których zupełnie zawiodłem. I Bóg ukarał mnie za to właśnie tym, co obecnie przeżywam. Jednak nigdy nie wierzyłem w Boga, istnieje tu wyłącznie nieprzestrzeń — i kryształowa mgła. Nie wierzyłem w Boga, zatem Go tutaj nie ma. Nie istnieje żaden Jego Dom.

Ale dlaczego byłem kapłanem? Bo nie potrafiłem sprostać intrygom życia. Radziłem sobie tylko z prostą śmiercią. Zapewne zabiłem siebie, gdy nie umiałem poradzić sobie z przebiegłością, polityką życia. Próbowałem uciec od tego w pustkę śmierci. I muszę teraz powtarzać i powtarzać w nieskończoność wszystko to, czemu nie sprostałem wówczas, gdy żyłem: lepką i zdradliwą pajęczynę stosunków międzyludzkich, namiętności, pożądań, władzy... Wszystko tak się skomplikowało, że to, co ludzie brali za rzecz naturalną, mnie doprowadzało swą zawiłością do szaleństwa. Uwalnianie więc ludzi od życia, ciskanie ich w objęcia śmierci byłoby jakimś sposobem, w jaki starałbym sobie ów świat uporządkować, prawda? Martwi są przecież mniej skomplikowani od żywych (z tym tylko, że takich tu nie ma!). Upraszczałem więc wszystko, jak mogłem. Upraszczałem, bo niczego nie rozumiałem. Nie rozumiałem seksu, pieniędzy, polityki, stosunków między ludźmi. O wiele prościej było zostać kapłanem, z tym tylko, że nie wierzyłem. Lub przestałem wierzyć. Lub ta wiara została mi odebrana...

Gdy skręcali w przejazd między Domem i Szpitalem, Jim pogrążony był w modlitwie.

Nie otrzymał odpowiedzi. Skąd miałyby nadejść? Wszak to jego nowe życie było tylko ulotną fantazją.

Nie istnieją już, do diabła, żadni kapłani! No, może paru zaszyło się jeszcze w jakieś księżę nory, pod ochroną możliwych protektorów. Ich Bóg przeminął jak zwiewna poranna mgła. Nigdy do nich nie należałem! Skąd mi to w ogóle przyszło do głowy? Jestem przewodnikiem, dobrym przewodnikiem. A to, że zawiodłem, spowodowane było tymi przekłętymi intrygami. Powiodło mi się tylko w jednym: zgłębiłem prawdziwą naturę śmierci.

A taka jest właśnie moja śmierć: jestem uwięziony w jednym z klejnotów unoszących się w kryształowej mgle — w kryształach, gdzie każdy cierpi samotnie.

Jest to moje pierwsze powtórzenie Egremont.

Grozi mi tu pomieszanie zmysłów. Ale czym w ogóle jest szaleństwo? Zupełnym ode-
rwaniami się od świata, oto czym jest. Wobec tego wszyscy uwięzieni zmarli są szaleni.

Gdy Marta otworzyła drzwiczki ranboutu, Jim miał ochotę tłuc się pięściami po głowie. Jednak wysiadł z pojazdu. Marta wzięła go pod rękę i poprowadziła przez rzędy widzów. Przedtem on ją prowadził pod rękę, obecnie w przewrotnej powtórce role się od-
mieniły. Marta była solidna, pełnej krwi. Pożądał jej.

Usiedli obok siebie na puszystej trawie.

— Ten po lewej, to właśnie Norman Harper — objaśniała Marta.

— Tak, wiem.

Lecz Jim patrzył z uwagą na Marka Barnes, eleganckiego czarnoskórego burmistrza Egremont. Zgodnie z przebiegiem wypadków, które już miały miejsce, drogi Jima i Barnes krzyżowały się ze sobą tylko tego właśnie dnia. Jaka jest właściwie rola Burmistrza we wszystkich łańcuchach powiązań między ludźmi?

— A to Alice Huron. Ale tę już znasz — Marta trąciła go znacząco łokciem pod że-
bro.

(Znów mnie trąciła.)

— Przecież mówiłem, że nie spotkałem jej dotąd osobiście — skłamał.

Mark Barnes, pomyślał. Jakże może mieć skryte powiązania i stosunki, skoro — jak wszyscy pozostali — jest wyłącznie tworem umysłu Jima?

— I dr Claudio Menotti — nasz eutanazer. Problem polega na tym, że tak wiele z jego własnego umysłu kryje się nawet przed sobą. Pamięta doskonale ów chaotyczny, burzliwy sen, w którym zagubił się w zamęcie wyłączników i labiryntów swej własnej świadomości.

To wszystko moi ludzie i dlatego też wyobraziłem siebie w komicznej roli kapłana — ich duszpasterza. Po prostu nie miałem możliwości dobrze ich poznać.

A gdyby jedna z tych osób-wyobrażeń zmarła; czy refleks jej duszy mógłby, na przykład, zatracić się w refleksie kryształowej mgły? Czy to możliwe? A może i Jim jest tylko takim refleksem — jak w zwierciadłach Weinbergera? Świadomym siebie odbiciem?

Nie. Nie, dosyć!

Rozejrzawszy się po niebie w poszukiwaniu deszczowych chmur burmistrz Egremont wstał i zaczął mówić.

Marta zamieniła się w słuch, lecz Jim rozglądał się dookoła. Czas odnaleźć w tłumie Weinbergera! Dojrzał go dwa rzędy dalej siedzącego jak inni na trawie. Poczawszy na sobie natrętny wzrok towarzysza przeszłości i przyszłości Jima skierował nań ukradkowe spojrzenie. Miał przy tym w sobie coś z kota przyłapanego na rozszarpywaniu kurczaka na podwórku. Zadowolony z siebie Jim przeniósł ponownie wzrok na podium.

Poczuł przyływ absurdalnej sympatii do wszystkich zebranych: do Marty, z którą pójdzie do łóżka, a może nie; do Weinbergera, który będzie jego partnerem; do brzu-

chatego Claudio Menottiego, którego prawie nie znał; do Alice Huron siedzącej jeszcze w tej chwili prosto, jakby połknęła kij, lecz mającej wkrótce wybuchnąć spazmatycznym szlochem. A nawet do Noela Resnicka, który właśnie przemawiał — stojąc, a właściwie przestępując z nogi na nogę w swym dziwnym tańcu.

Cokolwiek by nie uczynili, stanowili jego nieodłączną część i musi ich kochać. Musi dbać o ich bezpieczeństwo — już choćby z tego tylko względu, by zapewnić to bezpieczeństwo sobie.

A mimo to nie miał żadnych nadziei na odwrócenie losu, jaki szykował Normanowi Harperowi jeden z widzów...

Resnick usiadł przy akompaniamencie niegłośnych oklasków.

Podniósł się Norman Harper, a z całej jego postaci emanowały dobroć i łagodność.

Jaka szkoda, że nigdy nie poznałem go osobiście. Kto jak kto, ale on z całą pewnością nie uważa swej poezji za szczyt sztuki poetyckiej.

Jego poezji — czy mojej?

Poeta zamknął oczy i rozpoczął deklamację.

*Embrion ptaka ginie, częściowo umiera,
Skoro się w świat szeroki na skrzydłach wybiera.
Zanim barwny motyl ponad pola ruszy
Zielona gąsienica również umrzeć musi...*

Jestem odpowiedzialny za wszystkie moje kreacje. Lub raczej powtarzalne kreacje... I to bez względu na to, jak będą postępować. Jestem jednak odpowiedzialny za samego siebie. Czy jestem tego pewien? Nie, wcale nie mam takiej pewności. Po prostu muszę to przyjąć na wiarę. Muszę przeżyć ową imitację powtórnego życia dużo chytrzej, milej, doskonalej. Aż do chwili, gdy znajdę sposób wydostania się stąd...

*Odszedł Wróg w niepamięć, Złodziej nie istnieje,
Fałszywa wiara, groza, lęk i przerażenie.
Bardzo dużo razy w życiu umieramy
Po to, by znów nam skrzydła wyrosły u ramion...*

Nie, te strofy mógł napisać wyłącznie prawdziwy Norman Harper, nie ja!

Raz już je napisał; i raz już recytował; teraz powtórnie.

Jim oczekiwał na morderstwo.

Gdy oczekiwał na nieuchronne wydarzenie, wyciągnął rękę i ścisnął dłoń Marty. Spojrzała nań zaskoczona, po czym uśmiechnęła się i oddała mu uścisk.

*Powracamy zawsze tam, skąd nadeszliśmy.
Kiedy dzień skończony, kiedy dzień cudowny...*

Wszystko znów się zaczynało.

XXX

Noel Resnick, Mistrz Domu Życia w Montegro pogwizdywał niedbale, krocząc długim korytarzem w kierunku Działu Zabiegów Specjalnych. Zawsze, ilekroć nurtował go jakiś problem, pogwizdywał pod nosem.

Naprawdę należałoby zmienić nazwę, myślał. „Zabiegi Specjalne”, rzeczywiście! Zbyt kojarzy się ona z hitlerowskimi praktykami ludobójczymi. A zważywszy, iż w gabinecie tym leczone były najcięższe przypadki psychoz, to Zabiegi Specjalne ofiarowywały swym pacjentom nowe, oczyszczone z szaleństwa i obłądu życie.

Zapewne ta nazwa wywarła również tak straszliwe piętno na psychice Todhuntera. A to tłumaczyć może wiele rzeczy. Obłąkanie wykoślawia bowiem obraz świata, tworząc w jego miejsce inne rzeczywistości, których osie zderzają się z normalną rzeczywistością pod kątem prostym. Nigdy nie wolno podsuwać obłąkanym podobnych sugestii, jaka zawarta jest w nazwie „Zabiegi Specjalne”.

To nasza wina. Powinniśmy byli pomyśleć o tym zawczasu!

A jednak przypadek Todhuntera był wyjątkowy. Mając powiązania zawodowe z Domem Życia, Todhunter zdobył rozległą wiedzę fachową, której wiele elementów włączył do swej własnej interpretacji rzeczywistości. W wyniku tego ujrzał siebie i Dom w przerażająco wykrzywionym zwierciadle.

A co gorsza — wydaje się — nie istnieje sposób wyrwania go z tego lustra...

Tak, nazwę trzeba zmienić koniecznie. Na przykład „Terapia Psychoskopowa”? Nie, zbyt techniczna i kojarząca się ze słowem „psychoza”... „Terapia Wziernikowa”? — zgrabnie i krótko. A może „Terapia Symulacji Życia”? Tak! „Symulacja Życia” — to by było to! Brzmi wprawdzie nieco żartobliwie, ale jest adekwatna. Na najbliższym zebraniu pracowników zaproponuję tę nazwę.

Dlaczego Alice Huron prosiła o spotkanie właśnie w D.Z.S.? Przecież sam dopiero co dowiedział się o sytuacji nadzwyczajnej — jeśli można to, oczywiście było nazwać „Sytuacją nadzwyczajną”, skoro stan Todhuntera był nienadzwyczajny. Jej głos w telefonie brzmiał konspiracyjnie, jakby przekazywała mu arkana jakiejś wiedzy tajemnej.

Resnick potrząsnął w zamyśleniu głową. Nie, to już stanowczo wersja Todhuntera; Alice w żadnym przypadku nie jest przebiegłą, pozbawioną skrupułów intrygantką.

Pod żadnym pozorem nie wolno mi nawet przez chwilę mieszać tych dwóch wersji.

A w obecnej sytuacji było o to niezwykle łatwo. Terapia Todhuntera bowiem — z jego groteskową ekstrapolacją osobistego życia innych — posiadała w sobie nieprawdopodobny wręcz ładunek sugestywności. Dlatego też właśnie, w chwili, gdy cały punkt ciężkości przeniósł się do D.Z.S., Alice pragnęła spotkać się z Resnickiem tam właśnie, a nie jak zwykle w jego gabinecie.

Czy owe potężne deformacje wymyślone przez Todhuntera mogły mieć istotny wpływ na przekształcenie się osobowości ludzi, zafascynowanych bez reszty fantastyczną rolą, jaką nadał im Todhunter? Resnick obawiał się, że tak. Uważaj, powiedział do siebie.

Ponownie zagwizdał coś bez ładu i składu. Ostatecznie, pocieszał się w duchu, nie zaczął się jeszcze jękać!

Przybywszy na miejsce otworzył kluczem zewnętrzne drzwi D.Z.S. Gdy przestąpił ich próg, drzwi zasunęły się automatycznie wydając metaliczny szczęk zatraskującego się zamka. Stał dłuższą chwilę przed wewnętrznymi — szklanymi — drzwiami zaglądając do środka; tak jak czyniłby to spiskujący Resnick Todhuntera...

Todhunter leżał jak zwykle uśpiony na odizolowanym, nadmuchiwanym materacu, spowity płataniną kroplówek, cewników i czujników. Na głowie miał kask podłączony do zamkniętych w próżni przetwornikowych kryształów psychoskopu.

Nieopodal, ze słuchawkami na uszach, siedziała Marta Bettijohn wpatrując się ze skupieniem w trzy okrągłe podesty holo, na których trwały trójwymiarowe projekcje. Podest numer jeden przedstawiał subiektywny obraz świata, widziany oczyma Todhuntera w jego symulowanym życiu — tak, symulacji życia, powtórzył sobie Resnick. Scena numer dwa, to ów świat, z holograficznym homunculusem Todhuntera pośrodku, widziany oczyma postronnego widza (Resnick dojrzał natychmiast już po raz drugi, rozległy trawnik przed Domem Życia wypełniony tłumem widzów... Na podium stało kilka osób; nie musiał się im przyglądać — dobrze wiedział, kim są). Numer trzy stanowiło holo „skojarzeń”, obłądny wir wyobraźni; twarze, budynki, nagie ciała i brzytwy, ruiny kościołów, czerwone stworzenia przypominające nietoperze, parujące talerze z jadłem, rozparte w fotelach czerwone anioły siorbiące whisky, gigantyczne ćmy, tabuny pędzących w popłochu koni. Od czasu do czasu, w poprzek obrazu przebiegały jakieś słowa, niczym napisy na taśmie filmowej w kinie. Za plecami Marty obracały się dyski komputera rejestrującego wszystkie trzy poziomy programy.

Norman Harper, bębniąc nerwowo palcami po srebrzystej obudowie swego psychoskopu, pochylał się obserwując ponurym wzrokiem pomosty holo.

Dr Weinberger, przewodnik terapii Todhuntera, również był pochłonięty obserwa-

cją rozgrywających się scen. Na uszach miał słuchawki umożliwiające również odbiór fonii.

Młodziutka lecz piersiasta Sally Costello — technik medyczny — zajęta była przy wydrukach funkcji vitalnych. Alice jeszcze nie przyszła.

Resnick wszedł.

— Czołem wszystkim. No to, co złego słyszeć?

— Dla mnie złego — wykrzywił się Norman Harper. — Za chwilę zostanę znów zamordowany.

— A co się dzieje z Ojcem Todhunterem?

— Jak ci mówiłem przez telefon, wszedł w ponowny cykl. Zaczął wszystko od początku. Lecz tym razem zdaje sobie sprawę, że wszystko jest powtórką. Odbieramy to na podsłuchu. I nie możemy go wytrącić z tego stanu.

— Może potrzebuje ponownego przejścia przez to wszystko, skoro nie zdołał się uwolnić w pierwszej ucieczce?

— „Ucieczka”, to właściwe słowo. Uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Weinberger zdjął z uszu słuchawki.

— Tak, cały proces destabilizował się w miarę trwania, tak jak tego oczekiwaliśmy — powiedział. — Po pierwszych mętnych aluzjach i insynuacjach nastąpiła całkowita wrogość. Wszystko przeszło w paranoiczną wizję. Taki punkt widzenia świata nie mógł być ani spójny ani logiczny, gdyż nie zgadzał się z rzeczywistością. Todhunter zatem musiał rozstać się z Montegro. Mam na myśli Egremont. A właściwie, co ja mam na myśli?

— Zdaje się, że wysadziłem go w powietrze dynamitem — odezwał się ze smutkiem Resnick. — Ale przynajmniej pozwolił mi rozmontować tę swoją wariacką klatkę.

— A tak, by zaraz potem wykraść jej najważniejszy element i prysnąć z nim w las! Posłuchaj, Noel, zakładaliśmy, że gdy cała ta tłumiona agresja i pasja, które ogarnęły jego umysł, osiągną punkt szczytowy, oczyści się — i wyzdrowieje. Zupełnie jak ja z mojego... raka — Weinberger sprawiał takie wrażenie, jakby go mdliło. — Ta wizja byłaby zupełnie jasna, tyle tylko, że to mnie właśnie uczynił głównym bohaterem efektu „oślepienie błyskawicą przywraca wzrok”! A on zamiast tego, pogrążył się znowu w tej przekłetej, kryształowej mgle.

— To równie dobrze może być wizja tego — Norman Harper stuknął palcem w psychoskop ze skrzącymi się jak ogromne klejnoty kryształami wyhodowanymi w laboratorium. — Bo prawdę mówiąc, Noel, nie panuję już nad tą maszyną! Ona współdziała z Todhunterem, jakby byli w symbiozie. W równym stopniu ona jest sterowana przez niego, jak przez nią.

— Zawsze możesz ją wyłączyć.

— Nie — wtrąciła się do rozmowy Sally znad swoich czytników. — Szok, trauma, za-
biłyby go. Jest w bardzo dziwnym stanie. Jakby go wcale tutaj nie było. Poza fantazjami

— te są wyjątkowo silne. On istnieje tylko pozornie.

— „Pozornie”? To określenie Todhuntera, nie nasze!

— My możemy również używać tego słowa. Żaden z naszych dotychczasowych pacjentów nie reagował tak jak on.

— Mieliliśmy ich za ledwie sześciu.

— I wszyscy zostali wyleczeni — odparł zaczepnie Norman Harper.

— Ależ ja nie mam do ciebie żadnych pretensji, Norman, ani nie neguję przydatności twego psychoskopu. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ale proszę was bardzo, pamiętajcie, kim naprawdę jesteście. Moim skromnym zdaniem, istnieje duże niebezpieczeństwo transferu; ryzyko, że zaczniemy się utożsamiać z naszymi sobowtórami z holo. Czy naprawdę nie dostrzegacie zagrożenia? Bo ja czuję, jak to wciąga, zaraża mnie. Zupełnie tak, jakby ta maskarada przestała być wyłącznie majaczeniem obłąkanego, a zaczęła wywlekać na wierzch prawdę o nas.

— Więc tak to odbierasz, co?

— Szorstka uwaga, Norman. Bardzo szorstka.

Harper westchnął.

— A niech to, masz rację. Masz w dwójnasób rację. Jeszcze parę tygodni temu taka uwaga nie przyszlaby do głowy.

— Równie fascynujący jest ten jego szaleńczy mit śmierci — zaczął Resnick starając się wkroczyć na pewniejszy grunt.

— A mówiąc o zagrożeniu — przerwał mu Weinberger — uważam, że to przyzwicie z jego strony, iż mnie uzdrowił.

— A ja go zamordowałem? — Resnick pospiesznie odepchnął tę myśl.

— Tutaj jesteś pod jego opieką, Nathan, nie odwrotnie. Więc stać go było na szczerść. Ale co do mnie, przy wszystkich moich ułomnościach ja jestem odpowiedzialny za niego. Tym samym jestem uosobieniem zła. A gdzieś w najtajniejszych zakamarkach świadomości zdaje sobie zapewne sprawę, że faktycznym sprawcą jego koszmarnego położenia jest Norman — w sensie technologicznym — jako właściwy twórca psychoskopu, twórca owej symulacji życia, przepisywania świata.

Słyszając coś o pisaniu Norman uniósł brwi. Był bowiem kiepskiego zdania o poezji, którą Todhunter włożył w jego usta.

— Kazał mi zatem ciebie zlikwidować, Norman — Weinberger przesłał przeproszające spojrzenie w stronę Harpera, który — a może się tylko Resnickowi zdawało — drgnął lekko. — Ja natomiast odziedziczyłem tytuł twórcy klatki, która w tamtym świecie pełni rolę odpowiednika twego psychoskopu. Wiecie co, największym błędem z naszej strony było to, że wtajemniczyliśmy Todhuntera — nawet w tak nikłym stopniu. A trzeba było wziąć go z nienacka. Zrobiliśmy tak, ponieważ był czasem normalny. Ponieważ pomagał nam w Domu... Ponieważ, ponieważ.

— Tak, sami sobie wszystko skomplikowaliśmy — zgodził się Resnick. Nathan wcale mnie nie atakuje ani nie krytykuje, pomyślał. Z całą pewnością nie.

— Włączanie się w psychozy innych musi być skomplikowane.

— Cała rzecz jednak w tym, by nie dać się w to uwikłać! To jest Dom Życia a nie Dom Śmierci. Tu nie jest Egremont, lecz Montegro.

— Ach tak, więc to ten słynny serial naszego Domu, co? — rozległ się nieoczekiwanie kpiący głos. — No i kiedy wreszcie pójdzie do łóżka z jedną z dam?

Zajęci rozmową nie usłyszeli otwierających się szklanych drzwi. Alice Huron weszła energicznym krokiem do pracowni dzwoniąc swymi pierścieniami.

Marta Bettijohn zaczerwieniła się. Zdjęła bowiem słuchawki i usłyszała ostatnią uwagę Alice, która teraz stojąc pośrodku pokoju spoglądała na nią z lekkim rozbawieniem. Alice, która dość łatwo pogodziła się z sugestiami Todhuntera na temat jej stosunków z Resnickiem, traktowała ciągoty Todhuntera do Marty jako znakomitą okazję do przyjacielskich docinków i żartów. Wszyscy zresztą podejrzewali, że przystojna i wesoła Marta jest jeszcze dziewicą, i zastanawiali się w skrytości ducha (i zapewne nie tylko w skrytości), jak to będzie wyglądało w technicolorowym holo, kiedy Todhunter pociągnie ją w końcu do łóżka. Czego jednak dotąd nie zrobił. Jak dotąd, wyszedł z tego jedynie fantastyczny sen o nadmuchiwany rubensowskim ciele Marty; było to dla niej wystarczająco krępujące.

Stojąc wyprostowana, z wysoko uniesioną brodą Alice niepodzielnie zapanowała nad pokojem.

— Prosiłam cię o spotkanie tutaj, gdyż...

— Tu jest centrum wydarzeń?

— Tak, a nie jest? Przypuszczałam też, że i Normana tu spotkam.

— Słyszałaś zatem o sytuacji nadzwyczajnej? Alice roześmiała się.

— Znowu tekst z serialu, Noel. Dalej idzie tak: „Znam straszliwe tajemnice, których wy nie znacie”. — Zmarszczyła brwi. — Jaka sytuacja? O czym mówisz?

Resnick wskazał palcem holo numer dwa.

— Wychodzi na to, że wysadziłem go w powietrze dynamitem. Mimo to nie powrócił z krainy swych urojeń. Ugrzązł tam na dobre — odparł, wyjaśniając zarazem dokładnie, co się wydarzyło.

— O Boże. O Boże, Boże. — Przyjrzała się maleńkim figurkom siedzącym na zielonej, wełniastej trawie. — No tak, prosiłam o to zebranie...

Aaa, więc to zebranie? Które ty zwołałaś?

Uważaj, Resnick przywołał się natychmiast w myślach do porządku.

— ...ponieważ rozważałam kilka aspektów cudownych kryształowych przetworników Normana...

Sarkazm? Norman Harper zeszywniał wyraźnie, by po chwili rozluźnić się; bez wąt-

pienia również przypomniał sobie o różnicy między aktualną rzeczywistością, a rzeczywistością Todhuntera.

— ...z pomocą bardzo zdolnego, bliskiego mi fizyka z Ośrodka Neumann'a.

Ach, więc jest i ktoś „bliski”? Czy ten fizyk był bardziej zdolnym fizykiem — czy bardziej bliskim przyjacielem? Co za delikatna niejasność! Czy ów przyjaciel był w ogóle mężczyzną czy kobietą? Resnick potrząsnął głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej labirynty Todhuntera.

— A więc: przeskoki synaptyczne w mózgu Todhuntera odbijają się jako kwantowe skoki elektronów w tych kryształach, które odbierają sygnały mózgu i dostarczają — przez komputer — odpowiednich sygnałów do projektora holo.

Osiąga dziś szczyty zarozumiałstwa! Nie, to nieprawda!

— Gdyby cały proces nie odbywał się na poziomie elektronów — odezwał się rozsądnie Norman — nie byłoby sposobu przetworzenia tej niewyobrażalnej sumy informacji w efekty audiowizualne.

Tak, naturalnie. Projekcja makrokosmosu — bo tym dokładnie jest rzeczywisty świat — dokonuje się za pomocą kwantowych skoków elektronów dyktowanych przez umysł dokonujący różnych wyborów w ramach własnego, realnego świata. Mój fizyk zwrócił uwagę na pewną drobną hipotezę, potwierdzaną zresztą przez błyskotliwych teoretyków od Neumanna jak i z innych ośrodków — że nasza rzeczywistość jest zaledwie drobną cząstką złożonego wszechświata — multiversum nieskończonej ilości rzeczywistości — a co więcej, każdy kwantowy przypadek wywołuje odrębny, koherentny wszechświat, w którym przypadek taki nie miał miejsca: a jednocześnie inny, przeciwny, w którym przypadek ten miał miejsce.

Jej palec wskazujący skręcił w lewo, w prawo i znów w lewo, jakby wskazywał kolejne warianty.

— Zatem możemy mieć do czynienia z czymś dużo większym, aniżeli tylko z maszyną terapeutyczną leczącą psychozy. O ile bowiem każdy możliwy wszechświat jest w jednakowym stopniu rzeczywisty, to psychoskop Normana jest symulatorem tych wszystkich rozgałęziających się rzeczywistości na wielką skalę. Jest to urządzenie do obserwacji. Dziurka od klucza.

— Chyba nie twierdzisz, że świat Todhuntera, to holo, może być rzeczywistością? Alternatywna rzeczywistość istniejąca jeszcze gdzieś poza naszą?

— Jest rzeczywistością, w której dokonano zupełnie innych wyborów — a zgodnie z opinią chłopców od Neumanna umysł jest czynnikiem determinującym owe rozwidlające się rzeczywistości — i wówczas Todhunter jest naprawdę przewodnikiem w Domu Śmierci.

— Wielkie nieba! — Norman Harper wytrzeszczył oczy wpatrując się w holo, na widzów siedzących na trawie i Burmistrza Barnesę, który właśnie gestem zaprosił Harpe-

ra poetę, by wstał i pożegnał się. Dokładnie tak samo jak w pierwszej ucieczce Ojca Todhuntera w świat wyobraźni, zanim jeszcze poznał swoją szaloną prawdę o rzeczywistej naturze śmierci. Z tym tylko, że obecnie Todhunter — były kapłan, dawniejszy współpracownik Domu Życia, który zwabiał do swego mieszkania dzieci i deprawował je, nazywając to inicjacją do tajnej społeczności swych faworytów, którzy mieli pewnego dnia podjąć walkę z jego urojonym przeciwnikiem — z tym, że obecnie posiadał pełną wiedzę o istocie śmierci... Jakkolwiek i bez tych doświadczeń znać ją powinien, jako że zamordował jednego ze swych faworytów, który zamierzał go zdradzić. Morderstwo zaś spowodowało, że afera wyszła na jaw obracając przeciw nienormalnemu kapłanowi cały świat. I wówczas umysł Todhuntera zatrzasnął się całkowicie.

— Wszystko to niesłychanie trudno wyjaśnić słowami — ciągnęła Alice. — Bo widzicie, to nie jest wcale „gdzieś indziej”. Będąc stale „tutaj”, jest to jednocześnie oddalone o milion kątów prostych. Tylko matematyka jest w stanie uporać się z nadskończoną liczbą wymiarów. Może dzięki psychoskopowi zestroiliśmy się z jedną z miliardów alternatywnych egzystencji — albowiem „gdzieś” w nadskończoności, stan taki musi istnieć. A na pewno może istnieć.

— Bądź rozsądna — rzekł Weinberger. — Przecież w tamtym wszechświecie małe Śmierci w imieniu aniołów wybawiają rasę ludzką od losu gorszego niż sama śmierć. Jakżeż, na Boga, może to być wszechświat rzeczywisty?

— Poznasz jeszcze dziwniejsze i bardziej niesamowite, Nathan. Mogę się założyć. Lecz będą tak odmienne, że nawet nie będzie można ich sobie wyobrazić, a co dopiero z nimi zespolic. A dlatego, że oparte zostały na wyborach dokonanych wieki temu. Bo ten nasz — Todhunter — jest bardzo bliski naszemu; różnice są w końcu niewielkie: stworzenia Śmierci, kryształowa mgła i tak dalej.

— Zapominasz o takich drobnostkach, jak społeczeństwo śmierci czy wojna — przypomniał Weinberger.

— Skoro to wszystko jest kwestią wyboru — podsunęła cicho Marta — to szalenie wybierze szalony wszechświat.

Alice uśmiechnęła się.

— Może istnieje nieskończona liczba takich wszechświatów — jak również taka sama liczba rozsądnych. Kto ustali, która z tych nieskończoności jest większa od drugiej?

— Ja będę się jednak trzymała rzeczywistości Montegro — odparła chłodno Marta. — Jak długo nie stracimy orientacji i nie przemierzamy się z tym wszystkim, co wyprawia się tam, w tej, tej...

— Symulacji Życia — odpowiedział Resnick.

— Tak długo będziemy szczęśliwi. Pomijając oczywiście Ojca Todhuntera — parsknęła pogardliwie. — Ojca dla nikogo, deprawatora wielu. Zastanawiające, że nie umieścił swoich faktycznych dokonań seksualnych w tym... wszechświecie, który sobie wy-

brał.

— Ależ tak, umieścił — odparł Weinberger. — Lecz zwałił to wszystko na mnie, po czym odkręcił całą sprawę, przedstawiając to jako kłamstwo. Byłbym raczej skłonny określić jego zachowanie seksualne w tym świecie fantazji jako dość obiecujące — o ile jakiegokolwiek zachowanie seksualne u kapłana jest obiecujące! Lecz tym niech się oni martwią. Chociaż nie, on próbuje związków z dorosłymi. Czy zauważyliście, że aby tego dokonać; wymazał w ogóle Kościół?

— To w jaki sposób może on reprezentować zachowanie obiecujące lub nie, skoro odtwarza po prostu jakiś alternatywny wszechświat? — spytała zaskoczona Marta.

— Ten wszechświat w holo również się rozwidła i rozwidła — wtrąciła Alice. — Kiedy Todhunter wszedł do niego, dokonał wyboru rzeczywistości, która najlepiej mu pasowała. I teraz, gdy już w niej tkwi, zetknął się ze wszystkimi pomniejszych, drugorzędnych wyborami, których dokonuje w każdej sekundzie.

Norman Harper zamachał gwałtownie rękami.

— Patrzcie w holo, widzicie? Zaraz wstanę. Noel już prawie skończył.

— Włączymy fonię? — spytała Marta.

— Mowy nie ma! Wystarczy mi już jedna prezentacja „mojej” poezji — pokręcił głową w udanym rozdrażnieniu.

— Czy wiecie, że ja rzeczywiście pisałem wiersze. Jako nastolatek, bardzo dawno temu. Och, to była zwykła, młodzieńcza twórczość. Ponura, głównie o śmierci. Potem z tego wyrosłem.

— Więc rzeczywiście mogłeś żyć jak Goethe — zarechotał Resnick. — W innym świecie! Czyż Goethe, prócz tego że poeta, nie był również trochę naukowcem?

— To było właśnie jedno z największych wypaczeń...! Chcecie wiedzieć, jak było w oryginale u Holderlina? Specjalnie poszukałem: Lebt ich wie Gotter... co znaczy „żyłem jak bogowie”, a nie jak Goethe, co za bzdura!

— Zrozum, że musiał tak napisać, gdyż we wszechświecie Todhuntera żadni bogowie nie istnieją — odezwał się Weinberger. — Jedynie owadzi aniołowie i krystaliczne diabły. Może... może Bóg trafia się tylko w niektórych wszechświatach?

— No, już mamy — sapnął Harper wskazując w stronę holo. — Znów stoję, deklamując oczarowanemu motłochowi te grobowe banały. Trzymaj się Nathan, chwila twej glorii bliska.

Weinberger splótł obie dłonie na kolanach.

W milczeniu oglądali rozgrywające się wypadki. Homunculus Normana Harpera deklamował z zamkniętymi oczyma.

Homunculus Weinbergera dźwignął się na nogi i ruszył w stronę podium. Skierował rewolwer...

Norman Harper zachwiał się na krześle, jakby to on został przeszyty kulą. Z wyra-

zem przerażenia i udręki na twarzy złapał się za serce.

— O Boże — wyszeptał osuwając się miękko na podłogę.

Już klęczał przy nim Weinberger badając puls. Przewrócił Harpera na plecy i zaczął rozpaczliwie, z całych sił uciskać mu klatkę piersiową.

— Atak serca! Noel, zestaw reanimacyjny, szybko!

Resnick dopadł ściennego telefonu, wykręcił numer i rzucił w mikrofon parę słów. Odwiesiwszy słuchawkę podszedł szybko do drzwi. Otworzył obie pary drzwi, blokując je w tej pozycji.

— Przecież musiał wiedzieć, że ma chore serce! — krzyczał Weinberger. — Musiał to wyczuwać! Czemu nic nie powiedział? — Przycisnął głowę do piersi Normana. — Po co oglądał morderstwo dokonywane na samym sobie?

— Musiał zostać — odparła twardo Alice. — Musiał, by udowodnić, że nie wierzy w uroki — rzucane z jakiejś innej rzeczywistości.

— Ale ja... ja powinienem dostrzec jakieś oznaki — jęczał Weinberger. — To tak, jakbym zabił go osobiście.

— Nic nie mogłeś poradzić — rzucił Resnick. — Nic, Słyszysz? Powiedziałeś „zabił”? Czy jesteś pewien, że on...

— Oczywiście, jestem pewien.

— Jeszcze jest nadzieja. Gdzie ten zestaw!

— Boże wielki, a to co takiego? — Marta wyciągnęła dłoń.

Pod sufitem migąła czerwona plama; wysoko ponad dmuchanym materacem, na którym spoczywał pogrążony w hipnotycznym śnie Todhunter.

— Co? Tam nic nie ma... o mój Boże! — Resnick zatoczył się unosząc dłonie do twarzy.

Weinberger odskoczył gwałtownie od ciała Harpera, gdy coś prawieczerwonego i prawieniewidzialnego spadło z góry w kierunku rozciągniętych na ziemi zwłok. W ostatniej chwili stworzenie zmieniło kierunek oddalając się, jakby przybyło za późno.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków i skrzyp gumowych kół. Popychając przed sobą aparaturę reanimacyjną do gabinetu wpadło dwóch dyżurnych. Gdy przekraczali próg, prawieczerwone coś śmignęło ponad ich głowami. W korytarz, do Domu, do Montegro i dalej w świat. Dyżurni zbyt się spieszyli do zwłok Normana Harpera, by dostrzec stworzenie — o ile w ogóle ktoś postronny mógł je dostrzec. Musieliby bowiem wiedzieć, czego się spodziewać.

Podczas gdy dyżurni, za pomocą wstrząsów próbowali pobudzić serce do akcji, ci, którzy widzieli Śmierć spoglądali na siebie w milczeniu.

— Uleciało na wolność — odezwał się w końcu Resnick ulegając logice ze świata Todhuntera. — Lecz w naszym wymiarze nie ma dokąd uciec, prawda, Alice? Musimy zatem zbudować klatkę i pochwycić to.

— Klatkę na Śmierć? A skąd feromon? Taka rzecz nie istnieje.
— Musimy poszukać. Może już istnieje.
— Przepraszam, panie Resnick — odezwał się jeden z dyżurnych. — On nie żyje.
— Witajcie więc w Egremont — rzekła schrypniętym głosem Marta. — W szczegól-
nie... szczególnie korzystnym momencie.
Dyżurny Sorensen wytrzeszczył na nią oczy, jakby była niespełna rozumu.
A na barwnych, trójwymiarowych podestach holo, wokół martwego ciała poety, kłę-
bił się tłum maleńkich, przerażonych marionetek.

SPIS TREŚCI

I	3
II	8
III	15
IV	21
V	26
VI	30
VII	36
VIII	43
IX	49
X	56
XI	62
XII	67
XIII	70
XIV	78
XV	82
XVI	89
XVII	95
XVIII	99
XIX	106
XX	113
XXI	117
XXII	122
XXIII	127
XXIV	131
XXV	137
XXVI	143
XXVII	149
XXVIII	155
XXIX	157
XXX	165